

ROBERT A. HEINLEIN

DUBLER

Przekład : Aleksandra Jagielowicz

Jeśli facet o wyglądzie wieśniaka wchodzi do baru i zachowuje się jak jego właściciel, może być tylko pilotem z kosmosu.

To nieuniknione. Jego zawód sprawia, że czuje się jak władca wszelkiego stworzenia. Kiedy dotknie stopą Ziemi, uważa, że brata się z hołotą. A stały brak elegancji? Czego można się spodziewać po kimś, kto prawie przez cały czas tkwi w sztywnym mundurze i częściej przebywa w przestrzeni niż w cywilizowanym świecie? Staje się naiwną ofiarą krawców z bożej łaski, którzy oblegają wszystkie porty kosmiczne, oferując „ziemskie stroje”.

Zauważyłem, że ten potężny facet musiał być klientem Omara Namiociarza. Świadczyły o tym zbyt szerokie i za mocno wypchane ramiona, za krótkie spodnie, podjeżdżające w górę na łydkach, i koszula z falbanami, w której do twarzy byłoby najwyżej krowie.

Zachowałem jednak moją opinię dla siebie i postawiłem mu drinka za ostatniego półimperiała, traktując to jako inwestycję. Wiadomo, jak szanują forsy ci z kosmosu.

- Ostrego odrzutu! - powiedziałem, kiedy stuknęliśmy się szklankami.

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

To był mój pierwszy błąd w stosunkach z Dakiem Broadbentem. Zamiast odpowiedzieć „Szerokiej przestrzeni!” albo „bezpiecznego lądowania!”, zlustrował mnie od stóp do głów i odparł:

- Miło mi, ale pomyliłeś adres. Nigdy nie byłem na zewnątrz.

W tym momencie także powinienem trzymać gębą na kłódkę. Ci z kosmosu i rzadko odwiedzają takie bary jak Casa Manana; nie był to ich ulubiony typ hotelu i znajdował się zbyt daleko od portu. Jeśli jednak ktoś pojawia się w ziemskich ciuchach, szuka ciemnego kąta i udaje, że nie jest z kosmosu, to wyłącznie jego sprawa. Sam też wiele razy grałem w tę gierkę, żeby widzieć, a jednocześnie nie rzucać się w oczy - byłem kiedyś winien trochę forsy tu i tam, nic wielkiego, ale nieprzyjemne. Powinienem wiedzieć, że on też ma swoje powody, i uszanować je.

Ale moje struny głosowe nagle zaczęły żyć własnym życiem, dzikie i swobodne:

- Nie wstawiaj mi kitu, brachu pilocie - odparłem. - Jeśli jesteś ziemskim szcurem, to ja jestem burmistrzem Tycho City. Założą się, że więcej w życiu wypijeś na Marsie, niż na Ziemi - dodałem, widząc, jak ostrożnie podnosi szklankę: zdradziecki odruch ludzi przyzwyczajonych do słabej grawitacji.

- Mów ciszej - syknął, nie poruszając wargami. - Skąd ta pewność, że jestem

wojazerem? Nie znasz mnie przecież.

- Przepraszam - odparłem. - Możesz być wszystkim, czym tylko chcesz. Ale ja mam oczy. Zdradziłeś się w pierwszej chwili, kiedy tu wszedłeś.

Mruknął coś cicho.

- Jak?

- Nie przejmuj się tak bardzo. Wątpię, czy ktoś poza mną to zauważył. Ale ja widzę różne rzeczy, których nie widzą inni ludzie.

Podałę mu wizytówkę nieco zbyt dumnym gestem. W końcu jest tylko jeden Lorenzo Smythe, Jednoosobowa Spółka Akcyjna. Tak. Jestem „Wielkim Lorenzo” - stereo, mydlana opera... „Pantomimista i Niezwykły Mistrz Kamuflażu”.

Przeczytał kartą i wsunął ją do kieszonki na rękawie. Zrobiło mi się przykro, bo te prostokąciki kosztowały mnie majątek: autentyczna imitacja ręcznej grawerki.

- Wiem, o co ci chodzi - rzekł półgłosem. - Ale co było nie w porządku z moim zachowaniem?

- Pokażą ci - odparłem. - Dojdę do drzwi jak szczur ziemski i wrócę tak, jak ty chodzisz. Patrz.

Zademonstrowałem mu, w powrotnej drodze naśladowując nieco przesadnie jego ruchy, aby nawet niewprawne oko mogło dostrzec różnicę - stopy lekko ślizgają się po podłodze, jakby to były płyty pokładu, ciężar ciała przeniesiony w przód i równoważony kołysaniem bioder, ręce nieco odsunięte od tułowia, gotowe do chwytania.

Istnieje jeszcze z tuzin innych szczegółów, których nie da się opisać słowami, ale najważniejsze jest to, że trzeba być pilotem kosmicznym, żeby w tak charakterystyczny sposób się poruszać... Należy tym po prostu żyć. Człowiek z miasta przez całe życie pędzi po gładkim ziemskim podłożu, z ziemską grawitacją, a jednak wystarczy pudełko po papierosach, żeby się potknął, wierzcie lub nie. Pilot kosmiczny - nigdy.

- Wiesz już, o co mi chodzi? - zagadnąłem, wsuwając się z powrotem na swoje miejsce.

- Obawiam się, że tak - przyznał kwaśno. - Czyja naprawdę tak chodzę?

- Tak.

- Mmmm... chyba muszę brać u ciebie lekcje.

- Mogło być gorzej - odparłem.

Siedział teraz i gapił się na mnie. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i skinął palcem na barmana, by napełnił nasze puste szklaneczki. Kiedy drinki pojawiły się na blacie, zapłacił za nie, opróżnił swoją szklankę i wstał z miejsca jednym płynnym ruchem.

- Zaczekaj na mnie - poprosił półgłosem.

Nie mogłem odmówić, skoro miałem przed nosem darmowy trunek. Zresztą nie chciałem. Zainteresował mnie. Polubiłem go, nawet jeśli nasza znajomość trwała niecałe dziesięć minut. Był typem przystojnego wielkiego brzydala, za którym szaleją kobiety i którego słuchają mężczyźni.

Z wdziękiem torował sobie drogę przez pokój, mijając po drodze do drzwi stół zajęty przez czterech Marsjan. Nie lubię Marsjan. Nie podoba mi się, kiedy coś, co wygląda jak klocek drewna, na którym powieszono kask tropikalny, żąda takich samych praw jak człowiek. Nie cierpię sposobu, w jaki wypuszczają nibynóżki. Przypomina mi to węże wypełzające z dziur. Nie podoba mi się, że mogą widzieć wszystko wokół, nie odwracając głowy - jeśli to w ogóle można nazwać głową, co wcale nie jest oczywiste. No i nie mogłem ścierpieć ich smrodu!

Nikt nie może mnie nazwać rasistą. Nie obchodzi mnie, jakiego koloru, religii czy rasy jest człowiek. Ale ludzie to ludzie, a Marsjanie to coś. Z mojego punktu widzenia nie są nawet zwierzętami. Przynajmniej ja osobiście wolałbym mieć przy sobie parszywą świnię. Wpuszczanie ich do barów i restauracji, uczęszczanych przez ludzi, uważam za oburzające. No, ale Traktat niestety istnieje, więc co mam robić?

Tej czwórki nie było tam, kiedy przyszedłem. Na pewno bym ich poczuł. A skoro już o tym mowa, nie dostrzegłem ich również kilka minut temu, kiedy podchodziłem do drzwi. A teraz sterczeli na swoich postumentach wokół stołu i udawali, że są ludźmi. Nie usłyszałem nawet, jak klimatyzacja zwiększyła obroty.

Darmowy drink, który stał przede mną, nagle przestał mnie pociągać. Chciałem tylko, żeby mój gospodarz wrócił wreszcie i żebym mógł się grzecznie wynieść. Nagle przypomniałem sobie, że on także rzucił wzrokiem w tamtym kierunku, a potem nagle zaczęło mu się spieszyć. Ciekaw byłem, czy Marsjanie mają z tym coś wspólnego. Spojrzałem w ich stronę, usiłując stwierdzić, czy interesują się moim stolikiem, ale jak, do licha, zorientować się, na co patrzy albo o czym myśli taki Marsjanin? I to była jeszcze jedna rzecz, jaka mi się w nich nie podobała.

Siedziałem tak od kilku minut, bawiąc się drinkiem i zastanawiając się, co się stało z moim kumplem pilotem. Miałem nadzieję, że jego gościnność rozciągnie się na kolację, a może nawet, kiedy staniemy się wystarczająco simpatico, uda mi się zaciągnąć jakąś malutką pożyczkę. Inne widoki – muszę to niestety przyznać! – były marne. Ostatnio dwa razy, kiedy próbowałem skontaktować się z moim agentem, odpowiedziała mi tylko automatyczna sekretarka. Nagrałem wiadomość i tyle. A jeśli nie wrzucę monety, drzwi mojego pokoju

także pozostaną zamknięte tej nocy... Tak nisko upadłem, że musiałem korzystać z kabin mieszkalnych.

Kelner dotknął mojego ramienia, wyrwijając mnie z bagna melancholijnych rozważań.

- Telefon do pana, sir.

- He? Dzięki, przyjacielu, czy możesz przynieść ten przyrząd tu, do stolika?

- Przykro mi, sir, ale nie mogę go przełączyć. Proszę przejść do kabiny numer dwanaście, w holu.

- Och, dzięki - odparłem, siląc się na uprzejmość, bo nie miałem na napiwek.

Wyszedłem, szerokim łukiem omijając Marsjan.

Szybko przekonałem się, dlaczego rozmowy nie można było przełączyć do stolika. Dwunastka była kabiną o maksymalnym zabezpieczeniu przed podglądem, podsłuchem i zakłóceniami. Ekran nie pokazywał żadnego obrazu, pozostał mlecznobiały nawet wtedy, kiedy zamknąłem drzwi. Milczał, dopóki nie usiadłem, umieszczając twarz w zasięgu czujnika. Dopiero wtedy opalizujące obłoki rozwiały się i stwierdziłem, że patrzę w twarz mojego przyjaciela pilota.

- Przepraszam, że tak sobie poszedłem – powiedział szybko.- Ale trochę się spieszyłem. Chcą, żebyś natychmiast poszedł do hotelu Eisenhower, pokój dwa tysiące sto sześć.

Ani słowem nie wyjaśnił, o co chodzi. „Eisenhower” tak samo nie pasuje do pilota statku kosmicznego, jak Casa Manana. Węszyłem kłopoty. Nie wybiera się obcej osoby w barze i nie każe jej się przyjść do pokoju hotelowego... przynajmniej, jeśli osoba jest tej samej płci.

- Po co? -zapytałem.

Pilot przybrał wyraz twarzy właściwy ludziom, których rozkazy zwykle spełniane są bez dyskusji. Studiowałem go z zawodowym zainteresowaniem - to nie to samo, co gniew, przypomina raczej chmurę gradową przed samą burzą.

Nagle wziął się w garść i odpowiedział spokojnie:

- Lorenzo, nie mam czasu wyjaśniać wszystkiego. Chciałbyś dostać robotę?

- Masz na myśli profesjonalny angaż? - odparłem powoli. Przez jedną potworną chwilę wyobraziłem sobie, że oferuje mi... no wiesz, robotę. Do tej pory zachowałem moją godność zawodową w stanie nienaruszonym, pomimo wybojów i upadków, jakie przynosił mi beczelny los.

- No jasne, że profesjonalny! - odparł szybko. - Wymaga najlepszego aktora, jakiego uda nam się dostać.

Nie pozwoliłem, aby ulga, jaką poczułem, odbiła się w wyrazie mojej twarzy. Prawda była bolesna - przyjąłbym skwapliwie każdą robotę w zawodzie... Chętnie zagrałbym nawet balkon w Romeo i Julii, ale nie wypadało tego po sobie pokazywać.

- Co to za angaż? - zapytałem powoli. - Mam raczej pełen terminarz...

Machnął ręką.

- Nie mogę przez telefon. Pewnie tego nie wiesz, ale każdy obwód kodujący może zostać odkodowany, o ile ma się porządny sprzęt. Pędź tu, czekam na ciebie!

Był wyraźnie podekscytowany, a zatem ja mogłem sobie pozwolić na brak zainteresowania.

- Nie, daj spokój - zaprotestowałem. - Jak ci się zdaje, kto ja jestem? Boy hotelowy? A może niewykształony młodzik, który prosi o przywilej pomachania sobie dzidą? Ja jestem Lorenzo! - poderwałem podbródek i przybrałem obrażoną minę. - Jaka jest twoja oferta?

- Hmm... cholera, nie mogę o tym gadać przez telefon! Ile zwykle dostajesz?

- Co? Pytasz o moje zarobki?

- Tak, tak!

- Za jeden występ? Czy za tydzień? A może jakiś kontrakt?

- Oj, nieważne. Ile dostajesz dziennie?

- Moje minimalne honorarium za jeden wieczór wynosi sto imperiałów.

Była to smutna prawda. Wprawdzie nieraz dawałem się skusić do zagrania w jakimś skandalicznym chłampie, ale rachunek nigdy nie opiewał na mniej niż właściwe honorarium. Człowiek musi mieć swoje standardy, wolałbym raczej zdechnąć z głodu.

- Doskonale - odparł szybko. - Sto imperiałów w gotówce, z ręki do ręki, jak tylko się tu zjawisz. Tylko się pośpiesz!

- Co? - z nagłym przerażeniem zrozumiałem, że bez problemu mogłem zażądać dwóch setek, a może i więcej. - Ale jeszcze się nie zgodziłem na przyjęcie angażu.

- To nieważne. Omówimy to sobie, kiedy już tu się zjawisz. Setka jest twoja, nawet jeśli nam odmówisz. Jeżeli się zgodzisz... nazwijmy to premią, oprócz całego wynagrodzenia. Czy wreszcie się wyłączysz i przyjdiesz tutaj?

Skłoniłem się.

- Oczywiście, sir. Chwilkę cierpliwości.

Całe szczęście, że hotel „Eisenhower” nie jest zbyt odległy od Casa Manana. Nie miałem nawet paru groszy na bilet kolejki podziemnej. Rozkoszowałem się więc prawie zapomnianą sztuką spaceru. Dało mi to czas na uporządkowanie myśli. Nie jestem durniem. Wiedziałem doskonale, iż jeśli facet jest tak napalony, że prawie wpycha mi forszę do garści,

najwyższy czas, żeby przystopować i przyjrzeć się własnym kartom, bo sprawa na pewno jest trefna albo niebezpieczna, albo i jedno, i drugie. Osobiście nie mam wielkich wymagań co do legalności jako takiej. Zgadzam się z Bardem, że prawo często jest idiotyczne. Z reguły jednak staram się pozostać po właściwej stronie ulicy.

Tym razem uznałem jednak, że mam niewystarczające dane, dlatego przestałem się nad tym zastanawiać, przerzuciłem pelerynę przez ramię i szedłem spacerkiem, rozkoszując się łagodną jesienną pogodą i bogatymi, różnorodnymi zapachami metropolii. Na miejscu uznałem, że bezpieczniej będzie skorzystać z windy towarowej z piwnicy na dwudzieste pierwsze piętro, zamiast pokazywać się w holu. Miałem niejasne wrażenie, że nie było to odpowiednie miejsce, aby dać się rozpoznać publiczności.

Mój przyjaciel podróżnik wpuścił mnie do środka.

- Dużo czasu ci to zajęło-burknął.

- Doprawdy? - skwitowałem, rozglądając się wokół siebie. Apartament był luksusowy, tak, jak się tego spodziewałem, ale panował w nim bałagan: wokół wałało się co najmniej tuzin szklanek i mniej więcej tyle samo kubków po kawie. Nie musiałem być specjalnie bystry, żeby się zorientować, że jestem ostatnim z długiej kolejki gości. Na kanapie leżał rozwalony drugi mężczyzna i łypał na mnie okiem. Jego również wstępnie zakwalifikowałem jako pilota. Spojrzałem pytająco, ale nie zamierzał się przedstawić.

- No, nareszcie się zjawiłeś. Przejdźmy do interesów.

- Jasne. Co mi przypomina - dodałem - że była mowa o premii, czy też zaliczce.

- A, tak – zwrócił się mój znajomy do faceta na kanapie - Jock, zapłać mu.

- Niby za co?

- Zapłać mu!

Teraz wiedziałem, kto tu rządzi, choć wkrótce miałem się przekonać, że zazwyczaj nie było takich wątpliwości, kiedy w pokoju znajdował się Dak Broadbent. Tamten zerwał się szybko, wciąż na mnie zerkając" odliczył mi jedną pięćdziesiątkę i pięć dziesiątek, Wsadziłem je do kieszeni niedbałym gestem, bez przeliczania.

- Jestem do waszej dyspozycji, panowie - oznajmiłem. Wielgas zagryzł dolną wargę.

- Po pierwsze, musisz uroczyście przysiąc, że nie wspomnisz o tej robocie nawet przez sen.

- Jeśli zwykłe słowo nie wystarczy, czy przysięga może załatwić sprawę? - spojrzałem na tego mniejszego, który znowu rozwalił się na kanapie. - Nie sądzę, żebyśmy się znali. Jestem Lorenzo.

Spojrzał na mnie, potem odwrócił wzrok.

- Nazwiska nie mają tu znaczenia - szybko wtrącił mój koleś z baru.

- Nie? Mój świętej pamięci ojciec, zanim umarł, wymógł na mnie trzy obietnice: po pierwsze, że nie będę mieszał whisky z czymkolwiek innym oprócz wody, po drugie, anonimowe listy mam wrzucać do kosza, po trzecie, nigdy nie powinienem rozmawiać z obcym, który nie chce się przedstawić. Życzę miłego wieczoru, panowie - skierowałem się w stronę drzwi, czując w kieszeni słodki ciężar setki imperialów.

- Czeka! Przystanąłem posłusznie.

- Masz absolutną rację. Nazywam się...

- Kapitanie!

- Zamknij się, Jock. Jestem Dak Broadbent, a ten, co tak zerka, to Jacques Dubois. Obaj jesteśmy podróżnikami. Mistrzowie pilotażu, wszystkie klasy, wszystkie przyspieszenia.

Skłoniłem się.

- Lorenzo Smythe - odrzekłem skromnie. - Żongler i artysta... z Klubu Jagniąt.

Pomyślałem sobie, że mam wobec nich zobowiązania.

- Dobra. Jock, spróbuj się uśmiechnąć dla odmiany. Lorenzo, czy zgadzasz się utrzymać naszą sprawę w tajemnicy?

- Będę milczał jak grób. To dyskusja między dżentelmenami.

- Niezależnie od tego, czy podejmiesz się tej roboty?

- Niezależnie od tego, czy dojdziemy do porozumienia, czy nie. Dopóki nikt nie weźmie mnie na tortury, wasza tajemnica jest bezpieczna.

- Doskonale wiem, co pewne środki farmakologiczne mogą zrobić z mózgiem człowieka, Lorenzo. Nie oczekujemy rzeczy niemożliwych.

- Dak - wtrącił się Dubois. - To pomyłka. Powinniśmy przynajmniej...

- Zamknij się, Jock. Nie pora na wątpliwości. Lorenzo, chcemy, żebyś się w kogoś wcielił. Wcielenie to musi być tak doskonałe, aby nikt, dosłownie nikt, nie poznał się na sprawie. Potrafisz zrobić coś takiego?

Zmarszczyłem brwi.

- Pierwsze pytanie brzmi nie: „czy potrafisz?“, ale „czy zechcesz?“. O co w tym wszystkim chodzi?

- Och, szczegóły omówimy później. W ogólnym zarysie jest to normalna praca dublera znanej osobistości publicznej. Jedyna różnica polega na tym, że wcielenie musi być tak doskonałe, aby zmylić nawet ludzi, którzy tego człowieka znają i z którymi spotyka się z bliska. Nie będzie to odbieranie defilady z trybun ani przypinanie medali młodemu harcerkom - spojrzał na mnie bystrym okiem. - Potrzebny jest prawdziwy aktor.

- Nie- odparłem natychmiast.

- Co? Nie wiesz jeszcze nic o samej robocie. Jeśli masz problemy z sumieniem, zapewniam cię, iż nie będziesz działał w sprzeczności z interesami człowieka, w którego się wcielisz... ani nikogo innego, o ile są legalne. To zadanie, które trzeba wykonać.

- Nie.

- Niech cię diabli, człowieku, dlaczego? Nie wiesz nawet, ile ci zapłacimy. , •

- Tu nie chodzi o pieniądze - odparłem stanowczo. - Jestem aktorem, nie dublerem.

- Nie rozumiem cię. Wielu aktorów uzupełnia luki w budżecie, dublując na forum publicznym znane osoby.

- Uważam ich za prostytutki, a nie kolegów. Pozwól, że wyrażę się jaśniej. Czy pisarz uważa autora cudzych wspomnień? Czy szanowałbyś malarza, który pozwala, aby kto inny podpisał jego obraz... za pieniądze? Pewnie nie rozumiesz ducha artysty, sir, ale może uda mi się wytłumaczyć ci to w sposób bardziej przystępny dla ludzi twojego zawodu. Czy zgodziłbyś się, za pieniądze, pilotować statek, podczas gdy kto inny, nie posiadający twoich mistrzowskich umiejętności, chodziłby w mundurze, przyjmował zaszczyty i publicznie ogłaszano by go Mistrzem? Zgodziłbyś się?

- To zależy za ile – prychnął Dubois. Broadbent zmarszczył brwi.

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

- Sir, dla artysty sztuka jest najważniejsza. Pieniądze to jedynie trywialny środek, umożliwiający mu tworzenie.

- Hm... no dobrze, a zatem nie zrobisz tego tylko dla pieniędzy. A czy zrobiłbyś to z innego powodu? Gdybyś czuł, że tak trzeba, a ty jesteś jedynym człowiekiem, który naprawdę może tego dokonać?

- Przyznaję, że istnieje taka możliwość, ale nie wyobrażam sobie, w jakich okolicznościach.

- Nie musisz nic sobie wyobrażać, wszystko ci wyjaśnimy. Dubois aż skoczył z kanapy:

- Ejże, czekaj no, Dak, przecież nie możesz...

- Zamknij się, Jock! On musi wiedzieć.

- Nie musi wiedzieć teraz... ani tutaj. A ty nie masz prawa narażać wszystkich dookoła, opowiadając mu całą historię. Przecież niczego o nim nie wiesz.

- Wkalkulowałem to w ryzyko. - Broadbent zwrócił się znowu w moją stronę.

Dubois złapał go za ramię i obrócił ku sobie.

- Niech cię cholera z tą kalkulacją! Do tej pory jakoś z tobą wytrzymałem, ale tym

razem, stary, zanim wyszczekasz mu wszystko, jeden z nas, albo ty, albo ja, nie będzie w stanie powiedzieć już ani słowa więcej!

Broadbent zrobił lekko zaskoczoną minę, po czym uśmiechnął się lodowato.

- Jock, stary druhu, myślisz, że dasz radę?

Dubois łypnął nań ponuro, ale się nie wycofał. Broadbent przewyższał go o głowę i był o jakieś dwadzieścia kilogramów cięższy. Po raz pierwszy poczułem sympatię do Dubois: wzrusza mnie urocza śmiałość kocięcia, waleczne serce kogutka lub gotowość małego człowieczka, by raczej zginąć, niż dać się poniżyć... Nie spodziewałem się wprawdzie, że Broadbent zechce go zabić, ale byłem przekonany, że zechce użyć Dubois w charakterze ścierki do podłogi.

Nie miałem zamiaru się wtrącać. Każdy człowiek ma prawo wybrać czas i sposób własnej klęski.

Czułem, jak napięcie narasta. Nagle Broadbent roześmiał się i klepnął Dubois po ramieniu.

- Dobrze, świetnie, Jock! - Obejrzał się na mnie i dodał cicho: - Mogę cię przeprosić na chwilę? Muszę z przyjacielem wypalić fajkę pokoju.

Apartament wyposażony był w hermetyczną kabinę, mieszczącą fax i telefon. Broadbent wziął towarzysza za ramię i zaprowadził go tam; przez chwilę dyskutowali zawzięcie.

Takie urządzenia w hotelach nie zawsze spełniają zadania, do jakich zostały przeznaczone i nie tłumią do końca fal dźwiękowych. „Eisenhower” jednak był luksusowym przedstawicielem gatunku i przynajmniej w tym przypadku kabina działała znakomicie: dostrzegałem ruchy ust, ale nie słyszałem ani słowa.

Ruchy warg widziałem jednak doskonale. Twarz Broadbenta skierowana była w moją stronę, a Dubois mogłem obserwować w lustrze na ścianie. Kiedyś, kiedy odgrywałem moją słynną rolę jasnowidza, zrozumiałem, po co ojciec łoł mi skórę tak długo, aż nauczyłem się czytać z ruchu ust... Rolę jasnowidza odgrywałem zawsze w jasno oświetlonej sali i używałem okularów, które... no, nieważne. Umiem czytać z ruchu warg.

Dubois mówił:

- Dak, ty cholerny, głupi, niemoralny, nieprawdopodobny durniu, czy naprawdę chcesz, żebyśmy skończyli, licząc kamienie na Tytanie? Ten zarozumiały wypierdek będzie sypał jak złoto.

Omam nie przegapiłem odpowiedzi Broadbenta. Zarozumiały! Jeśli nie liczyć obiektywnego uznania dla własnego geniuszu, uważałem się za bardzo skromnego człowieka.

Broadbent:

- ... lepszy wróbel w garści i tak dalej. Jock, nie mamy nikogo innego. Dubois:

- W porządku, ściągnij tu Doca Scortia ,niech go zahipnotyzuje i wstrzyknie mu soczek szczęścia. Ale nie mów mu, o co chodzi... przynajmniej dopóki nie jest z nami związany, a my znajdujemy się w niepewnej sytuacji.

Broadbent:

- Hm, Scortia sam mi powiedział, że do takiego przedstawienia nie wystarczy hipnoza i prochy. Musi z nami współpracować, inteligentnie współpracować.

- Gdzie ty widzisz inteligencję? - prychnął Dubois. - Spójrz na niego. Widziałeś kiedy koguta, paradującego po podwórzu? Pewnie, jest podobnego wzrostu, sylwetki, nawet czaszkę ma ukształtowaną jak Szefer... ale pod spodem nie ma nic. Spanikuje, zeżre go trema i będzie po nas. Nie zagra tej roli, to nędzna zapchajdziura!

Gdyby nieśmiertelnego Caruso oskarżono o fałszowanie, pewnie nie byłby tak urażony, jak ja w tej chwili. Mimo to uważam, że w tej właśnie chwili zasłużyłem sobie na płaszcz Burbage 'a i Bootha: z niezmaconym spokojem piłowałem paznokcie i udawałem, że nic się nie dzieje. Postanowiłem jedynie, iż pewnego dnia w ciągu dwudziestu sekund sprawię, że kolega Dubois będzie się śmiał i płakał na przemian. Odczekałem kilka minut, po czym wstałem i zbliżyłem się do kabiny. Kiedy zobaczyli, że nadchodzę i zamierzam się do nich przyłączyć, przestali rozmawiać.

- Najmocniej przepraszam, panowie - powiedziałem cicho. - Zmieniłem zdanie.

- Nie chcesz tej roboty? - Dubois wyraźnie ulżyło.

- Przeciwnie, przyjmuję angaż. Nie musicie mi nic wyjaśniać. Kolega Broadbent zapewnił mnie, że nie jest to praca, która mogłaby nadwreżyć moje sumienie, a ja mu wierzę. Zapewnił mnie, że potrzebuje aktora, a intencje producenta po prostu mnie nie interesują. Przyjmuję.

Dubois wydawał się wściekły, ale siedział cicho. Spodziewałem się, że Broadbent będzie zadowolony i okaże ulgę, tymczasem on wyglądał na zmartwionego:

- Dobrze - zgodził się. - Zatem do roboty, Lorenzo. Nie wiem, jak długo okażesz się nam potrzebny. Jestem pewien, że nie dłużej niż kilka dni, i przez ten czas będziesz wystawiony na widok publiczny tylko przez godzinę i jedynie raz lub dwa razy.

- To nie ma znaczenia, jeśli dacie mi dość czasu, aby przestudiować swoją rolę... a raczej wcielenie. Przez ile dni jednak w przybliżeniu będziecie mnie potrzebować? Muszę powiadomić mojego agenta.

- Och, nie! Nie rób tego!

- No... to na jak długo? Tydzień, więcej?

- Na pewno mniej... albo będzie po nas.

- Co?

- Nieważne. Czy sto imperialów dziennie wystarczy?

Zawahałem się, bo przypomniałem sobie, jak łatwo zgodzili się na moje minimalne honorarium tylko po to, żeby mnie przesłuchać... Uznałem jednak, że nadszedł czas, aby okazać wielkoduszność. Machnąłem ręką.

- Nie mówmy teraz o takich drobiazgach. Na pewno zaoferujecie mi honorarium odpowiednie do wartości mojego występu.

- Dobra, dobra. - Broadbent odwrócił się niecierpliwie. - Jock, wezwij bazę. Potem zadzwoń do Langstona i powiedz, że rozpoczynamy Plan Mardi Gras. Zsynchronizuj się z nim. Lorenzo... - skinął dłonią, żebym poszedł za nim, i skierował się do łazienki. Otworzył niewielkie pudełko i zapytał:

- Wiesz, co się robi z tym badziewiem?

Rzeczywiście, to było badziewie. Nieprofesjonalny zestaw do makijażu o niebotycznej cenie, sprzedawany młodzieży ogarniętej szałem światła rampy. Spojrzałem na ten chlam z lekkim wstrętem.

- Czy to znaczy, że mam się przebrać już, w tej chwili? Bez czasu na zapoznanie się z rolą?

- Co? Ach nie, nie! Chcę, żebyś zmienił sobie twarz... tak, aby na pewno nikt cię nie rozpoznał, kiedy będziemy wychodzili. Mam nadzieję, że to możliwe?

Odparłem sztywno, że każda sława niesie ze sobą ten ciężar, jakim jest możliwość rozpoznania w miejscu publicznym. Nie dodałem, że oczywiście Wielki Lorenzo znany jest niezliczonym rzeszom publiczności, która rozpozna go bezbłędnie w każdym miejscu.

- W porządku. Więc zmień facjatę, żeby cię rodzona matka nie poznała - odparł i wyszedł raptownie.

Westchnąłem i spojrzałem na zabaweczkę, jaką mi zaoferował. Pewnie myślał, że to jest właściwe narzędzie mojej pracy - tłuste smarowidła odpowiednie dla klauna, śmierdzący kit, sztuczne włosy, które wyglądały tak, jakby pochodziły z dywanu w salonie ciotki Maggie. Ani grama profesjonalnego podkładu, żadnych pędzli elektrycznych, żadnych nowoczesnych urządzeń do charakteryzacji. No, ale prawdziwy artysta potrafi dokonać cudów za pomocą spalonej zapałki i zawartości szafki kuchennej... i własnego geniuszu. Ustawiłem światła i pozwoliłem ponieść się wienie twórczej.

Istnieje wiele sposobów, aby uniemożliwić rozpoznanie dobrze znanej twarzy.

Najprostszym z nich jest zmylenie przeciwnika. Każ facetowi włożyć mundur i już na pewno nikt go nie zauważy... czy ktokolwiek pamiętałby twarz ostatnio widzianego policjanta? Czy zidentyfikowałby go później, przebranego za Araba? Na tej samej zasadzie opiera się metoda przyciągania uwagi. Wyposaż gościa w ogromny nochal, może nawet zniekształcony przez wielką narośl, a wówczas prostak będzie się gapił zafascynowany na tenże nos, człowiek kulturalny odwróci się dyskretnie... ale żaden z nich nie dostrzeże twarzy.

Nie zdecydowałem się na ten prymitywny manewr, ponieważ uznałem, że mój pracodawca wolałby, abym pozostał w ogóle niezauważony, niż zapamiętany jako osobnik dziwaczny, choć nierozpoznany. To znacznie trudniejsza sprawa. Każdy może wyglądać podejrzanie, ale aby umknąć czyjejs uwagi, trzeba być prawdziwym artystą. Potrzebowałem twarzy tak zwyczajniej, tak niemożliwej do zapamiętania, jak prawdziwa twarz nieśmiertelnego Aleca Guinnessa. Niestety, moje arystokratyczne rysy są aż nadto widoczne, nadto wytworne... prawdziwa tragedia dla aktora charakterystycznego. Jak mawiał mój ojciec: Larry, jesteś zbyt śliczny! Jeśli nie ruszysz leniwego zadu i nie zaczniesz się uczyć zawodu, przez pierwsze piętnaście lat będziesz grał młodzieniaszków i wyobrażał sobie, że jesteś aktorem, a potem skończysz jako sprzedawca cukierków w holu. »Śliczny« i »głupi« to dwa grzechy główne w szolbiznesie - a ty popełniasz je oba".

Potem ściągał pas i rozpoczynał stymulację moich szarych komórek. Ojciec był praktykującym psychologiem i uważał, że rozgrzanie glutei maximi za pomocą rzemienia odciąga od głowy młodego chłopaka nadmiar krwi. O ile teoria miała dość krótkie nogi, o tyle praktyka wykazywała, że cel uświęca środki; w wieku piętnastu lat mogłem stać na głowie na zwisającej linie i cytować Szekspira i Shawa strona po stronie... a nawet skraść komuś scenę jednym zapaleniem papierosa.

Byłem pogrążony w twórczym szale, kiedy Broadbent wsadził głowę do łazienki.

- Na Boga, nic jeszcze nie zrobiłeś! - wykrzyknął. Obejrzałem się z wyniosłą miną.

- Uznałem, że chcesz zobaczyć moje dzieło w najlepszym wydaniu, a to wymaga czasu. Uważasz, że dobra kucharka potrafi skomponować nowy sos na grzbiecie galopującego rumaka?

- Niech diabli porwą wszystkie rumaki! - spojrzał na czasomierz. - Masz sześć minut. Jeśli nie zrobisz nic do tej pory, będziemy musieli zaryzykować.

Oczywiście, wolałbym mieć mnóstwo czasu... ale dobrze przyjrzałem się mojemu ojcu, kiedy odgrywał wielopostaciową rolę w Morderstwie Hueya Longa: piętnaście wcieleń w ciągu siedmiu minut - i śmiem twierdzić, że raz odtworzyłem ją w czasie krótszym o dziewięć sekund niż on.

- Zostań tam, gdzie jesteś - prychnąłem przez ramię. – Zaraz przyjdę.

Ucharakteryzowałem się na Benny Greya, bezbarwnego podręcznego, który popełnił wszystkie morderstwa w Domu bez drzwi - dwa szybkie maźnięcia, kreślące linie znużenia od nosa po kąciki warg, ledwie cień worków pod oczami i bladość Nr 5 Factora na to wszystko, co zabierało mi za każdym razem po dwadzieścia sekund. Mógłbym to zrobić nawet we śnie. Dom był grany dziewięćdziesiąt dwa razy, zanim go wreszcie zdjęli z afisza.

Potem spojrzałem na Broadbenta.

- Wielki Boże - jęknął. - Nie wierzę!

Pozostałem Bennym Greyem i nie uśmiechnąłem się z dumą. Broadbent nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, że podkład był w gruncie rzeczy niepotrzebny. Oczywiście, ułatwiał sprawę, ale użyłem go głównie dlatego, że tego oczekiwał. Jak każdy laik, uważał, że makijaż składa się głównie z farb i pudru.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

- Wiesz co? - wykrztusił zdumionym głosem. - Mógłbyś zrobić coś takiego ze mną? Równie szybko?

Już chciałem powiedzieć: nie, kiedy zdałem sobie sprawę, że to prawdziwe profesjonalne wyzwanie. Miałem wielką ochotę oznajmić, że gdyby w wieku pięciu lat dostał się w ręce mojego ojca, teraz byłby może gotów do sprzedawania waty cukrowej na targu, ale zmieniłem zdanie.

- Chcesz tylko, aby nikt cię nie rozpoznał? - upewniłem się.

- Tak, tak! Pomaluj mnie, przypraw mi fałszywy nos albo coś w tym stylu!

Potrząsałem głową.

- Z każdym makijażem będziesz wyglądał jak dzieciak przebrany na maskaradę. Nie umiesz grać i w twoim wieku nigdy się nie nauczysz. Twojej twarzy nawet nie tknę.

- Co? A jakbyś mi zrobił taki dziób...?

- Poczekaj. Cokolwiek bym zrobił z tym lordowskim nosem, tylko ściągnęłoby na niego uwagę, zapewniam cię. Wystarczy chyba, jeśli jakiś znajomy spojrzy na ciebie i powie: „Patrzcie, jaki ten gość podobny do Daka Broadbenta. Oczywiście, to nie Dak, ale jest pewne podobieństwo”? No i co?

- Hm? Myślę, że tak. Oczywiście, jak długo będzie pewien, że to nie ja. Powinienem być na... och, po prostu nie powinno mnie być teraz na Ziemi.

- Aby ugruntować w nim to przekonanie, zmienimy ci sposób chodzenia. To właśnie jest twoja najbardziej charakterystyczna cecha. Jeśli zaczniesz chodzić inaczej, to na pewno nie będziesz ty... tylko jakiś inny grubokościsty facet o szerokich barach, który jest trochę do

ciebie podobny.

- No dobrze, pokaż mi, jak chodzić.

- Nie, sam nigdy się tego nie nauczysz. Zmuszę cię, żebyś chodził tak, jak ja chcę.

- Jak?

- Wsadzimy ci garść kamyków albo czegoś takiego w czubki butów. To cię zmusi do chodzenia z pięty i wyprostowania się. Już nie będziesz się skradał kocim krokiem pilota. Mmmm... przykleję ci kawałek taśmy na plecach, żebyś pamiętał o odchyleniu ramion do tyłu. To powinno wystarczyć.

- Myślisz, że mnie nie rozpoznają, bo będę inaczej chodził?

- Jasne. Znajomy nie potrafi określić, dlaczego jest pewien, że to nie ty, ale to podświadome wrażenie oddali jego wątpliwości. Och, zrobię to i owo z twoją twarzą, tak tylko, żebyś poczuł się lepiej, ale to nie jest konieczne.

Zawrócił do salonu. Ja, oczywiście, wciąż pozostawałem Bennym Greyem, bo kiedy już wejdę w rolę, muszę się naprawdę postarać, żeby z niej wyjść i stać się na powrót sobą. Dubois wisiał na telefonie. Podniósł wzrok, zobaczył mnie i szczeka mu opadła. Wskoczył z kabiny i wrzasnął:

- A to kto znowu? I gdzie się podział ten aktorzyzna?

Po pierwszym spojrzeniu na mnie nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć po raz drugi. Benny Grey to taki smętny, znużony facecik, że nawet nie chce się na niego patrzeć.

- Jaki aktorzyzna? - zapytałem głuchym, bezbarwnym głosem Benny'ego, co sprawiło, że Dubois zaszczyił mnie spojrzeniem. Zerknął, zaczął odwracać wzrok, znowu spojrzął najpierw na mnie, potem na ubranie. Broadbent ryknął śmiechem i walnął go w ramię.

- A ty mówiłeś, że on nie umie grać! -i dodał szybko: - Powiadomiłeś wszystkich, Jock?

- Tak. - Dubois spojrzął na mnie w lekkiej zadumie, po czym odwrócił wzrok.

- To dobrze. Musimy się stąd wynieść w ciągu czterech minut. Zobaczmy, jak szybko uda ci się mnie przerobić, Lorenzo.

Dak zdjął jeden but i bluzę. Podciągnął koszulę, żebym mógł przykleić mu taśmę na ramiona, kiedy nagle nad drzwiami zapłonęła lampka i rozległ się dzwonek. Zamarł.

- Jock? Spodziewasz się kogoś?

- To pewnie Langston. Powiedział, że spróbuje tu dotrzeć, zanim wyjdziemy. - Dubois ruszył w stronę drzwi.

- On albo i nie. To może być... - nie usłyszałem, co powiedział Broadbent na temat ewentualnej możliwej tożsamości przybysza. Dubois uchylił drzwi. We framudze, niczym

upiorna purchawa, stał Marsjanin.

Przez jedną, potworną chwilę widziałem tylko jego. Nie zauważyłem stojącego za nim człowieka ani buławy życia, którą Marsjanin dzierżył w pseudo kończynie.

Wtedy Marsjanin wpłynął do środka. Towarzyszący mu człowiek wszedł w ślad za nim i drzwi zamknęły się cicho.

- Dobry wieczór, panowie - zaskrzeczał Marsjanin. – Wybieracie się gdzieś?

Stałem jak wryty, ogarnięty atakiem ostrej ksenofobii. Dak był skrupowany podkasany odzieniem. Za to mały Jock Dubois ruszył na nich z bohaterstwem, za które pokochałem go jak brata na chwilę przed śmiercią... Rzucił się na buławę. Nawet nie próbował jej uniknąć.

Nie żył już, kiedy upadł na podłogę - nie mógł żyć z tą ogromną dziurą wypaloną w brzuchu, tak wielką, że można było włożyć w nią całą pięść - ale nie puścił buławy. Pseudokończyna Marsjanina rozciągnęła się jak guma, pękła tuż u nasady szyjki potwora, a biedny Jock wciąż ścisnął buławę w martwych ramionach.

Człowiek, towarzyszący tej cuchnącej istocie, musiał odstać na bok, żeby wystrzelić. Popęłił błąd. Powinien był najpierw zastrzelić Daka, a potem mnie. Zamiast tego zmarnował pierwszy strzał na Jocka, a do drugiego już nie zdążył się złożyć. Dak strzelił mu prosto w twarz. Nawet nie wiedziałem, że ma przy sobie broń.

Pozbawiony broni Marsjanin nie próbował uciekać. Dak skoczył na nogi, przysunął się do niego i mruknął:

- Ach, Rrringriil, widzę cię.

- Widzę cię, kapitanie Daku Broadbencie - zaskrzeczał Marsjanin i dodał: - Powiadomisz moje gniazdo?

- Powiadomię twoje gniazdo, Rrringriil.

- Dziękuję ci, kapitanie Daku Broadbencie.

Dak wysunął długi, kościsty palec i wetknął go w najbliższe ślepie; wciskał je, dopóki nie zaparł się pięścią w skorupę czaszki. Wyciągnął palec cały pokryty zielonkawą mazią. Pseudoczłonki stwora spazmatycznie wsunęły się w tułów, ale martwe cielsko wciąż pewnie stało na wielkiej stopie. Dak popędził do łazienki, a ja stałem jak wmurowany w ziemię, nie mniej sztywny niż świętej pamięci Rrringriil.

Dak wyszedł, wycierając dłonie o koszulę.

- Musimy tu posprzątać - oznajmił. - Nie ma zbyt wiele czasu.

Równie dobrze mógł mieć na myśli rozlany drink.

Próbowałem wyjaśnić mu w jednym nieskładnym zdaniu, że nie mam zamiaru mu

pomagać, że powinniśmy wezwać gliny, że chcę stąd wiać, zanim te gliny się zjawią, że może sobie zrobić z tą idiotyczną rolą dokładnie to, co sam wie, a ja rozwijam skrzydła i więcej przez okno, ale Dak zamknął mi usta jednym gestem.

- Nie łam się, Lorenzo. Jesteśmy już spóźnieni. Pomóż mi wrzucić trupy do łazienki.

- Co? Dobry Boże, chłopie! Zamykamy bajzel i więcej! Może nas z tym nigdy nie skojarzą!

- Pewnie nie - zgodził się uprzejmie - ponieważ żadnego z nas miało tu nie być. Ale zobaczą, że Rrringriil zabił Jocka, a na to nie możemy sobie pozwolić. Przynajmniej nie teraz.

- Co?

- Nie wolno nam dopuścić, żeby ukazały się sensacyjne nagłówki o Marsjaninie, który zabił człowieka. Zamknij się więc i pomóż mi.

Zamknąłem się i pomogłem mu. Uspokoilem się, kiedy sobie przypomniałem, że prawdziwy Benny Grey był najgorszym z sadystycznych psychopatów, który z radością kroił na kawałki swoje ofiary. Pozwoliłem zatem, aby „Benny Grey” zawlókł do łazienki dwa ludzkie ciała, podczas gdy Dak za pomocą buławy życia pokroił Rrringriila na małe, poręczne kawałki. Uważał oczywiście, żeby pierwsze cięcie wypadło poniżej czaszki, tak, aby nie nabrudzić, ale i tak nie potrafiłbym mu pomóc. Wydawało mi się, że martwy Marsjanin śmierdzi jeszcze gorzej niż żywy.

Schówek ukryty był za panelem i trudny do znalezienia. Na szczęście oznaczono go koniczynką, symbolizującą promieniowanie. Po wepchnięciu tam kawałków Rrringriila (udało mi się powstrzymać mdłości przynajmniej na tyle, żeby pomóc) Dak zajął się ciałami ludzi, wciąż korzystając z buławy i oczywiście wanny.

To zadziwiające, ile krwi mieści w sobie ludzkie ciało. Woda lała się przez cały czas, ale i tak było paskudnie. Dopiero jednak kiedy Dak zabrał się za szczątki biednego Jocka, naprawdę nie zdzierzył. Oczy napełniły mu się łzami, co oślepiło go na dobre. Nie mogłem pozwolić, żeby poobcinał sobie palce, więc odepchnąłem go i pozwoliłem, żeby moje miejsce zajął Benny Grey.

Kiedy skończyłem i wokół nie pozostał żaden ślad, że w apartamencie było kiedyś jeszcze dwóch ludzi i jeden potwór, dokładnie opłukałem wannę i wyprostowałem się. Dak stał w drzwiach, spokojny jak zawsze.

- Wyczyściłem podłogę –oznajmił -.Oczywiście doświadczony kryminolog z właściwym sprzętem mógłby odtworzyć bieg wydarzeń, ale liczymy na to, że nikt niczego nie podejrzewa. Wyośmy się zatem. Teraz musimy nadrobić prawie dwanaście minut. Chodź!

Nawet nie miałem siły pytać, dokąd ani po co.

- No to w drogę. Zajmijmy się twoimi butami.

- Nie, to za długo potrwa – potrząsnął głową.- Teraz szybkość jest ważniejsza niż to, żeby nas nie rozpoznali.

- No to jestem w twoich rękach – powiedziałem i poszedłem za nim do drzwi.

Zatrzymał się na chwilę.

- Może ich być więcej. Nie pytaj, tylko strzelaj. Nie pozostaje ci nic innego. - W dłoni miał buławę, ukrytą pod przerzuconym płaszczem.

- Marsjanie?

- Albo ludzie. Albo i jedni, i drudzy.

- Dak? Czy Rrringriil był jednym z tamtych w barze Manana?

- Pewnie tak. A jak sądzisz, po co kluczyłem, żeby cię stamtąd wyciągnąć aż tutaj? Albo szli za tobą, tak jak my, albo za mną. Nie rozpoznałeś go?

- Wielkie nieba, nie! Te potwory wyglądają dla mnie wszystkie jednakowo.

- Oni mówią o nas dokładnie tak samo. Ci czterej to byli Rrringriil, jego krewny Rrringlath i dwaj inni z jego gniazda, ale z innych linii. Ale cicho. Jeśli zobaczysz Marsjanina, strzelaj. Masz drugi pistolet?

- Mam. Słuchaj Dak, nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale jak długo te bestie są przeciwko tobie, jestem z tobą. Nienawidzę Marsjan.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Nie wiesz, co mówisz. Nie walczyliśmy z Marsjanami, ta czwórka to renegaci.

- Co takiego?

- Jest mnóstwo dobrych Marsjan, prawie wszyscy. Do licha, nawet Rrringriil nie był taki zły, jeśli o tym mowa. Rozegrałem z nim parę udanych partyjek szachów.

- Cooo? W takim razie już...

- Zamknij się. Wlazłeś za głęboko, żeby się teraz wycofywać. Biegnijmy prosto do metra. Będę cię krył.

Zamknąłem się. Niezaprzeczalnie tkwiłem w tym już o wiele za głęboko.

Zbiegliśmy do podziemia i ruszyliśmy czym prędzej w stronę ekspresowego metra. Właśnie zwolniła się dwuosobowa kapsuła. Dak wepchnął mnie do środka tak szybko, że nie zdążyłem zobaczyć, jaką ustawił kombinację. Nie byłem jednak wcale zdumiony, kiedy w momencie, gdy ucisk w piersi zelżał, ujrzałem mrugającą tablicę: PORT LOTNICZY JEFFERSON - WYSIADAĆ!

Właściwie nie robiło mi żadnej różnicy, jaka to stacja, byle była możliwie najbardziej oddalona od hotelu „Eisenhower”. Kilka minut, jakie spędziliśmy w wagoniku próżniowym,

wystarczyło, aby w mojej głowie powstał plan - szkicowy, nieśmiały, podlegający zmianom bez uprzedzenia, jak to zawsze dodają drobnym drukiem, ale zawsze plan. Można go było streścić w jednym słowie: zniknąć!

Jeszcze rano uważałbym ten plan za bardzo trudny do zrealizowania. W naszej kulturze człowiek bez grosza w kieszeni jest całkiem bezradny, jak niemowlę. Ale z setką kawalców w kieszeni mogłem poruszać się szybko i daleko. Nie czułem żadnych zobowiązań wobec Daka Broadbenta. Miał jakieś swoje powody - w żadnym wypadku nie moje! — z jakich omal nie pozwolił mnie zabić, a potem wplątał mnie w zacieranie śladów zbrodni i sprawił, że stałem się uciekinierem. Na razie jednak uciekliśmy policji, a teraz wystarczyło tylko zgubić Broadbenta, żeby zapomnieć o całej sprawie i odstawić ją na półkę jak zły sen. Nie istniało zbyt wielkie prawdopodobieństwo, żeby ktoś skojarzył mnie z tym wszystkim, nawet gdyby mnie odkryli. Na szczęście dżentelmen zawsze nosi rękawiczki, a ja zdjąłem je tylko do nakładania makijażu i później przy tym makabrycznym sprzątaniu.

Poza gorącym wybuchem młodzieńczego heroizmu, jakiego doznałem, kiedy sądziłem, że Dak walczy z Marsjanami, jego sprawy kompletnie mnie nie interesowały. Teraz, kiedy dowiedziałem się, że ogólnie rzecz biorąc lubi Marsjan, zgasła we mnie nawet ta ostatnia, słaba iskierka sympatii. A tej jego roli nie tknął bym nawet przysłowiowym dwumetrowym kijem. Do diabła z Broadbentem! Od życia chciałem jedynie tyle forsy, żeby utrzymać w kupie ducha i ciało, i żeby móc dalej uprawiać sztukę. Nie interesowała mnie zabawa w policjantów i złodziei, bo to kiepski teatrzyk,

Port Jefferson wydawał się jak skrojony na miarę dla moich planów. Panował tam tłok i chaos, ekspresowe kolejki, pędzące do i ze stacji, otaczały go pajęczą siecią. Wystarczyłoby, żeby Dak spuścił mnie z oka na pół minuty, a znajdę się w połowie drogi do Omaha. Przyczaję się na kilka tygodni, a potem skontaktuję się z agentem, żeby się dowiedzieć, czy ktoś o mnie nie pytał.

Dak jednak zatroszczył się o to, abyśmy wysiedli z kapsuły jednocześnie. W przeciwnym przypadku zatrzasnął bym drzwi i natychmiast skierował się gdzie indziej. Udałem, że nic nie widzę, i szedłem za nim jak szczeniak u nogi. Podjechaliśmy taśmą do górnego holu, który znajdował się tuż pod powierzchnią, i wylądowaliśmy pomiędzy biurkiem PanAm a Skyline. Dak ruszył na drugą stronę pomieszczenia w kierunku Diana Ltd. Przypuszczałem, że zamierza kupić bilety na wahadłowiec na Księżyc - nie miałem pojęcia, jak zamierzał wprowadzić mnie na pokład bez paszportu i certyfikatu szczepienia, ale wiedziałem, że jego pomysłowość nie ma granic. Uznałem, że najlepiej będzie wtopić się w tło w chwili, gdy zajrzy do portfela - człowiek, który liczy pieniądze, ma umysł i oczy zajęte

przez co najmniej kilka sekund.

My jednak minęliśmy biurko Diany i przeszliśmy przez bramkę oznakowaną tabliczką: „Miejsca Prywatne”. Korytarz za nią był wyludniony, a ściany całkiem puste. Z przerażeniem stwierdziłem, że właśnie w tamtym zatłoczonym holu przeszła mi koło nosa ostatnia szansa. Zatrzymałem się raptownie:

- Dak? Będziemy skakać?

- Oczywiście.

- Chyba ci odbiło. Nie mam papierów, nie mam nawet karty turystycznej na Księżyc.

- Nie jest ci potrzebna.

- Co? Zatrzymają mnie w punkcie „Emigracja”, a potem wielki, tłusty glina z byczym karkiem zacznie mi zadawać pytania.

Dłoń wielkości sporego kota zacisnęła się wokół mojego ramienia.

- Nie traćmy czasu. Po co mamy przechodzić przez punkt „Emigracja”, kiedy ty oficjalnie nigdzie nie wyjeżdżasz, a ja oficjalnie nigdy tu nie przyjeżdżałem? Przebieraj nogami, staruszk.

Jestem dobrze umięśniony i nie całkiem chuchrowaty, ale poczułem się ubezwłasnowolniony. Zobaczyłem znak „dla mężczyzn” i uczyniłem desperacki wysiłek, żeby się zatrzymać.

- Dak, chwileczkę, proszę. Muszę odcedzić kartofelki...

- He? - wyszczerzył do mnie zęby. - Przecież byłeś przed wyjściem z hotelu.

Nie zwolnił i nie wypuścił mnie z garści.

- Lorenzo, staruszk, czuję, że masz niezłego pietra. Wiesz, co zrobię? Widzisz tam tego glinę?

Na końcu korytarza, koło stacji prywatnych pojazdów, okazały egzemplarz stróża spokoju publicznego próbował ulżyć ogromnym stopom, przewieszając się przez kontuar.

- Mam nagły atak wyrzutów sumienia. Chyba muszę się wypowiedzieć... jak zabiłeś gościa Marsjanina i dwóch lokalnych obywateli, jak mierzyłeś do mnie z pistoletu i zmusiłeś do pozbycia się ciała. Jak...

- Oszalałeś Dak?

- Jasne, ze zgrozy, kumplu.

- Ale... przecież nic na mnie nie masz.

- No to co? Moja historyjka zabrzmi na pewno bardziej przekonująco niż twoja. Ja wiem, o co w tym wszystkim chodzi, a ty nie. Wiem o tobie wszystko, a ty o mnie nic. Na przykład... - Wymienił kilka szczegółów z mojej przeszłości, co do których byłem pewien, że

zostały zapomniane i pogrzebane. No dobrze, występowałem trochę tu i tam w przedstawieniach, które nie dla całej rodziny się nadają, jednak człowiek musi przecież z czegoś żyć. Ale jeśli chodzi o Be: be, to było nieuczciwe. Naprawdę nie wiedziałem, że jest nieletnia. No, a ten rachunek hotelowy... Ja wiem, że ucieczka bez zapłaty w Miami Beach to prawie to samo, co napad z bronią w rękę gdzie indziej, a w ogóle takie zachowanie jest bardzo prowincjonalne, ale naprawdę zapłaciłbym, gdybym miał czym. Tamten zaś incydent w Seattle... Nieważne, chciałem po prostu wytłumaczyć, że Dak wiedział o mnie naprawdę dużo, ale z niewłaściwego punktu widzenia. A jednak... -No cóż - ciągnął dalej. - Teraz pójdziemy do tego żandarma i zrzucimy z ramion to brzemię. Stawiam siedem do dwóch, któremu z nas uwierzą.

Podeszliśmy zatem do gliniarza i minęliśmy go spokojnie. Rozmawiał z urzędniczką po drugiej stronie balustrady i żadne z nich nawet nie podniosło głowy. Dak wyjął dwa bilety z napisem: PRZEPUSTKA-ZEZWOLENIE OBSŁUGI-MIEJSCE K-127 i wprowadził do monitora. Maszyna zeskanowała je, napis na szybie polecił nam wsiąść do wózka na górnym poziomie, kod King 127. Bramka przepuściła nas i zatrzasnęła się za naszymi plecami, a głos z taśmy oznajmił:

- Proszę uważnie patrzeć pod nogi i przestrzegać ostrzeżeń o promieniowaniu. Kompania Terminal nie odpowiada za wypadki poza bramką.

Dak wprowadził do wózka całkowicie inny kod. Pojazd okręcił się, wybrał szlak i ruszyliśmy pod poziom pola. Nic mnie to nie obchodziło. Miałem wszystko w nosie.

Wysiedliśmy, a małe autko zawróciło tam, skąd przyjechało. Przed sobą zobaczyłem drabinę, wiodącą do otworu w stalowym suficie. Dak trącił mnie łokciem.

- Na górę.

U szczytu drabiny znajdował się właz z napisem: UWAGA, PROMIENIOWANIE. OPTIMAX 13 SEKUND. Cyfry zostały dopisane kredą. Zawahałem się. Nigdy nie chciałem mieć potomstwa, ale aż takim idiotą to ja nie jestem. Dak zaśmiał się.

- Masz na sobie ołowiane majtki? Otwieraj, przechodź szybko i wspinaj się wprost do statku. Jeśli nie będziesz po drodze przystawał, żeby się podrapać, zdążysz z zapasem co najmniej trzech sekund.

Chyba zdążyłem z zapasem pięciu sekund. Przez jakieś trzy metry znajdowałem się w słońcu, a potem pogrążyłem się w stalowej rurze, wiodącej do statku. Przeskakiwałem mniej więcej co trzy szczeble.

Stateczek wydawał się nieduży, przynajmniej jeśli sądzić po dość ciasnym mostku. Nie udało mi się zobaczyć go z zewnątrz. Przedtem bywałem jedynie na dwóch statkach

kosmicznych - wahadłowcu księżycowym „Evangeline” i jego siostrzanej jednostce „Gabrieli”. Było to wtedy, kiedy nieostrożnie przyjąłem pracę na Księżycu. Nasz impresario uznał, że żonglerka, spacer po linie i wyczyny akrobatyczne będą się nieźle prezentować w warunkach księżycowej jednej szóstej G. W zasadzie miał rację, tyle tylko, że nie wziął pod uwagę czasu niezbędnego na przyzwyczajenie się do niskiej grawitacji. Musiałem skorzystać z Ustawy o Pasażerach Znajdujących się w Kłopotach i straciłem całą garderobę.

Na mostku było dwóch ludzi: jeden leżał na fotelu przyspieszeniowym i kręcił pokrętłami, drugi wykonywał jakieś tajemnicze gesty długim śrubokrętem. Ten, który siedział, obrzucił mnie spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Drugi obejrzał się i zrobił zatroskaną minę.

- A co z Jockiem? - zapytał ponad moją głowę. Dak omal nie wypłynął z włazu za moimi plecami.

- Nie ma czasu! - rzucił - Skompensowałeś jego masę?

-Tak

- Red, wszystko gotowe? Co z wieżą? Mężczyzna na fotelu wycedził:

- Przeliczam wszystko co dwie minuty. Wieża w porządku. Minus czterdzieści... hm... siedem sekund.

- Złaz stamtąd! Szybko! Muszę się włączyć w to odliczanie!

Red leniwie zwlókł się z fotela. Dak usiadł na jego miejscu. Ten drugi wepchnął mnie na fotel drugiego pilota i zapiął mi pasy bezpieczeństwa. Sam obrócił się i wskoczył do włazu awaryjnego. Red podążył za nim, ale zatrzymał się, wystawiając jedynie głowę i ramiona.

- Bilety do kontroli! - zawołał wesoło.

- Och, stul pysk! - Dak poluzował pasy, sięgnął do kieszeni, wyciągnął dwie przepustki, dzięki którym dostaliśmy się na pokład, i rzucił w jego stronę.

- Dzięki - odparł Red. - Do zobaczenia w kościele. Dobrego odrzutu i tak dalej.

Zniknął z niedbałym wdziękiem. Usłyszałem syk zamykanej śluzy powietrznej i poczułem, że pękają mi bębenki. Dak nie odpowiedział na pożegnanie. Oczy miał wlepione w wyświetlacze komputera, na którym dokonywał jeszcze małych poprawek.

- Dwadzieścia jeden sekund - oznajmił. - Nie ma czasu na zmęczenie. Pamiętaj, żebyś ramiona miał pod pasem, a mięśnie rozluźnione. Pierwszy etap to bułka z masłem.

Zrobiłem, co mi kazał, a potem czekałem godzinami, walcząc z tremą. Wreszcie szepnąłem:

- Dak?

- Zamknij się.

- Powiedz mi tylko jedno: dokąd lecimy.

- Mars.

Zobaczyłem jeszcze, jak kciukiem wbija czerwony przycisk i straciłem przytomność.

2

Co jest takiego śmiesznego w człowieku, który boi się latania? Te chamy o żołądkach z żelaza zawsze się śmieją pewnie śmiałyby się też, gdyby ich babcia połamala sobie nogi.

Oczywiście zapadłem na chorobę kosmiczną natychmiast po wyłączeniu silników i przejściu w stan nieważkości. Doszedłem do siebie dość szybko, bo miałem prawie zupełnie pusty żołądek - nic nie przekąsiłem od śniadania-i przez całą ciągnącą się w nieskończoność resztę tej strasznej podróży byłem tylko potwornie nieszczęśliwy. Do punktu spotkania dotarliśmy po godzinie i czterdziestu trzech minutach, co dla takiego ziemskiego szczura, jak ja, równa się około tysiąca lat czyścica.

Muszę jednak przyznać Dakowi, że się nie śmiał. Był profesjonalistą i traktował moją normalną reakcję z bezosobową uprzejmością stewardesy - nie tak jak te jajogłowe, rozkrzyczane patałachy, które można spotkać na liście pasażerów wahadłowca na Księżyc. Gdybym miał na to jakiś wpływ, ci tryskający zdrowiem panikarze znaleźliby się zaraz na kosmicznym spacerku w połowie orbity i tam, w próżni, mogliby nawet umrzeć ze śmiechu.

Miałem zamęt w głowie i cisnęły mi się na usta tysiące pytań. Jednak dopiero gdy dolatywaliśmy już prawie do żagwiowca, znajdującego się na stacjonarnej orbicie wokół Ziemi, zdołałem zmusić się do jakiegokolwiek reakcji. Podejrzewam, że gdyby ofiarę choroby kosmicznej poinformować o tym, że zostanie stracona o świcie, skwitowałyby to jedynie odzywką:

- Tak? Proszę mi podać ten woreczek...

Wreszcie doszedłem już do siebie na tyle, że od gorącego pragnienia śmierci skala moich uczuć przechyliła się leciutko w stronę przelotnego, nieśmiałego zainteresowania dalszym życiem. Dak prawie przez cały czas był zajęty przy komunikatorze statku. Prawdopodobnie rozmawiał na bardzo wąskim paśmie, bo jego dłonie, jak dłonie strzelca namierzającego cel w trudnych warunkach, nieustannie pieściły kontrolkę dostrojenia. Nie słyszałem, co mówi, nie mogłem nawet czytać mu z warg, bo całą twarz wsadził do tej skrzynki z drutami. Podejrzewam, że rozmawiał ze statkiem dalekiego zasięgu, na który mieliśmy się przesiąść.

Wreszcie odepchnął na bok komunikator i zapalił papierosa. Z trudem powstrzymałem

skok żołądka, który podszedł mi do gardła na sam widok dymu tytoniowego i powiedziałem:

- Dak, czy już przypadkiem nie przyszedł czas, żebyś mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi?

- Będzie kupa czasu po drodze na Marsa.

- He? Niech cię cholera z tą arogancją- zaprotestowałem słabym głosem. - Nie chcę lecieć na Marsa. Nigdy nawet nie zastanawiałbym się nad twoją zbzikowaną ofertą, gdybym wiedział, że ma coś wspólnego z Marsem.

- Proszę bardzo. Wcale nie musisz lecieć.

- Nie?

- Służę masz za plecami. Wsiadaj i wracaj na piechotę, tylko nie zapomnij zamknąć drzwi.

Nie odpowiedziałem na tą idiotyczną propozycję.

- Jeśli jednak nie potrafisz oddychać w próżni - ciągnął dalej - najlepiej będzie, jeśli polecisz na Marsa, a ja zajmę się tym, żebyś wrócił bezpiecznie. „Pudełko” - tak nazywa się ta balia -wkrótce dobije do „Bankruta”, który jest superszybkim zagwiowcem. W siedemnaście sekund i mgnienie oka później „Bankrut” ruszy w kierunku Marsa, ponieważ musimy tam być najdalej w środę.

- Nie lecę na żadnego Marsa - odpowiedziałem z żalonym uporem chorego człowieka. - Zostanę tutaj, na tym statku. Ktoś go zabierze na Ziemię. Nie możesz mnie oszukać.

- Zgoda - odparł Broadbent. - Ale ciebie w nim nie będzie. Trójka gości, którzy zgodnie z rejestrem mają na tym statku wrócić do Portu Jefferson, w tej chwili znajduje się na „Bankrucie”. Pewnie zauważyłeś, że ta zabawka jest trzyosobowa. Obawiam się, że żaden z nich nie okaże chęci, by ustąpić ci miejsca. A poza tym, jak przedostaniesz się przez punkt „Imigracja”?

- Nic mnie to nie obchodzi! Przynajmniej będę na Ziemi.

- I w ciupie, pod zarzutem wszystkiego, co możliwe, od nielegalnego wejścia po stwarzanie zagrożenia na szlakach kosmicznych. W ostateczności będą przekonani, że coś przemycaś i zabiorą cię do jakiegoś małego, cichego pomieszczenia, gdzie wkłują ci igłę pod oko i wyciągną z ciebie wszystko, co próbowałeś kombinować. Będą wiedzieli, jakie zadawać pytania, i nie uda ci się powstrzymać od udzielenia odpowiedzi. Mnie jednak nie dasz rady w to wszystko wmieszać, bo stary, poczciwy Dak Broadbent nie był na Ziemi od jakiegoś czasu i ma na to wiarygodnych świadków.

Przez chwilę dumałem nad tym, zrozpaczony nie tylko z powodu nieustającej choroby

kosmicznej, ale i strachu.

- Przekupiłbyś policję? Ty brudny, oślizły... - urwałem, z braku odpowiednio obraźliwego określenia.

- Och, nie! Słuchaj, staruszk, mógłbym ci zalewać i twierdzić, że posmaruję tu i tam, ale tego nie zrobię. Jednak współbrat Rrringriila, Rrringlath, na pewno wie, że stary „Griil” wszedł właśnie w te drzwi i do tej pory stamtąd nie wyszedł. Wzniesi rozróbę. Współbrat to bardzo bliski stopień pokrewieństwa, którego nie zrozumiesz, ponieważ ludzie nie rozmnażają się przez rozszczepianie.

Nic mnie nie obchodziło, czy Marsjanie rozmnażają się jak króliki, czy bocian przynosi je w worku. Jeśli dobrze zrozumiałem jego słowa, nie mogłem wracać na Ziemię, ale nie omieszkałem się upewnić. Potrząsnął głową.

- To nie tak. Zostaw to mnie i sprowadzimy cię z powrotem równie gładko, jak cię wyprowadziliśmy. Najprawdopodobniej wyjdiesz z tego lub jakiegokolwiek innego pola jako mechanik, który dokonywał ostatnich regulacji, i będziesz miał na potwierdzenie tego odpowiednią przepustkę, brudny kombinezon i torbę z narzędziami.

Z pewnością aktor na twoją miarę potrafi zagrać mechanika przez kilka minut?

- Co? Tak, oczywiście! Ale...

- No widzisz! Trzymaj się starego Doca Daka, a on się tobą zaopiekuje! Przekupiliśmy ośmiu braci z gildii, żeby przemycić mnie na Ziemię i obu nas z powrotem. Możemy zrobić to jeszcze raz. Ale nie masz żadnych szans, jeśli wojażerowie ci nie pomogą roześmiać się. - Każdy wojażer w głębi ducha jest przemytnikiem. Sztuka kontrabandy jest taka, jaka jest, i wszyscy zawsze o choczko sobie pomagamy w drobnych oszustwach. Jednak osoba spoza łoży nie spotyka się zazwyczaj z taką chęcią pomocy.

Usiłowałem uspokoić swój żołądek na tyle, by to przemyśleć.

- Dak, więc to sprawa przemytu? Bo...

- Och, nie! Jediną rzeczą, jaką przemycamy, jesteś ty.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie uważam przemytu za przestępstwo.

- A kto uważa? Tylko ci, którzy żyją z legalnego handlu, bo to im odbiera zarobek. Twoja praca jednak będzie polegała wyłącznie na wcieleniu się w kogoś innego. I ty jesteś do tego odpowiednią osobą. Nie przypadkiem natknąłem się na ciebie w barze, deptaliśmy ci po piętach od dwóch dni. Ledwie wylądowałem, już popędziłem tam, gdzie mogłem cię spotkać.

- Zmarszczył brwi. - Chciałbym być pewien, że nasi szacowni antagoniści śledzili mnie, a nie ciebie.

- Dlaczego?

- Jeśli to mnie śledzili, chcieli tylko wiedzieć, co kombinuję, i to jest w porządku, ponieważ wszystko już zostało powiedziane i wiemy, że jesteśmy dla siebie wrogami. Jeśli jednak śledzili ciebie, wówczas oznacza to, że wiedzą, co kombinuję... że szukam aktora, który mógłby odegrać tę rolę.

- Ale skąd mogliby to wiedzieć? Chyba że im sam powiedziałaś?

- Lorenzo, to wielka sprawa, większa, niż możesz sobie wyobrazić. Sam tego wszystkiego nie ogarniam. Im mniej wiesz na ten temat, tym lepiej, przynajmniej dopóki nie musisz. Mogę ci tylko powiedzieć, że cały zestaw cech osobowych został załadowany do komputera w Centrum Ewidencji Ludności w Hadze i maszyna porównała je z cechami wszystkich żyjących zawodowych aktorów płci męskiej. Dokonano tego możliwie jak najdyskretniej, ale ktoś mógł się domyślić i wygadać. Dane, jakie przekazaliśmy, pozwalały na zidentyfikowanie nie tylko głównej postaci, lecz również dublera, ponieważ zadanie trzeba było wykonać w sposób doskonały.

- Aha. I maszyna powiedziała wam, że to ja jestem odpowiednim człowiekiem?

- Tak. Ty... i ten drugi.

Był to kolejny moment, kiedy w zasadzie powinienem był trzymać gębę na kłódkę. Nie potrafiłbym jednak, nawet, gdyby miało zależeć od tego moje życie - co w pewnym sensie było prawdą. Musiałem, po prostu musiałem się dowiedzieć, kim jest ten drugi aktor, którego uznano za dość kompetentnego, aby zagrać rolę wymagającą talentu takiego jak mój.

- A ten drugi? Kim on jest?

Dak obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, widziałem, że się waha

- Mmm... facet o nazwisku Orson Trowbridge. Znasz go?

- Ten pajac! - Przez chwilę byłem tak wściekły, że zapomniałem o moich mdłościach.

- No i co? Słyszałem, że to bardzo dobry aktor.

Po prostu nie potrafiłem powstrzymać oburzenia, że ktokolwiek mógłby uznać tego wieśniaka Trowbridge'a za godnego roli, którą zamierzałem odegrać!

- Ten wiatrak! Ten pyskacz! - urwałem, bo zdałem sobie sprawę, że lepsze wrażenie robi ignorowanie takich kolegów... o ile można w ogóle użyć tego słowa. No, ale ten gnojek był tak zarozumiały, że gdyby rola wymagała ucałowania dłoni damy, ucałowałby zamiast niej własny kciuk. Narcyz, pozer, podwójny fałszerz... jak taki człowiek mógłby wczuć się w rolę?

Niestety, fortuna jest tak niesprawiedliwa, że jego żalosne popisy były dobrze opłacane, podczas gdy prawdziwi artyści przymierają głodem.

- Dak, nie potrafię sobie wyobrazić, że w ogóle braliście go pod uwagę.

- No cóż, ja go nie chciałem. Jest związany jakimś długoterminowym kontraktem, co spowodowałoby, że jego przedłużająca się nieobecność stałaby się podejrzana. Mieliliśmy szczęście, że przynajmniej ty byłeś... hm... wolny. Kiedy tylko się zgodziłeś, poleciłem Jockowi, aby przesłał informację drugiej grupie, która próbowała załatwić coś z Trowbridge'em.

- Powinienem był się domyślić!

- Posłuchaj, Lorenzo. Wyłożę ci kawę na ławę. Kiedy ty przeżywałeś załamanie, wezwałem „Bankruta” i powiedziałem im, żeby przekazali na dół polecenie zajęcia się znowu Trowbridge'em.

- Co takiego?

- Sam się o to prosiłeś, kumplu. Popatrz, w tej rękawicy jest facet, który podpisał kontrakt, że przewiezie nas wszystkich na Ganimedę. To znaczy, że będzie pilotował tę balie na Ganimedę i doprowadzi ją tam, albo zdechnie. Nie zacznie trząść portkami podczas załadunku. Powiedziałeś, że weźmiesz tą robotę. Żadnych jeśli, może i ale. Wziąłeś robotę. W kilka minut później wszystko szlag trafia: tracisz zimną krew. Potem próbujesz zwać mi na lądowisku. Jeszcze dziesięć minut temu darłeś się, żeby cię odesłać na Ziemię. Może jesteś lepszym aktorem niż Trowbridge. Nigdy się tego nie dowiem. Wiem tylko, że potrzebujemy kogoś, na kim można będzie polegać i kto nie zacznie pękać, kiedy nadejdzie czas. Wydaje mi się, że Trowbridge jest właśnie kimś takim. Jeśli uda nam się go zatrudnić, weźmiemy go, a tobie zapłacimy, nic nie powiemy i odstawimy do domu. Rozumiesz?

Rozumiałem aż za dobrze. Dak nie sformułował tego w ten sposób, chyba nawet nie umiałby dobrać odpowiednich słów, ale chciał powiedzieć, że nie należę do zespołu. Najgorsze było to, że miał rację. Nie mogłem się obrazić, jedynie wstydzić. Byłem idiotą, akceptując kontrakt. Nie wiedziałem o nim praktycznie nic, ale zgodziłem się odegrać rolę bez żadnych warunków ani dodatkowych klauzul. A teraz próbowałem się wycofać, jak pierwszy lepszy amator, którego zżarła trema.

Sztuka musi trwać - to najstarsze powiedzenie w szołbiznesie. Może nie ma w nim filozoficznej prawdy, ale ludzie żyją według zasad, które są jeszcze mniej logiczne. Mój ojciec wierzył w to - widziałem, jak grał przez dwa akty z pękniętym wyrostkiem robaczkowym, a potem jeszcze kłaniał się na koniec, zanim pozwolił się zawieźć do szpitala. Do dziś widzę jego twarz, pełną pogardy, jaką członek zespołu może żywić dla tak zwanego aktora, który zawiódł publiczność.

- Dak - odezwałem się pokornie. - Przykro mi, naprawdę. Myliłem się.

Spojrzał na mnie ostro.

- Więc zagrasz?

- Tak

Mówiłem szczerze. Nagle przypomniałem sobie o czymś, co utrudniało sprawę równie mocno, jak gdybym miał grać Królową Śnieżkę od siedmiu krasnoludków. - To znaczy... cóż, chciałbym, ale...

- Ale co? - prychnął pogardliwie. - Wciąż twój cholerny temperament?

- Nie, nie! Ale powiedziałaś, że lecimy na Marsa. Dak, czy ta rola będzie wymagała, abym miał wokół siebie Marsjan?

- Co? Tak, oczywiście. Czy na Marsie można inaczej?

- Uch... Ale, Dak, ja nie znoszę Marsjan! Rzygać mi się od nich chce. Chciałbym... mógłbym nawet spróbować... ale boję się, że wypadnę z roli.

- Och, jeśli tym się martwisz, zapomnij o tym.

- Co? Ale ja nie mogę o tym zapomnieć. Nic na to nie poradzę. Ja...

- Powiedziałem ci już. Zapomnij. Stary, wiemy, że pod tym względem jesteś kompletnym wieśniakiem. Wiemy o tobie wszystko, Lorenzo, a twój lęk przed Marsjanami jest tak dziecinny i nieracjonalny, jak lęk przed pajakami czy węzami. Przewidzieliśmy to jednak i zajmiemy się tym. Możesz przestać się przejmować.

- No... to dobrze.

Nie przestałem się przejmować, ale potrafił bolesną strunę. Wieśniak? Przecież wieśniacy to publiczność! Przemilczałem to.

Dak pociągnął komunikator w swoim kierunku, nie próbował zagłuszyć tekstu, jaki przekazywał:

- Mlecz do Bluszczu - odwołać plan Kleks. Dokończymy Mardi Gras.

- Dak?- zagadnąłem, kiedy się rozłączył.

- Później - odparł. - Będę teraz łączył orbity. Kontakt może okazać się trochę brutalny, ale nie mam czasu zajmować się szczegółami. Siedz więc cicho i trzymaj się wiatru.

Rzeczywiście, było ciężko. Zanim znaleźliśmy się na żagwiowcu, czułem się szczęśliwy, że mogę wrócić do wygodnego stanu nieważkości. Mdłości przy zmianie ciężenia są jeszcze gorsze niż choroba kosmiczna. W stanie nieważkości pozostaliśmy jednak nie dłużej niż pięć minut. Trzej ludzie, którzy mieli wrócić na „Pudełko” tłoczyli się w śluzie transferowej jeszcze dłuższą chwilę po tym, jak wraz z Dakiem przesiedliśmy się na żagwiowiec. Przez następne kilka chwil panowało nieopisane zamieszanie. Podejrzewam, że taki szczur ziemski jak ja łatwo ulega dezorientacji, zwłaszcza kiedy nie potrafi odróżnić podłogi od sufitu. Ktoś zawołał: „Gdzie on jest?”. Dak odpowiedział: „Tutaj!”. Ten sam głos

zawołał: „To on?“, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Tak, tak - odparł Dak. - Jest ucharakteryzowany. Nieważne, wszystko w porządku. Pomóż mi go wprowadzić do tej prasy.

Czyjaś ręka złapała mnie za ramię i pociągnęła wąskim przejściem do jakiegoś przedziału. Pod jedną ze ścian stały dwie koje, tak zwane „prasy“, to znaczy zbiorniki w kształcie wanien, wyposażone w hydraulikę i urządzenia do redukcji ciśnienia, stosowane przy dużych przyspieszeniach na żagwiowcach. Nie widziałem ich nigdy przedtem, ale korzystaliśmy z dość przekonujących atrap w kosmicznej operze Poszukiwacze Ziemi.

Na ścianie nad jedną z koi wymalowany był napis: UWAGA!!! NIE PODDAWAĆ SIĘ BEZ KOMBINEZONU GRAWITACJI WYŻSZEJ NIŻ TRZY G. Zgodnie z „Postanowieniem...“ obróciłem się powoli i napis przesunął się poza zasięg wzroku, zanim udało mi się skończyć czytanie. Ktoś wepchnął mnie do prasy. Dak i ten drugi pospiesznie przypinali mnie do niej, kiedy gdzieś z boku rozległo się przeraźliwe wycie syren. Po chwili ucichło, zamiast niego dobiegł równie przeraźliwy głos:

- Czerwony alarm! Czerwony alarm! Podwójna grawitacja! Trzy minuty!

Znów rozległo się wycie.

Przez hałas słyszałem pospiesznie wypowiedane słowa Daka:

- Projektor jest ustawiony? Taśmy włożone?

- Tak, tak!

- Masz strzykawkę? - Dak przekreślił się w powietrzu i zwrócił się do mnie: - Słuchaj, koleś, damy ci zastrzyk. Wszystko gra. Część leku to nullgrav, reszta to lekki środek stymulujący... bo będziesz musiał uczyć się roli. Najpierw poczujesz, że pieką cię gałki oczne, potem zaczniesz cię swędzieć, ale nie będzie bolało.

- Czekaj, Dak, nie...

- Nie mamy czasu! Muszę podpalić tę kupę złomu! - obrócił się i wyleciał przez drzwi, zanim zdążyłem zaprotestować. Drugi podciągnął mi rękaw, przyłożył pistolet-strzykawkę do skóry na ramieniu i zanim się zorientowałem, było już po wszystkim. W chwilę później znikł. Wycie znowu ustąpiło wrzaskowi: „Czerwony alarm! Podwójna grawitacja! Dwie minuty!“.

Próbowałem się rozejrzeć, ale narkotyk sprawił, że czułem się jeszcze bardziej zdezorientowany. Gałki oczne zaczęły mnie piec, zęby też, a potem poczułem nieznośne swędzenie na plecach. Byłbym się podrapał, ale pasy bezpieczeństwa trzymały mocno i nie pozwalały mi dosięgnąć torturowanego obszaru, co uchroniło mnie być może przed złamaniem ramienia wskutek przeciążenia. Wycie znowu ucichło, ale tym razem jego miejsce

zajął spokojny baryton Daka.

- Ostatni czerwony alarm! Podwójna grawitacja! Jedna minuta! Skończcie te pieprzone gierki i rozłóżcie płasko tłuste tyłki, bo zaraz odpalamy!

Zamiast wycia usłyszałem tym razem AdAstra Arkeziana, opus 61 C-dur. Była to kontrowersyjna wersja w wykonaniu Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej z czteremastotaktowymi nutami „strachu” gdzieś w de. Byłem tak rozbity, ogłupiały i naćpany, że nie zrobiły na mnie najmniejszego wrażenia - w końcu trudno nosić drwa do lasu.

W drzwiach pojawiła się syrena. Nie, nie miała łuskowatego ogona, ale poza tym wyglądała dokładnie tak, jak syrena powinna wyglądać. Kiedy zdołałem zogniskować wzrok, stwierdziłem, że była to bardzo ładna i bardzo ssakowato wyglądająca samiczka w koszulce i szortach. Unosiła się zgrabnie głową do przodu, co wskazywało na to, że jest obyta z nieważkością. Spojrzała na mnie bez uśmiechu, umieściła się w drugiej prasie i złapała za uchwyty, ale nie zawracała sobie głowy pasami bezpieczeństwa. Finał muzyki przetoczył się nad nami i nagle poczułem, że robię się bardzo ciężki.

Dwa G to nic takiego, przynajmniej wówczas, kiedy unosisz się na łożu z cieczy. Skóra, pokrywająca koję, powoli mnie otaczała, czułem się bardzo ciężki i coraz trudniej mi było oddychać. Słyszałeś pewnie opowieści o pilotach, którzy startowali przy dziesięciu G i doprowadzali się do ruiny - nie wątpię, że nie były zmyślane. Dwa G jednak, zwłaszcza w prasie, sprawia, że czujesz się tylko ociężały, nie chce ci się ruszyć.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że megafon w suficie zwraca się do mnie:

- Lorenzo! Jak ci leci, koleś?

- Nieźle - wydyszałem z trudem. - Jak długo musimy to wytrzymać?

- Około dwóch dni.

Chyba jęknąłem, bo Dak roześmiał się.

- Przestań marudzić, chłopcze! Moja pierwsza podróż na Marsa zajęła mi trzydzieści siedem tygodni, z których każda minuta spędzona była w stanie nieważkości na orbicie eliptycznej! Lecisz sobie luksusową trasą, z podwójnym G tylko przez parę dni i odpoczynkiem na jedno G na rozstajach, tyle jeszcze mogę ci powiedzieć. Powinniśmy cię za to obciążyć.

Już miałem mu powiedzieć dość wulgarnie, co myślę o jego doskonałym humorze, kiedy przypomniałem sobie, że w pomieszczeniu znajduje się dama. Ojciec uczył mnie, że kobieta wytrzyma wszystko, nawet zniewagę cielesną, ale łatwo urazić ją słowem.

Piękniejsza część naszej rasy jest zorientowana na symbole; to bardzo dziwne, gdy

weźmie się pod uwagę jej skrajny wręcz pragmatyzm. W każdym razie nigdy nie pozwoliłem, aby słowo-tabu przeszło przez moje usta w sytuacji, gdy mogłoby zranić uszy damy -nigdy od czasu, kiedy poczułem na wargach twardą dłoń ojca... Jeśli idzie o odruchy, ojciec mógłby uczyć profesora Pawłowa.

Ale Dak przemówił znowu:

- Penny, jesteś tam, kwiatuszku?

- Tak, kapitanie - odpowiedziała młoda kobieta obok mnie.

- W porządku, zacznij z nim pracować. Zejdę do was, kiedy ustawię to чудо na kursie.

- Doskonale, kapitanie. - Zwróciła głowę w moją stronę i zapytała miękkim, chropowatym kontraltem: - Doktor Capek chciałby, żebyś się odprężył i przez kilkanaście godzin po prostu oglądał filmy. Jestem tu po to, aby odpowiadać na pytania w razie potrzeby.

Westchnąłem.

- Dzięki niebiosom, że wreszcie ktoś zacznie odpowiadać na moje pytania!

Nie odezwała się, ale z wyraźnym trudem podniosła rękę i przycisnęła jakiś przycisk. Światła w kajucie zgasty, a przed moimi oczami wyłonił się trójwymiarowy obraz i dźwięk. Rozpoznałem sylwetkę pośrodku: chyba każdy z miliardów obywateli Imperium rozpoznałby ją bez trudu - i nagle zrozumiałem, jak dokładnie i bezlitośnie zrobił mnie Dak Broadbent.

To był Bonforte.

Ten Bonforte, oczywiście. Jego Ekscelencja John Joseph Bonforte, dawny premier, przywódca lojalnej opozycji i głowa koalicji Ekspansjonistów, najbardziej kochany - i najbardziej nienawidzony - człowiek w całym Systemie Słonecznym.

Mój zdumiony umysł wywinął koziołka i doszedł do nieuniknionego, całkiem logicznego wniosku. Bonforte przeżył już co najmniej trzy zamachy, a przynajmniej tak twierdziły media. Co najmniej dwie z jego ucieczek wydawały się graniczyć z cudem. Przypuśćmy, że cud się nie zdarzył? Przypuśćmy, że wszystkie trzy się powiodły... ale stary, kochany Joe Bonforte był w tym czasie całkiem gdzie indziej?

W ten sposób można wykorzystać całą masę aktorów.

Nigdy w życiu nie mieszałem się do polityki. Ojciec zawsze mnie ostrzegał: „Trzymaj się od tego z daleka, Larry - mówił mi poważnie. - Sława, jaką w ten sposób zdobędziesz, jest niedobra. Wieśniacy tego nie lubią”. Nigdy nie głosowałem - nawet po wprowadzeniu poprawki w roku dziewięćdziesiątym ósmym, która ułatwiła nieustannym wędrownikom (a

zalicza się do nich większość moich kolegów po fachu) korzystanie z prawa wyborczego.

Nawet jeśli miałem kiedykolwiek jakiegokolwiek przekonania polityczne, nigdy nie skłaniałem się ku Bonforte'owi. Uważałem go za niebezpiecznego człowieka i bardzo prawdopodobnego kandydata na zdrajcę ludzkiej rasy. Sam pomysł zastępowania go, a co dopiero nadstawiania za niego głowy, wydawał mi się co najmniej niesmaczny.

No, ale co to za rola!

Raz tylko grałem przywódcę w Aiglon oraz Cezara w jednej z dwóch sztuko nim, które zasługiwały na to miano. Ale zagrać taką rolę w życiu... No cóż, sama świadomość wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego człowiek mógł iść na gilotynę za kogoś innego tylko po to, aby mieć szansę odegrać, choćby przez kilka minut, rolę wymagającą pełnego, najpełniejszego zaangażowania, aby stworzyć ostateczne, najdoskonalsze dzieło sztuki.

Ciekawiło mnie, kim są moi koledzy po fachu, którzy nie potrafili oprzeć się pokusie przede mną. Na pewno byli to artyści wysokiej klasy, choć sama ich anonimowość stanowiła ukłon w stronę sztuki charakteryzacji. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy miał miejsce pierwszy z zamachów na Bonforte'a i który z kolegów zdolny do odegrania takiej roli zginął lub zniknął z widoku mniej więcej w tym czasie. Na próżno jednak. Nie tylko nie byłem pewien szczegółów najnowszej historii, ale również aktorów, którzy nagle znikają z oczu z przerażającą częstotliwością. Ten zawód jest kapryśny nawet dla najlepszych z nas.

Przylapałem się na tym, że zacząłem studiować powierzchowność Bonforte'a.

I zrozumiałem, że potrafię to zagrać. Do licha, zagrałbym go z jedną nogą w kuble i z pożarem za kulisami. Po pierwsze, nie było problemów z budową, mógłbym zamienić się ubraniem z Bonforte'em bez zmrużenia oka. Zdziecinniali konspiratorzy, którzy mnie wybrali, przeceniali rolę podobieństwa fizycznego, gdyż ono samo, nie poparte sztuką, nie ma większego znaczenia. Jeśli aktor jest dobry, nie musi być aż tak idealne. Muszę jednak przyznać, że pomaga, i że ich maszyna zdołała (całkiem przypadkowo) wybrać odpowiedniego i naprawdę dobrego artystę, który jednocześnie ma tę samą sylwetkę i strukturę kośćca co polityk. Profil Bonforte'a wykazywał podobieństwo do mojego, nawet dłonie były tak samo długie, wąskie i arystokratyczne, jak moje, a dłonie są trudniejsze do naśladowania niż twarze.

Lekkie utykanie, spowodowane podobno jednym z zamachów na jego życie, to żaden problem! Po kilkuminutowej obserwacji stwierdziłem, że już w tej chwili mógłbym wstać z tego łóżka (oczywiście przy normalnej grawitacji!) i zacząć chodzić dokładnie tak samo, nawet bez specjalnych starań. Sposób, w jaki drapał się po szyi i muskał podbródek, niemal niedostrzegalny tik, poprzedzający każde wypowiedziane zdanie - nie sprawiły mi

najmniejszego problemu, wsiąkając w moją podświadomość jak woda w piasek.

Pewnie, był ode mnie starszy o jakieś piętnaście, dwadzieścia lat, ale łatwiej jest zagrać kogoś starszego od siebie, niż młodszego. W każdym razie dla aktora wiek to głównie sprawa wewnętrznego nastawienia i nie ma nic wspólnego z tempem procesu starzenia się.

Po dwudziestu minutach byłem gotów zagrać go na scenie albo nawet odczytać za niego przemówienie. O ile jednak dobrze rozumiałem, moja rola w tym przypadku nie miała ograniczać się do interpretacji. Dak przebąkiwał coś o tym, że będą musiał oszukać nawet tych ludzi, którzy dobrze znają Bonforte'a, może nawet zetknęli się z nim w bardzo prywatnych okolicznościach. A to już jest znacznie trudniejsze. Czy słodzi kawę? A jeśli tak, to ile? Którą ręką zapala papierosa, jakim ruchem? Na to akurat pytanie znalazłem odpowiedź od razu, zanim jeszcze zdołałem je do końca sformułować, i starannie ją zapamiętałem. Człowiek na zdjęciu, jakie miałem przed oczami, zapalił papierosa w taki sposób, iż byłem przekonany, że przez wiele lat używał zapalek i staromodnego gatunku podłych papierosów, dopóki nie poszedł za tak zwanym światowym postępem.

A co najgorsze, każdy człowiek ma swoją własną osobowość, stanowi złożony mechanizm, indywidualność inaczej postrzeganą przez poszczególne jednostki z jego otoczenia. Oznacza to, że jeśli wcielenie ma być udane, musi być inne dla każdej osoby znającej obiekt „podróbki”. Jest to nie tylko trudne, ale statystycznie całkowicie niemożliwe. Człowiek potyka się na najprostszych sprawach. Jakie wspólne doświadczenia mógł mieć ten ktoś z facetem o nazwisku John Jones? Z setką, z tysiącem takich Johnów Jonesów? Skąd sobowtór może to wiedzieć?

Gra per se, jak każda sztuka, jest procesem abstrakcji, uwydatnieniem jedynie znaczących szczegółów. W przypadku sobowtóra każdy szczegół może być znaczący. Na dłuższą metę może cię zdradzić nawet taki drobiazg, jak to, że nie lubisz selera.

Potem uświadomiłem sobie ponurą prawdę, że będę musiał grać w jak najbardziej przekonujący sposób tylko przez tak długi czas, jaki potrzebny jest snajperowi, aby wziąć mnie na muszkę i strzelić.

Mimo to wciąż studiowałem wizerunek człowieka, którego miałem zastąpić (a co innego mogłem zrobić?), gdy drzwi otwarły się i usłyszałem głos Daka we własnej osobie:

- Jest tam kto?

Światła zapłonęły, trójwymiarowy obraz zbladł, a ja poczułem, jakby mnie ktoś wyrwał ze snu. Obróciłem głowę: młoda kobieta imieniem Penny z trudem unosiła głowę z drugiego wodnego łóżka, a Dak stał w drzwiach, mocno zaparty o framugę.

Popatrzyłem na niego z podziwem.

- Jak ty możesz stać w takich warunkach?

Jakaś część mojego umysłu, ta zawodowa, która pracuje całkiem niezależnie, obserwowała jego postawę i ładowała ją do kolejnej szufladki z napisem: „Człowiek stojący przy dwóch G”.

Roześmiał się.

- To nic takiego, noszę wsporniki.

- Hrnmmm!

- Możesz się podnieść, jeśli chcesz. Zazwyczaj niechętnie pozwalamy wstawać pasażerom z koi, gdy lecimy z przyspieszeniem powyżej półtora G. Zbyt duża szansa, że jakiś idiota potknie się o własne nogi i połamie. Kiedyś widziałem, jak atleta, prawdziwy twardziel, wstał i spacerował sobie przy pięciu G. Oczywiście, potem już nigdy nie doszedł do siebie. Dwa G jednak to nic takiego... to tak, jakbyś niósł drugiego faceta na barana. - Obejrzał się na kobietę. - Gadałaś już z nim, Penny?

- Jeszcze o nic nie pytał.

- No i co? Lorenzo, myślałem, że chcesz znać wszystkie odpowiedzi.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie sędzę, żeby to miało jakieś znaczenie, teraz, kiedy wiem, że nie będę żył na tyle długo, aby z nich skorzystać.

- Hę? Co to za kwaśne miny, staruszku?

- Kapitanie Broadbent - odparłem z goryczą. - Obecność damy ogranicza moją wolność wypowiedzi, dlatego nie mogę w odpowiedni sposób wyrazić się o pańskich koligacjach, zwyczajach osobistych, moralności i zamiarach. Powiedzmy, że zorientowałem się, w co mnie pan zrobił, gdy tylko rozpoznałem osobę, którą mam odegrać. Zadowolę się tylko jednym pytaniem: kto tym razem chce zamordować Bonforte'a? Nawet gliniany kurek ma prawo wiedzieć, kto będzie do niego strzelał.

Po raz pierwszy ujrzałem na twarzy Daka prawdziwe zaskoczenie. A potem zaczął się śmiać tak serdecznie, że przyspieszenie chyba nagle stało się dla niego zbyt duże, bo osunął się na podłogę i oparł o ścianę. Nie przestawał ryczeć ze śmiechu.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odparłem ze złością. Przystał się śmiać i otarł oczy.

- Lorrie, stary druhu, czy ty naprawdę myślałeś, że zrobię z ciebie mięso armatnie?

- Przecież to oczywiste.

Opowiedziałem mu o moich przypuszczeniach, dotyczących wcześniejszych prób morderstwa.

Miał na tyle rozumu, żeby nie roześmiać się ponownie.

- Rozumiem. Myślałeś, że masz odegrać taką rolę, jak człowiek do próbowania jedzenia w czasach średniowiecza. Cóż, musimy ci to wszystko wyjaśnić. Nie sądzę, aby świadomość bliskiej i nieuchronnej śmierci mogła w jakiś sposób wspomóc twoją grę. Słuchaj, jestem z Szefem od sześciu lat. Przez cały ten czas nie używał dublera, tego jestem absolutnie pewien. Niemniej jednak byłem przy dwóch z trzech zamachów na jego życie, a w jednym przypadku to ja zabiłem zamachowca. Penny, ty pracujesz z nim jeszcze dłużej. Czy kiedykolwiek korzystał z dublera?

Spojrzała na mnie lodowato.

- Nigdy. Sam pomyślałem, że Szef mógłby pozwolić, aby ktokolwiek narażał się na niebezpieczeństwo zamiast niego, jest... Wystarczy, żeby ci dać po twarzy. Właśnie tak powinnam zrobić!

- Spokojnie, Penny - łagodnie odparł Dak. - Oboje macie jakieś zadania i będziecie musieli pracować razem. Poza tym, jego domysły nie są wcale takie nieprawdopodobne, przynajmniej jeśli patrzy się na to z zewnątrz. Lorenzo, pozwól sobie przy okazji przedstawić Penelope Russell. Jest osobistą sekretarką Szefa, a tym samym twoim trenerem numer jeden.

- Jestem zaszczycony, mademoiselle.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo!

- Cicho, Penny, albo stłukę ci tą śliczną pupkę... przy dwóch G. Lorenzo, przyznaję, że dublowanie Johna Josepha Bonforte'a nie jest tak bezpieczne jak jazda w fotelu na kołkach... Co tu dużo mówić, już próbowali zamknąć jego ubezpieczenie na życie. Tym razem jednak boimy się czegoś innego. Szczerze mówiąc, istnieją polityczne powody, które wkrótce zrozumiesz, sprawiające, że nasi kochani chłopcy nie odważą się zabić Szefa... ani ciebie, dopóki będziesz odgrywał jego rolę. Grają ostro, o czym zresztą wiesz! Zabiją mnie, a nawet Penny, jeśli skorzystają na tym choć trochę. Zabiliby też pewnie ciebie, gdyby zdołali ci się teraz dobrać do skóry. Ale kiedy po raz pierwszy wystąpisz przed publicznością jako Szef, nie ci już nie zagrozi. Okoliczności będą takie, że nie pozwolą sobie na morderstwo.

Spojrzał mi uważnie w twarz.

- No i co?

- Nie rozumiem – potrząsnąłem głową.

- Niebawem zrozumiesz. To skomplikowana sprawa, ma związek również ze sposobem, w jaki Marsjanie patrzą na te sprawy. Uznaj to za pewnik: dowiesz się wszystkiego, zanim dotrzemy na miejsce.

I tak nie bardzo mi się to podobało. Jak do tej pory, o ile mogłem się zorientować, Dak

nie zafundował mi oczywistej blagi. Mógł jednak kłamać bardzo skutecznie, nie mówiąc mi wszystkiego, co wie. Przekonałem się już o tym w dość przykry sposób.

- Słuchaj, nie mam powodu ci ufać - odezwałem się - ani tej młodej damie... przepraszam, panienko. O ile jednak niespecjalnie przepadam za panem Bonforte'em, muszę przyznać, że ma on opinię człowieka boleśnie, wręcz obraźliwie szczerego. Kiedy będę mógł z nim porozmawiać? Dopiero, gdy znajdziemy się na Marsie?

Brzydka, wesoła twarz Daka nagle spochmurniała.

- Obawiam się, że nie. Penny nic ci nie powiedziała?

- Niby co?

- Stary, właśnie dlatego potrzebujemy dublera Szefa. Porwali go.

Głowa mnie bolała, prawdopodobnie od podwójnego ciężenia albo od zbyt wielu wstrząsów.

- Teraz już wiesz - ciągnął Dak. - Wiesz, dlaczego Jock Dubois nie chciał ci powierzyć tego sekretu, dopóki nie oderwiemy się od ziemi. Jest to najbardziej smakowita historia na pierwsze strony gazet od czasu lądowania na Księżycu, a my na niej siedzimy, robiąc wszystko, żeby się nie rozniosła. Mamy nadzieję, że będziesz go zastępował, dopóki go nie odnajdziemy i nie sprowadzimy z powrotem. Właściwie to już zacząłeś grać. Ten statek naprawdę nie nazywa się „Bankrut”. To prywatny jacht Szefa, „Tom Paine”. „Bankrut” znajduje się aktualnie na orbicie parkingowej wokół Marsa i wysyła przez transponder sygnał rozpoznawczy tego statku. Wie o tym tylko jego kapitan i oficer komunikacyjny. „Tommie” natomiast zakasał kieckę i popędził na Ziemię po zastępcę Szefa. Zaczynasz kapować, staruszk?

Przyznaję, że nie za bardzo.

- Tak, ale, słuchaj no, kapitanie... Jeśli polityczni wrogowie Bonforte'a porwali go, dlaczego mamy trzymać to w tajemnicy? Myślałem, że będziecie o tym trąbić z dachów.

- Na Ziemi może tak. W Nowej Batawii też. Na Wenus także. Teraz jednak mamy do czynienia z Marsem. Znasz legendę o Kkkahgralu Młodszym?

- Co? Nie, nie sędzę.

- Musisz ją przestudiować. Da ci pewien pogląd na to, jak funkcjonują Marsjanie. Krótko mówiąc, ten mały Kkkah miał objawić się w pewnym miejscu i czasie tysiące lat temu, aby dostąpić wielkiego zaszczytu - jakby pasowania na rycerza. I nagle, nie z jego winy (przynajmniej z naszego punktu widzenia), nie zdążył na imprezę. Jediną radą było wówczas zabicie go, jak mi się zdaje. Ponieważ jednak był młody i miał chlubną biografię, obecni tam radykałowie stwierdzili, że należy pozwolić, aby wrócił i zaczął od początku. Jednakże

Kkkahgral nie chciał tego uczynić. Zaczaj domagać się, aby jemu samemu pozwolono osądzić własny przypadek, wygrał sprawę i został stracony. W ten sposób stał się wcieleniem przyzwoitości, świętym Marsa.

- To idiotyczne!

- Naprawdę? Nie jesteśmy Marsjanami. To bardzo stara rasa i wypracowała sobie taki system powinności i zobowiązań, że pasuje do prawie każdej sytuacji. To najwięksi na świecie formalisci. W porównaniu z nimi dawni Japończycy ze swymi giri i gimu to prawdziwi anarchiści. Marsjanie nie znają pojęć dobra i zła. Zamiast tego coś jest „właściwe” lub „niewłaściwe” i zostało to raz na zawsze napisane, wyryte, wypalone i zalane smołą. Co jednak ma to wspólnego z naszym problemem? Otóż Szeff miał zostać przyjęty do gniazda samego Kkkahgrala Młodszeo. Teraz chwytasz?

Dalej nic z tego. Dla mnie ten typ Kkkah był jedną z najbardziej odrażających postaci z Le Grand Guignol.

- To całkiem proste - ciągnął dalej Broadbent. - Szeff prawdopodobnie jest największym specjalistą w dziedzinie praktykowania marsjańskich obyczajów i psychologii. Pracował nad tym latami. W południe według czasu lokalnego, w środę, na Lacus Soli, odbędzie się ceremonia adopcji. Jeśli Szeff tam będzie i przejdzie przez cały obrządek we właściwy sposób, wszystko dobrze się skończy. Jeśli się tam nie zjawi - a przyczyna naprawdę nie zrobi nikomu różnicy - jego nazwisko zostanie na Marsie zmieszane z błotem, i to w każdym gnieździe od bieguna do bieguna, a największy dotychczas międzyplanetarny i międzyrasowy akt polityczny po prostu weźmie w łeb. Co gorsza, będzie to miało swoje dalsze skutki. Podejrzewam, że w najlepszym przypadku Marsjanie wycofają się nawet z obecnego luźnego układu pokojowego z Imperium. Niewykluczone, że zaczną się represje i zabijanie istot ludzkich... może wszystkich na Marsie. A potem ekstremiści z Partii Ludzkości zrobią swoje i Mars zostanie włączony do Imperium siłą... ale dopiero po wybiciu całej populacji Marsjan. I to tylko dlatego, że Bonforte nie pojawił się na ceremonii adopcji... Tak, Marsjanie biorą wszystko bardzo poważnie.

Dak wyszedł tak samo nagle, jak się pojawił, i Penelopa Russell znowu włączyła projektor. Ze zgrozą stwierdziłem, że zapomniałem go zapytać o jeden drobny szczegół: jeśli tylko nieobecność Bonforte'a (w osobie własnej lub dublera) na jakiejś barbarzyńskiej marsjańskiej ceremonii wystarczy, aby wyrzucić tę dziurawą polityczną łajbę, co powstrzyma naszych politycznych wrogów, żeby zabić mnie? Ale zapomniałem o to zapytać... Może podświadomie bałem się usłyszeć odpowiedź.

Wkrótce potem jednak znów uważnie patrzyłem na Bonforte'a: obserwowałem jego

ruchy i gesty, zapamiętywałem jego sposób mówienia, ustami naśladowałem ton jego głosu. Pograżyłem się bez reszty w ciepłej, oderwanej od rzeczywistości ninwie pracy artystycznej. Już „nosiłem jego głowę”.

Wpadłem w panikę, kiedy na ekranie ujrzałem Bonforte'a otoczonego przez Marsjan, którzy dotykali go nibynózkami. Tak głęboko wciągnął mnie ten obraz, że prawie sam to czułem... a smród był nie do zniesienia. Wydałem z siebie zdławiony dźwięk i zacząłem wymachiwać rękami.

- Wyłącz to!

Obraz zniknął, a wokół zapłonęły światła. Panna Russell spojrzała na mnie.

- Co się z tobą dzieje, do cholery?

Próbowałem złapać oddech i powstrzymać dygotanie.

- Panno Russell... bardzo przepraszam... ale proszę... już tego nie włączać. Nie znoszę Marsjan.

Spojrzała na mnie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi, ale i tak tym gardziła.

- Mówiłam im - wycedziła powoli i wzgardliwie - że ten idiotyczny plan nigdy się nie powiedzie.

- Przykro mi, nic na to nie poradzę.

Nie odpowiedziała, tylko mozolnie wygramoliła się z prasy. Nie chodziła tak lekko przy dwóch G jak Dak, ale jakoś chodziła. Wyszła bez słowa, zamykając za sobą drzwi.

Nie wróciła. Zamiast niej w drzwiach pojawił się mężczyzna. Mogło się wydawać, że siedzi w olbrzymim dzieciennym chodziku.

- Się masz, młodzieńcze – zagrzmiał. Miał sześćdziesiąt parę lat, nieco za dużo kilogramów i wielką gębę. Nie musiałem oglądać jego dyplomu, żeby wiedzieć, że to jego sposób witania pacjentów.

- Jak samopoczucie, sir?

- Nieźle, nieźle, ale lepiej czułbym się przy mniejszym przyspieszeniu. - Spojrzał na maszynę, do której był przymocowany. - Jak się panu podoba mój gorset na kółkach? Może niezbyt modny, ale odciąża nieco moje serce. Jestem doktor Capek, osobisty lekarz pana Bonforte'a. Wiem, kim pan jest. A teraz powiedz pan, co to ja słyszałem takiego o tobie i Marsjanach?

Próbowałem mu wyjaśnić wszystko w chłodny i pozbawiony emocji sposób.

Doktor Capek skinął głową.

- Kapitan Broadbent mógł mnie uprzedzić. Zmieniłbym nieco rozkład pańskiego programu indoktrynacji. Kapitan to na swój sposób kompetentny młodzieniec, ale czasami

myśli bicepsami, a dopiero potem głową... Jest tak klasycznym ekstrawertykiem, że czasem mnie przeraża. Ale nic się nie stało, panie Smythe. Chciałbym prosić o pozwolenie zahipnotyzowania pana. Ma pan moje słowo lekarza, że wykorzystam to tylko w celu usunięcia tej drobnej niedogodności i nie wykorzystam seansu, aby naruszyć pańską sferę osobistą.

Wyjął z kieszeni staromodny zegarek, stanowiący niemal symbol jego profesji, i zmierzył mi puls.

- Chętnie się zgodzę, sir - odparłem. - Ale to nic nie pomoże. Nie jestem podatny na hipnozę.

Sam poznałem techniki hipnozy w czasach, kiedy udawałem medium, ale moi nauczyciele nigdy nie dostąpili zaszczytu wprowadzenia mnie w trans. Odrobina hipnozy zwykle nie szkodzi, jeśli lokalna policja nie jest zbyt skrupulatna w egzekwowaniu ograniczeń, wymyślonych przez towarzystwa medyczne.

- No to co? Zrobimy po prostu tyle, ile się da. Proszę się odprężyć, ułożyć wygodnie, a potem pogadamy o pańskim kłopotcie.

Zmierzył mi puls, ale zegarek wciąż trzymał w dłoni, bawiąc się nim i kręcąc dewizką. Miałem już zwrócić mu uwagę, bo łańcuszek odbijał światło lampki nad moją głową, ale uznałem, że to pewnie jakiś jego nerwowy tik, którego nie był świadom.

- Jestem teraz odprężony - zapewniłem go. - Proszę pytać, o co pan chce. A może wolne skojarzenia, jeśli to panu bardziej odpowiada.

- Po prostu odpłyn - rzekł miękko. - Dwa G sprawiają, że czujesz się ciężki, prawda? Zazwyczaj takie chwile przesypiam, bo przeciążenie odciąga krew od mózgu, sprawia, że człowiek jest śpiący. O, znowu włączają napęd. Wszyscy powinniśmy teraz spać... będziemy bardzo ciężcy... będziemy musieli spać...

Chciałem odpowiedzieć, żeby lepiej schował zegarek, bo mu wypadnie z ręki. Zasnąłem.

Kiedy się ocknąłem, druga koja przyspieszeniowa była zajęta przez doktora Capka.

- Siemanko, stary - powiedział na powitanie. - Tak mnie zmęczył ten cholerny chodziki, że postanowiłem się trochę wyciągnąć i inaczej rozłożyć naprężenia.

- Znowu mamy dwa G?

- Co? A, tak. Mamy dokładnie dwa G.

- Przepraszam, chyba straciłem przytomność. Jak długo spałem?

- Och, nie tak długo. Jak się czujesz?

- Dobrze. Właściwie jestem cudownie wypoczęty.

- Zwykle takie są efekty. Dużych przeciążeń, oczywiście. Masz ochotę popatrzeć na film?

- Jasne, jeśli pan sobie tego życzy, doktorze.

- Dobrze. – Sięgnął w górę i pokój znów pogrążył się w mroku.

Sprężyłem się cały, czując, że zamierza pokazać mi kolejne wizerunki Marsjan. Postanowiłem, że nie będą panikować. Przecież w wielu przypadkach musiałem udawać, że ich po prostu nie ma. Z pewnością ruchome obrazy nie powinny na mnie wywrzeć aż takiego wrażenia... Przedtem po prostu dałem się zaskoczyć.

W istocie, był to stereograficzny obraz Marsjan, samych i z panem Bonforte. Stwierdziłem, że jestem w stanie obserwować ich zupełnie obojętnie, bez odrazy i przerażenia.

I nagle zdałem sobie sprawę, że lubię na nich patrzeć!

Chyba musiałem coś wykrzyknąć, bo doktor Capek zatrzymał film.

- Jakiś problem?

- Doktorze... pan mnie zahipnotyzował!

- Sam mi pan kazał.

- Ale ja nie jestem podatny.

- Przykro mi ogromnie.

- Och... więc panu się udało. Nie jestem taki tępy, żeby tego nie zauważyć - dodałem.

- Spróbujmy może jeszcze raz obejrzeć ten film. Naprawdę nie chce mi się wierzyć.

Włączył film, a ja gapiłem się i dziwiłem. Marsjanie nie byli wstrętnei, jeśli patrzyło się na nich bez uprzedzeń. Nie byli nawet brzydzy. Właściwie posiadali ten sam przedziwny wdzięk, co chińskie pagody. Cóż, nie mieli ludzkich kształtów, ale nie ma ich również rajski ptak - a rajskie ptaki to jedne z najpiękniejszych żyjących istot.

Nagle dotarło do mnie, że te ich nibynóżki potrafią być bardzo wyraziste, a niezręczne gesty miały w sobie coś ze szczenięcej przymilności. Zrozumiałem, że przez całe życie patrzyłem na Marsjan poprzez ciemne okulary nienawiści i strachu.

Oczywiście, rozmyślałem, ich smród pewnie w dalszym ciągu będzie dla mnie odpychający, ale... Nagle dotarło do mnie, że przecież czuję ten jedyny w swoim rodzaju odór... i wcale mi to nie przeszkadza. Mało tego, nawet mi się podoba!

- Doktorze! - zawołałem niecierpliwie - czy ten projektor ma przystawkę zapachową?

- Co? Nie, chyba nie. Za duży dodatkowy ciężar dla statku.

- Ale musi tam być! Przecież doskonale czuję ich zapach.

- Ach, to - wydawał się odrobinę zawstydzony. - Chłopcze, zrobiłem coś, co, jak mam

nadzieję, nie przysporzy ci kłopotów.

- Co, sir?

- Kiedy penetrowałem twoją czaszkę, stwierdziłem, że większość tego neurotycznego uprzedzenia w stosunku do Marsjan ma swoje źródło w zapachu wydzielanym przez ich ciała. Nie miałem czasu na dogłębne zbadanie sprawy, więc musiałem dokonać pewnej zamiany. Poprosiłem Penny - tę młodkę, która tu była przed chwilą żeby pożyczyła mi trochę swoich perfum. Obawiam się, synku, że od tej chwili Marsjanie będą dla ciebie pachnieć jak paryski dom uciech. Gdybym miał więcej czasu, użyłbym innego, bardziej zwyczajnego zapachu, jak dojrzałe truskawki lub gorące ciastka z syropem, ale musiałem improwizować.

Pociągnąłem nosem. Tak, rzeczywiście pachniało jakby ciężkimi, drogimi perfumami... A jednak, cholera, bez wątpienia był to znajomy smród Marsjan.

- Podoba mi się.

- Musi ci się podobać.

- Ale chyba rozlał pan tu sporą butelkę, doktorze. Cały pokój jest nimi przesiąknięty.

- He? Wcale nie. Pomachałem tylko koreczkiem pod twoim nosem jakieś pół godziny temu, a potem oddałem butelkę Penny, a ona ją zabrała. - Pociągnął nosem. - Nic tu nie czuję. Na butelce napisane było „Zwierzęca żądza”. Chyba miało w sobie mnóstwo piżma. Oskarżyłem Penny, że próbuje zdemoralizować załogę, ale tylko roześmiała mi się w twarz. - Wyciągnął rękę i wyłączył odtwarzacz. - No, dość już tego dobrego. Musisz zająć się czymś pożyteczniejszym.

Kiedy znikł obraz, wraz z nim uleciał także zapach. Musiałem przyznać, że to wszystko było w mojej głowie. Cóż, jednak jako aktor potrafiłem realnie oceniać zjawiska.

Kiedy Penny wróciła w kilka minut później, pachniała dokładnie tak samo, jak Marsjanie.

Uwielbiam ten zapach.

Moja edukacja odbywała się nadal w tym samym pokoju (był to pokój gościnny pana Bonforte'a). Nie spałem, z wyjątkiem seansów hipnotycznych, i wcale mi się spać nie chciało. Doktor Capek albo Penny towarzyszyli mi i pomagali przez cały ten czas. Na szczęście mój człowiek był bardzo dokładnie obfotografowany i opisany, jak wszyscy inni wielcy ludzie w historii. Pomagali mi również jego przyjaciele. Materiału było mnóstwo - problem polegał tylko na tym, ile z tego zdołam sobie przyswoić na jawie i w stanie hipnozy.

Nie wiem, w którym momencie przestałem nie lubić Bonforte'a. Capek zapewniał mnie - a ja mu wierzyłem - że nie wprowadził sugestii hipnotycznej na ten temat. Nie prosiłem o to, a doktor Capek z całą pewnością skrupulatnie przestrzegał zasad etyki lekarskiej i hipnoterapeutycznej. Wydaje mi się jednak, że było to nieodłącznie związane z samą rolą - podejrzewam, że polubiłbym nawet Kubę Rozpruwacza, gdybym miał okazję dokładnie zapoznać się z tą postacią. Patrzmy na to w ten sposób: aby dobrze nauczyć się roli, musimy na jakiś czas stać się tym człowiekiem. A człowiek zwykle lubi siebie, a jeśli nie, to popełnia samobójstwo.

Wszystko zrozumieć, to znaczy wszystko przebaczyć. A ja zaczynałem rozumieć Bonforte'a.

Na zakończenie mieliśmy trochę obiecanego przez Daka odpoczynku pod jednym G. Nigdy nie przeszliśmy w stan nieważkości, nawet na chwilę. Zamiast wysunąć żagiew, czego chyba nie lubią robić po drodze, statek zakreślił coś, co Dak nazwał stuosiemdziesięciostopniową ukośną beczką. Utrzymuje ona statek przez cały czas pod ciągiem i robi się ją dość szybko, ale ma jeden niepokojący efekt, który zakłóca równowagę. Nazywa się to tak jakoś, jakby Koriolan. Chyba efekt Coriolisa?

O statkach kosmicznych wiem tylko tyle, że te, które wznoszą się z powierzchni planety, są naprawdę raketami, lecz wojażerowie nazywają je „imbrykami”, z powodu strumienia pary wodnej lub wodorowej, wypuszczanego przy włączeniu napędu. Nie są uważane za prawdziwe statki atomowe, pomimo że strumień podgrzewany jest przez stos atomowy. Statki o dalekim zasięgu, takie jak „Tom Paine”, to znaczy żagwiowce, są (przynajmniej tak mi powiedzieli) prawdziwymi statkami, korzystającymi z E równego MC do kwadratu, albo może M równemu EC do kwadratu? Wecie, chodzi o to, co wymyślił Einstein.

Dak zrobił, co mógł, żeby mi wyjaśnić te sprawy, i bez wątpienia to wszystko jest bardzo interesujące dla kogoś, kto to lubi. Nie sądzę jednak, aby dżentelmen mógł zawracać sobie głowę takimi drobiazgami. Wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy ci chłopcy z laboratoriów coś kombinują ze swoimi suwakami, życie robi się coraz bardziej skomplikowane. Co było złego w poprzednim stanie rzeczy?

W ciągu dwóch godzin mieliśmy jedno G i wtedy przeprowadzono mnie do kabiny Bonforte'a. Zacząłem nosić jego ubrania i twarz, i wszyscy zwracali się do mnie per „panie Bonforte” albo „Szefie” lub (w przypadku doktora Capka), „Joseph”, co oczywiście miało mi pomóc w konstruowaniu roli.

Wszyscy, tylko nie Penny... Ona nie chciała nazywać mnie panem Bonforte. Pomimo

różnych wysiłków w żaden sposób nie mogła się na to zdobyć. Było dla mnie jasne jak słońce, że stanowiła ciężki przypadek sekretarki, która milcząco i beznadziejnie kochała się w swoim szefie, mnie zaś nie cierpiała z głęboką, pozbawioną logiki, ale całkiem naturalną goryczą. Sprawiało to problem nam obojgu, zwłaszcza że uważałem ją za bardzo atrakcyjną. Żaden facet nie może dawać z siebie wszystkiego, jeśli ma obok siebie kobietę, która nim ciągle gardzi. Ja jednak nie mogłem przestać ją za to lubić. Było mi jej tylko serdecznie żal... nawet, jeśli mnie mocno wkurzała.

Mieliśmy teraz prawdziwą próbę generalną, ponieważ nie wszyscy na statku wiedzieli, że nie jestem Bonforte'em. Nie byłem pewien, kto wie o zamianie, ale pozwalano mi odprężyć się i zadawać pytania tylko w obecności Daka, Penny i doktora Capka. Miałem niemal pewność, że szef kancelarii Bonforte'a, pan Washington, wiedział, ale nie dawał tego po sobie poznać. Był to wysoki, szczupły mulat o ascetycznej twarzy świętego. Istnieli jeszcze dwaj, którzy na pewno wiedzieli, ale nie było ich na „Tomie Paine”; kryli nas na pokładzie „Bankruta”, przekazując biuletyny prasowe i rutynowe przesyłki. Bill Corpsman, główny rzecznik prasowy Bonforte'a, i Roger Clifton. Nie bardzo wiem, jak opisać zadanie Cliftona. Rzecznik polityczny? Jak zapewne pamiętacie, w gabinecie Bonforte'a, kiedy ten jeszcze był premierem, zajmował stanowisko ministra bez teki, To jednak nic nie znaczy. Ujmijmy to symbolicznie: Bonforte był politykiem, a Clifton przywódcą.

Ta mała grupa musiała wiedzieć. Jeśli byli jeszcze inni, nie uznano za stosowne, aby mnie o tym zawiadomić. Oczywiście, inni członkowie grupy Bonforte'a i cała załoga „Toma Paine” zdawała sobie sprawę, że coś się dzieje, ale niekoniecznie musiała wiedzieć, co. Wielu ludzi widziało, jak wchodziłem na statek jako „Benny Grey”. Zanim zobaczyli mnie znowu, byłem już „Bonforte'em”.

Ktoś miał na tyle pomysłu, żeby zdobyć dla mnie prawdziwy zestaw do charakteryzacji, ale prawie go nie potrzebowałem. Z bliska makijaż jest dość dobrze widoczny. Nawet najlepszy podkład nie przyjmuje dokładnego odcienia skóry. Zadowolilem się przyciemnieniem mojej karnacji o kilka tonów. Musiałem poświęcić sporo włosów - doktor Capek zniszczył korzenie. Nie przeszkadzało mi to, bo aktor zawsze może nosić peruki, a przy tym byłem pewien, że jeśli zechcę, ta rola zapewni mi spokojne życie do emerytury.

Z drugiej strony miałem czasami nieprzyjemne wrażenie, że to „życie” może nie być zbyt długie... Są dwa takie powiedzonka, jedno o człowieku, który wie za dużo, a drugie o trupach i opowieściach. Naprawdę jednak zacząłem ufać tym ludziom. Wszyscy oni byli cholernie sympatyczni i opowiedzieli mi o Bonforcie prawie tyle samo, ile dowiedziałem się z

jego przemówień i oglądanych filmów. Figura polityczna, jak się okazało, nie jest pojedynczym człowiekiem, lecz zgraną grupą. Gdyby Bonforte sam nie był porządnym człowiekiem, nie otaczałby się takimi ludźmi.

Najgorszy problem miałem z językiem marsjańskim. Podobnie jak większość aktorów, liznałem nieco marsjańskiego, wenusjańskiego, nowojowiszańskigo, żeby móc udawać przed kamerą lub na scenie. Te chrapliwe lub trylowe spółgłoski są jednak bardzo trudne. Wydaje mi się, że ludzkie struny głosowe nie są tak uniwersalne, jak bębenki Marsjan, a poza tym te półfonetyczne zapisy w rzymskim alfabecie, takie jak „kkk” lub „jjj”, albo „nr” mają mniej więcej tyle wspólnego z prawdziwymi głoskami, co „g” w słowie „gnu” z przydechowym kłasknięciem, z jakim Bantu wymawia to słowo. Na przykład, „jjj” bardzo przypomina okrzyk radości z serca Bronxu.

Na szczęście Bonforte nie miał wielkiego talentu do języków, a ja jestem profesjonalistą. Moje uszy naprawdę słyszą. Mogę naśladować każdy dźwięk, od piły tarczowej, która trafiła na gwóźdź w kawałku drewna, po kurę nioskę, którą ktoś niepokoił w gnieździe. Musiałem nauczyć się marsjańskiego tylko tak źle, jak mówił nim Bonforte. Pracował ciężko, żeby pokonać swój brak zdolności i każde słowo, każde zdanie, jakie znał, zostało zarejestrowane obrazem i dźwiękiem, abym mógł je dokładnie przestudiować.

Uczyłem się zatem jego błędów za pomocą projektora, który przeniesiono do jego biura, oraz Penny, która sortowała mi taśmy i odpowiadała na pytania.

Ludzkie języki dzielą się na cztery grupy: fleksyjne, takie jak anglo - amerykańskie, pozycyjne, jak chiński, zlepki, jak staroturecki, i polisyndetyczne (jednostki zdaniowe) jak eskimoski; do nich, rzecz jasna, dodaje się teraz obce struktury tak dzięki i nieogarnione dla ludzkiego mózgu, jak niepowtarzalny i improwizowany wenerijski. Na szczęście marsjański jest analogiczny do ludzkich form wyrażania się. Marsjański basic, język handlowy, jest językiem pozycyjnym i obejmuje tylko najprostsze konkretne pojęcia, takie jak powitanie: „Widzę cię”. Potoczny marsjański jest polisyndetyczny i bardzo stylizowany, z osobnym określeniem dla każdego niuansu skomplikowanego systemu nagród i kar, zobowiązań i długów. Dla Bonforte'a było to właściwie za wiele. Penny wyjaśniła mi, że potrafił dość swobodnie czytać matryce kropek, które służą im za pismo, ale z mówionej formy marsjańskiego zdołał przyswoić sobie tylko kilkaset zdań.

Bracie, ależ kułem te, których się nauczyłem!

Penny żyła w jeszcze większym stresie niż ja. I ona, i Dak mówili po marsjańsku, ale to jej przypadł w udziale obowiązek uczenia mnie, ponieważ Dak większość czasu spędzał na mostku. Śmierć Jocka sprawiła, że nie miał pomocnika. Na ostatnim etapie podróży zeszedliśmy

z dwóch G do jednego, ale przez ten czas w ogóle nie schodził z góry. Spędziłem ten czas, ucząc się rytuału, który musiałem znać, aby wziąć udział w ceremonii adopcji. Penny oczywiście mi pomagała.

Właśnie skończyłem powtarzać sobie przemówienie, które miałem wygłosić, przyjmując członkostwo gniazda Kkkaha. Prawdopodobnie niewiele różniło się ono od tego, jakim ortodoksyjny Żyd przyjmuje na siebie obowiązki wieku męskiego. Odczytałem je wraz z błędami wymowy i tikami Bonforte'a, i zakończyłem słowami:

- No i jak było?
- Całkiem dobrze – odparła poważnie.
- Dzięki, Kudłaczku.

Zwrot ten znalazłem w taśmach szkoleniowych, dotyczących Bonforte'a. Tak ją nazywał, gdy miał dobry humor.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić!

Spojrzałem na nią ze szczerym zdumieniem i odpowiedziałem, wciąż nie wychodząc z roli:

- Dlaczego, Penny, drogie dziecko?
- Tak też mnie nie nazywaj! Ty podróbo! Ty błażnie! Ty...aktorze!

Zerwała się, uciekła tak daleko, jak mogła, to znaczy do drzwi, i stanęła tam, odwrócona do mnie plecami, z twarzą ukrytą w dłoniach i ramionami wstrząsanymi łkaniem.

Dokonałem ogromnego wysiłku i przestałem grać - wciągnąłem brzuch, pozwoliłem, aby twarz przybrała moje własne rysy i odpowiedziałem własnym głosem:

- Panno Russell!

Przestała płakać, obróciła się, spojrzała na mnie i szczęka jej opadła.

- Proszę tu przyjść i usiąść - dodałem, wciąż pozostając sobą.

Myślałem, że odmówi, ale przemyślała sprawę, zawróciła powoli i usiadła. Dłonie grzecznie złożyła na kolanach. Wyglądała jak mała dziewczynka, która, jeszcze nie pokazując, co potrafi".

Pozwoliłem jej tak siedzieć przez chwilę, a potem powiedziałem cicho:

- Tak, panno Russell, jestem aktorem. Czy to powód, żeby mnie pani obrażała?

Gapła się na mnie z uporem w oczach.

- Jako aktor wykonuję tylko swoją pracę. Wiesz, po co. Wiesz też, że skłoniono mnie do tego podstępem. Nie jest to zadanie, którego podjąłbym się z pełną świadomością, nawet w najbardziej szalonym momencie mojego życia. Nie cierpię go jeszcze bardziej, niż ty mnie nie znosisz za jego wykonywanie... Pomimo radosnych zapewnień kapitana Broadbenta nie

jestem całkiem pewien, czy ocalę skórę... A szkoda, bo bardzo ją lubię, to jedyna, jaką mam. Chyba się domyślam, dlaczego ci tak trudno mnie zaakceptować. Ale czy to jest powód, żeby utrudniać mi zadanie bardziej, niż trzeba?

Wymamrotała coś.

- Mów głośno! – rzuciłem ostro.

- To nieuczciwe! To nieprzyzwoite! Westchnąłem.

- Pewnie, że tak. Co więcej, to zadanie jest prawie niewykonalne bez pełnego poparcia wszystkich członków obsady. Wezwijmy zatem kapitana Broadbenta i powiedzmy mu, że odwołujemy wszystko.

Uniosła twarz.

- Och, nie! - szepnęła. - Tego nie możemy zrobić.

- A dlaczego nie? Lepiej zrobić to szczerze teraz, niż zbłąźnić się na premierze. Nie mogę grać w takich warunkach. Przyznaję to.

- Ale... ale my musimy to zrobić! To konieczne!

- A dlaczego konieczne, panno Russell? Z powodów politycznych? Nie, polityka nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu. Wątpię też, żeby pani się nią pasjonowała. Dlaczego więc musimy to zrobić?

- Bo... bo on... - urwała, nie mogąc wykrztusić słowa. Dławiła się szlochem.

Wstałem, podszedłem do niej i położyłem jej rękę na ramieniu.

- Wiem. Jeśli tego nie zrobimy, to, co budował przez tyle lat, rozpadnie się w gruzy. Ponieważ nie może tego zrobić sam, jego przyjaciele starają się z całego serca zrobić to za niego i są względem niego lojalni. Ty też jesteś lojalna. Niemniej jednak boli cię, kiedy widzisz, jak ktoś zajmuje miejsce, które prawnie jemu się należy. Poza tym chyba prawie odchodzisz od zmysłów z obawy o niego. Mam rację?

- Tak- odpowiedziała ledwo dosłyszalnie. Ująłem ją pod brodę i uniosłem jej twarz w górę.

- Wiem, dlaczego tak trudno ci pogodzić się z moją obecnością tutaj, na tym miejscu. Kochasz go. Ale ja robię dla niego wszystko, co w mojej mocy. Zrozum to, kobieto! Czy musisz utrudniać mi zadanie, traktując mnie jak śmiecia!

Spojrzała na mnie, zszokowana. Przez chwilę myślałem, że uderzy mnie w twarz. Ale po chwili odparła zbolonym głosem:

- Przepraszam. Przepraszam. To się już nigdy nie powtórzy. Zabrałem dłoń, z jej podbródka i odparłem rażno:

- No, to wracamy do roboty. Nie poruszyła się.

- Przebaczysz mi?

- Ba! Tu nie ma nic do przebaczenia, Penny. Szalejesz, ponieważ go kochasz i jesteś przerażona. Teraz wracajmy do pracy. Muszę dojść do perfekcji... a zostało już tylko kilka godzin.

Natychmiast wszedłem z powrotem w rolę.

Wzięła szpulę i znów uruchomiła projektor. Jeszcze raz obejrzałem film od początku do końca, po czym wygłosiłem jeszcze raz przemówienie na przyjęcie, z wizją, ale bez dźwięku, dopasowując własny głos - to znaczy jego głos - do ruchomego obrazu. Patrzyła na to z wyrazem oszołomienia, przenosząc wzrok to na film, to na moją twarz. Skończyliśmy i sam wyłączyłem projektor.

- No i jak było?

- Absolutnie doskonale! Uśmiechnąłem się jego uśmiechem.

- Dzięki, Kudłaczku.

- Nie ma za co... panie Bonforte.

W dwie godziny później dobiliśmy do burty „Bankruta”.

Dak przyprowadził Rogera Cliftona i Billa Corpsmana do mojej kabiny natychmiast po ich transferze z „Bankruta”. Znałem ich ze zdjęć. Wstałem i powiedziałem:

- Cześć, Rog. Miło mi cię widzieć, Bill.

Mój głos był ciepły, ale swobodny; dla tych ludzi szybka wycieczka na Ziemię i z powrotem była kwestią tylko kilku dni rozstania i niczym więcej. Pokuśtykałem w ich stronę i wyciągnąłem rękę. W tym momencie statek znajdował się na znacznie mniejszym ciągu, ponieważ dopasowywał się do orbity, na której unosił się „Bankrut”.

Clifton rzucił mi szybkie spojrzenie i podjął grę. Wyjął cygaro z ust, ucisnął mi dłoń i powiedział spokojnie:

- Miło znów pana widzieć, Szefie.

Był to niski, łysy mężczyzna w średnim wieku. Wyglądał na prawnika i świetnego pokerzystę.

- Działo się coś ciekawego?

- Nie. Czysta rutyna. Dałem Penny dokumentację.

- Dobrze.

Zwróciłem się ku Billowi Corpsmanowi i wyciągnąłem rękę. Nie ufał jej. Oparł pięści na biodrach, obejrzał mnie od góry do dołu i gwizdnął.

- Zdumiewające! Chyba naprawdę mamy szansę wyjść z tego z twarzą! - Jeszcze raz zlustrował mnie od stóp do głów i polecił: -Obróć się, Smythe. Pochodź trochę. Chcę widzieć,

jak chodzisz.

Stwierdziłem, że w istocie czuję taką samą irytację, jaka zapewne ogarnęłaby Bonforte'a wobec tej impertynencji i, oczywiście, pozwoliłem, aby to się odbiło na mojej twarzy. Dak dotknął ramienia Corpsmana i rzucił szybko:

- Daj spokój, Bill. Pamiętasz, jak się umówiliśmy?

- Trzęsiportki! - odparł Corpsman - Ten pokój jest dźwiękoszczelny. Chciałem tylko sprawdzić, czy się rzeczywiście nadaje. Smythe, jak tam twój marsjański? Potrafisz go nam zademonstrować?

Odpowiedziałem jednym wielosylabowym skrzekiem w tym języku. Było to zdanie, które mniej więcej można by przetłumaczyć, jako „właściwe zachowanie wymaga, aby jeden z nas opuścił to pomieszczenie” - ale oznacza znacznie więcej: wyzwanie, które z reguły rzuca się temu z gniazda, który jest w nim niepożądany.

Nie sądzę, żeby Corpsman tak to zrozumiał, bo wyszczerzył zęby i odparł:

- Muszę ci to przyznać, Smythe: jesteś dobry. Za to Dak zrozumiał doskonale. Wziął Corpsmana za ramię i mruknął:

- Bill, kazałem ci dać spokój. Jesteś na moim statku i to jest rozkaz. Od tej chwili gra się toczy bez sekundy wytchnienia.

- Posłuchaj go, Bill - dodał Clifton. - Wiesz, iż umówiliśmy się, że właśnie tak to rozegramy. Inaczej ktoś mógłby się przejęzyczyć.

Corpsman spojrział na niego i wzruszył ramionami.

- Dobra, dobra, tylko sprawdzałem. W końcu to był mój pomysł. - Rzucił mi półuśmiešek. - Witam, panie Bonforte. Miło pana znów widzieć.

Położył odrobinę za mocny akcent na „pana”, ale odpowiedziałem:

- Dobrze być z powrotem, Bill. Czy jest coś ważnego, co muszę wiedzieć, zanim wylądujemy?

- Chyba nie. Konferencja prasowa w Goddard City odbędzie się po ceremonii.

Zauważyłem, że obserwuje, jak to przyjmą.

- Doskonale- skinąłem głową.

- Słuchaj no, Rog - wtrącił pospiesznie Dak. - Co z tym robimy? Czy to konieczne? Autoryzowałeś ją?

- Miałem właśnie dodać, zanim nasz szyper dostanie waporów - ciągnął Corpsman, zwracając się do Cliftona - iż mogę ją poprowadzić sam, a chłopcom powiedzieć, że Szef po ceremonii dostał zapalenia gardła... albo że ograniczymy ją do pisemnych pytań przedstawionych wcześniej. Odpowiedzi napiszę podczas trwania ceremonii.

Skoro nasz dubler tak dobrze prezentuje się z bliska, powiedziałbym, że można zaryzykować. Co pan na to, panie... Bonforte? Poradzi pan sobie?

- Nie widzę w tym żadnego problemu, Bill.

Myślałem, że jeśli uda mi się zmylić Marsjan, będę w stanie podjąć improwizowaną rozmowę z grupą istot ludzkich, jeśli tylko zechcą mnie słuchać. Całkiem dobrze opanowałem styl mówienia Bonforte'a i miałem przynajmniej pewne pojęcie o jego polityce i postawach. A w szczególności nie musiałem się wdawać.

Clifton jednak wyglądał na zakłopotanego. Zanim zdążył coś powiedzieć, ryknęła syrena:

- Kapitan jest proszony na mostek. Zostały cztery minuty.

- Uzgodnijcie to sami- rzucił szybko Dak. –Muszę umieścić tą balię we właściwej dziurze... a tam został tylko młody Epstein. -Ruszył w stronę drzwi.

- Hej, szyper! - krzyknął za nim Corpsman. - Chciałem ci powiedzieć...

Wyskoczył z pomieszczenia i pobiegł za Dakiem, nawet się nie zegnając.

Roger Clifton zamknął drzwi, które Corpsman pozostawił otwarte, zawrócił i podszedł do mnie:

- Odważysz się poprowadzić konferencję prasową? - zapytał.

- To zależy od was. Chcę wykonać swoje zadanie.

- Hmm... w takim razie chyba chciałbym zaryzykować, ale zastosujemy metodę pisemnych pytań. Sam jednak sprawdzę odpowiedzi Billa, zanim pozwolą ci je przeczytać.

- Doskonale - odparłem. - Jeśli znajdziesz sposób, abym miał je na dziesięć minut przed czasem, nie powinno być większych trudności. Szybko się uczę.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Wierzę w to... Szefie. Dobrze. Postaram się, aby Penny podsunęła panu odpowiedzi natychmiast po ceremonii. A potem przeprosi pan wszystkich, wyjdzie do toalety i wróci, jak będzie gotowy.

- Powinno się udać.

- Też tak myślę. Hm...muszę powiedzieć, że teraz, kiedy już pana zobaczyłem, czuję się znacznie lepiej. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

- Chyba nie, Rog. A raczej, tak. Są jakieś wiadomości... o nim?

- Co? I tak, i nie. Wciąż jest w Goddard City, jeśli o to chodzi, tego jesteśmy pewni. Nie został zabrany z Marsa, a nawet z kraju. Zablokowaliśmy ich, jeżeli nawet chcieliby to zrobić.

- Co? Goddard City to przecież nieduże miasto, prawda? Nie więcej niż sto tysięcy?

W czym problem?

- Problem w tym, iż nie chcemy się przyznać, że pan... że on został porwany. Kiedy tylko załatwimy ten cyrk z adopcją, usuniemy cię w bezpieczne miejsce i ogłosimy porwanie tak, jakby dopiero co się odbyło... a potem każemy im przetrząsnąć całe miasto nit po nicie. Władze miasta tworzą sami poplecznicy Partii Ludzkości, ale oni też będą musieli współpracować... po ceremonii. Wtedy okaże się, że jest to najbardziej ochocza współpraca, jaką kiedykolwiek widziałeś, bo będą cholernie się spieszyć, żeby go znaleźć, zanim całe gniazdo Kkkahgral zaleje ich i rozbierze im miasto spod tyłków.

- Och, wciąż jeszcze się uczę poznawać marsjańską psychikę i obyczaje.

- Jak my wszyscy.

- Rog? Mmmm... co pozwala ci sądzić, że on wciąż żyje? Czy nie łatwiej i szybciej osiągnęliby swój cel... i mniej ryzykowali... gdyby po prostu go zabili?

Niepewnie przypomniałem sobie, jak łatwo jest pozbyć się ciała, jeśli ma się dość silne nerwy.

- Wiem, co masz na myśli. To też jednak związane jest z marsjańskim pojęciem „przyzwoitości” (użył marsjańskiego słowa). Śmierć jest jedyną dopuszczalną wymówką dla niewywiązania się z obowiązku. Gdyby został po prostu zabity, zaadoptowaliby go do gniazda po śmierci, a potem całe gniazdo i prawdopodobnie wszystkie inne gniazda na Marsie ruszyłyby, żeby go pomścić. Wtedy nic by ich nie obchodziło, gdyby mieli wybić i zniszczyć nawet całą rasę ludzką. Ale zabić tego jednego człowieka tylko po to, żeby nie został zaadoptowany... to całkiem inna sprawa. Kwestia obowiązku i przyzwoitości... W pewnym sensie reakcja Marsjanina jest tak automatyczna, że wygląda na instynktowną. Oczywiście, nie jest tak, ponieważ oni wszyscy są niewiarygodnie inteligentni. Są jednak gotowi dokładnie na wszystko. - Zmarszczył brwi i dodał: - Nieraz wolałbym nigdy nie opuszczać Sussex.

Ostrzegawczy sygnał rogu przerwał dyskusję, zmuszając nas do pospiesznego udania się do koi. Dak wycelował doskonale: wahadłowiec z Goddard City czekał już na nas, kiedy przeszliśmy w stan nieważkości. Zeszliśmy całą piątką i zajęliśmy wszystkie fotele pasażerskie, co też było dokładnie zaplanowane, ponieważ komisarz-rezydent wyraził zamiar wyjścia mi na spotkanie i tylko komunikat Daka, że nasza grupa zajmie wszystkie miejsca, odwiódł go od tego zamiaru.

W czasie lądowania starałem się przyjrzeć lepiej powierzchni Marsa, ponieważ udało mi się tylko przelotnie rzucić na nią okiem z mostka „Toma Paine'a”. Przecież miałem tu podobno być wiele razy, więc nie mogłem okazywać ciekawości zwykłego turysty. Niewiele

zobaczyłem; pilot wahadłowca nie obrócił nas tak, żebyśmy mogli coś widzieć, dopóki nie znaleźliśmy się na poziomie podejścia, a wtedy byłem już zajęty wkładaniem maski tlenowej.

Ta zawszona marsjańska maska omal mnie nie wykończyła. Nigdy nie miałem okazji z nią poćwiczyć, Dak o tym nie pomyślał, a ja nie zdałem sobie sprawy z tego, że może z tym być jakiś problem. Nosilem już kombinezony kosmiczne i do nurkowania przy innych okazjach i myślałem, że tym razem będzie tak samo. Nie było. Model, który preferował Bonforte, miał odkryte usta. Był to „Słodki wiatr” Mitsubishi, włączający powietrze wprost w nozdrza. Zacisk na nos, zatyczki do dziurek, rurki do każdego przewodu nosowego, przechodzące pod uszami do turbodoładowarki na karku... Przyznam, że to ładna zabawka, ponieważ, kiedy już się do niej przyzwyczaisz, możesz w niej jeść, pić, mówić i tak dalej. Ale ja wolałbym chyba, żeby dentysta wsadził mi obie ręce do ust.

Prawdziwy problem polega na tym, że musisz świadomie kontrolować mięśnie zamykające usta, albo zaczynasz gwizdać jak czajnik, ponieważ to draństwo działa na zasadzie różnicy ciśnień. Na szczęście pilot szybko wyrównał ciśnienie do warunków, panujących na powierzchni Marsa, co dało mi około dwudziestu minut, żeby się przyzwycząić. Przez moment myślałem jednak, że wszystko skończone, i to przez jeden dumy gadżet. A potem przypomniałem sobie, że przecież jako Bonforte nosilem ją już setki razy i jestem do niej przyzwyczajony tak, jak do własnej szczoteczki do zębów. Teraz już i sam w to wierzyłem.

Dak mógł mi zaoszczędzić gadaniny komisarza przez godziną drogi w dół, ale nie potrafił ochronić mnie przed nim do końca. Ten typ wyszedł nam na spotkanie na lądowisku. Dzięki napiętemu harmonogramowi mogłem uniknąć kontaktu z innymi ludźmi, ponieważ od razu musiałem się udać do miasta Marsjan. Miało to sens, ale dziwnie się czułem, wiedząc, że będę bezpieczniejszy wśród Marsjan niż wśród swoich.

Jeszcze dziwniej czułem się wiedząc, że jestem na Marsie.

Pan komisarz Boothroyd był, oczywiście, delegatem Partii Ludzkości, podobnie jak cała jego ekipa, z wyjątkiem pracowników technicznych służb cywilnych. Dak jednak poinformował mnie, że najprawdopodobniej Boothroyd nie maczał palców w spisku. Dak uważał go za uczciwego, chociaż głupiego. Jeśli już o tym mowa, ani Dak, ani Rog Clifton nie wierzyli, że premier Quiroga był w to zamieszany. Przypisywali całą zasługę podziemnej grupie terrorystycznej w ramach Partii Ludzkości, która określała się mianem „aktywistów”,

ich zaś z kolei uważał za wysoko postawionych, bardzo poważanych i bardzo nadzianych gości, którzy czekali tylko, żeby się obłowić.

Osobiście nie umiałbym odróżnić aktywisty od aktywatora.

Jednak w tej samej minucie, kiedy rozpoczęliśmy lądowanie, zdarzyło się coś, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać nad tym, czy kolega Boothroyd jest istotnie tak uczciwy i głupi, jak przypuszcza Dak. Nie było to nic wielkiego, drobny szczegół, który jednak mógł mi poważnie przeszkodzić w odegraniu roli. Byłem Bardzo Ważnym Gościem, więc komisarz przywitał mnie osobiście, ale ponieważ nie piastowałem innego urzędu publicznego poza członkostwem Wielkiego Zgromadzenia i podróżowałem prywatnie, nie urządzono oficjalnej parady. Boothroyd pojawił się jedynie w towarzystwie swojego asystenta i dziewczynki w wieku około piętnastu lat.

Znałem go ze zdjęć i wiedziałem o nim dość dużo; Rog i Penny dokładnie mnie przygotowali. Przywitaliśmy się, zapytałem uprzejmie o jego zatoki, podziękowałem za mile spędzoną ostatnią wizytę i porozmawiałem z asystentem w ciepły, ale męski sposób, tak, jak to potrafi tylko Bonforte. A potem zwróciłem się do młodej damy. Wiedziałem, że Boothroyd ma dzieci i że jedno z nich to dziewczynka mniej więcej w tym właśnie wieku, ale nie wiedziałem - może Rog i Penny też nie wiedzieli - czy kiedykolwiek ją poznałem.

Uratował mnie sam Boothroyd.

- Sądzę, że nie zna pan jeszcze mojej córki, Deirdre. Bardzo prosiła, żeby mi towarzyszyć.

Filmy, które dokładnie przestudiowałem, nie zawierały ani jednego obrazu Bonforte'a w kontaktach z młodymi panienkami... Musiałem więc po prostu być kimś takim jak on - wdowcem po pięćdziesiątce, bez własnych dzieci, bez bratanic, prawdopodobnie bez wielkiego doświadczenia z nastolatkami... ale za to z ogromnym doświadczeniem w rozmowach z obcymi. Zacząłem ją traktować tak, jakby miała dwa razy więcej lat. Prawie pocałowałem panienkę w rękę. Zarumieniła się i wyglądała na zadowoloną.

Boothroyd przybrał pobłażliwą minę.

- No, poproś go, moja droga - rzekł. - Taka okazja może ci się już więcej nie trafić.

Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Sir, czy mogę prosić o autograf? Dziewczyny w mojej szkole zbierają autografy. Mam podpis pana Quirogi... chciałabym mieć i pański. - Wyjęła małą książeczkę, którą trzymała za plecami.

Poczułem się jak pilot helikoptera, którego poprosili o prawo jazdy... a on zostawił je w domu, w drugich spodniach. Uczyłem się bardzo pilnie, ale nie przypuszczałem, że będę

musiał podrabiać podpis Bonforte'a. Cholera, nie można się nauczyć wszystkiego w ciągu dwóch i pół dnia!

Niestety, Bonforte w żaden sposób nie mógł odmówić... a ja byłem Bonforte'em. Uśmiechnąłem się jowialnie i powiedziałem:

- Masz już autograf pana Quirogi?

- Tak, sir.

- Tylko podpis?

- Tak. Eeee... dodał do tego: „Wszystkiego najlepszego”. Mrugnąłem do Boothroyda.

- Tylko tyle? Młodym damom należy się coś więcej. Wiesz, co zrobię...? - Wziąłem od niej pamiętnik i zacząłem przeglądać stronicę.

- Szefie - ponaglił mnie Dak. - Minuty nam uciekają.

- Uspokój się - mruknąłem, nie podnosząc wzroku. – Dla młodej damy każę czekać całemu narodowi marsjańskiemu, jeśli będzie trzeba. - Podałem pamiętnik Penny. - Możesz zapamiętać wielkość tej książeczki? I przypomnij mi, żebym przesłał jej zdjęcie o odpowiedniej wielkości do wklejenia... z właściwym autografem, oczywiście.

- Tak jest, panie Bonforte.

- Czy to pani odpowiada, panno Deirdre?

- Jeszcze jak!

- Doskonale. Dzięki, że mnie pani poprosiła. Możemy już iść, kapitanie. Panie komisarzu, czy to nasz samochód?

- Tak, panie Bonforte - smutno potrząsnął głową. - Obawiam się, że przekabacił pan członka mojej rodziny, aby popierał pańskie ekspansjonistyczne herezje. To chyba trochę nieuczciwe, co? Łatwy cel i tak dalej?

- To pana nauczy, żeby nie wprowadzać jej w złe towarzystwo... co, panno Deirdre? - Uścisnąłem mu dłoń raz jeszcze.

- Dziękuję za powitanie, panie komisarzu. Obawiam się, że musimy już pędzić.

- Tak, oczywiście. Było mi bardzo miło.

- Dziękuję, panie Bonforte.

- To ja dziękuję, panienko.

Odwróciłem się powoli, żeby na filmie nie wypaść nerwowo. Byliśmy wciąż otoczeni fotografami, stereofilmowcami oraz wieloma reporterami. Bill utrzymywał tych ostatnich w bezpiecznej odległości, a kiedy zaczęliśmy odchodzić, pomachał nam ręką i zawołał:

- Do zobaczenia później, Szefie!

Zatrzymał się jeszcze chwilę, żeby porozmawiać z jednym z nich.

Rog, Dak i Penny towarzyszyli mi w samochodzie. Otaczał nas normalny tłum gapiów, nie tak gęsty, jak na ziemskich lądowiskach, ale i tak liczny. Nie obawiałem się ich, skoro Boothroyd zaakceptował moje wcielenie... Chociaż pewnie było tam kilka osób, które wiedziały, że nie jestem Bonforte'em.

Nie pozwoliłem, żeby te osoby wytrąciły mnie z równowagi. Nie mogły narobić nam kłopotów, nie demaskując się zarazem.

Samochód był marki Rolls Outlander, z wyrównaniem ciśnienia. Pomimo to pozostawiłem na twarzy maskę tlenową, podobnie jak pozostali. Usiadłem po prawej, Rog obok mnie, Penny na następnym siedzeniu, Dak zaś owinął długie nogi wokół jednego z rozkładanych foteli. Kierowca obejrzał się na nas i ruszył powoli.

- Przez chwilę się bałem – szepnął Rog.

- Nie ma się czym martwić. A teraz proszę wszystkich o ciszę. Chciałbym sobie powtórzyć przemówienie.

W istocie chciałem się trochę porozglądać po marsjańskim krajobrazie. Przemówienie znałem doskonale. Kierowca wiozł nas wzdłuż północnej krawędzi lądowiska, mijając wiele składów i magazynów. Rozpoznałem kilka znaków towarowych: Verwijs Trading Company, Diana Outlines Ltd, Trzy Planety i I.G. Farbenindustrie. W zasięgu wzroku było niemal tyłu samo ludzi, co Marsjan. My, szczury ziemskie, jesteśmy przekonani, że Marsjanie są powolni jak ślimaki... bo tak jest, gdy przebywają na naszej planecie o dużej sile grawitacji. W swym własnym świecie przemieszczają się jak kamień, ślizgający się po powierzchni wody.

Po prawej stronie, na południe od lądowiska, Wielki Kanał ciągnął się ku zbyt bliskiemu horyzontowi, ale nie było widać drugiego brzegu. Przed nami pojawiło się Gniazdo Kkkah, miasto rodem z baśni. Gapiłem się na nie, radując serce jego kruchym pięknem, gdy Dak poderwał się nagle.

Minęliśmy już ruch wokół magazynów, ale z naprzeciwka zbliżał się do nas jakiś samochód. Widziałem go, lecz nie zwróciłem na niego uwagi. Dak jednak musiał być czujny i przygotowany na kłopoty. Kiedy samochód był już całkiem blisko, gwałtownie odsunął zasłonę oddzielającą nas od kierowcy, przechylił się przez siedzenie i chwycił za kierownicę. Skręciliśmy w prawo, prawie ocierając się o tamten samochód, potem w lewo, z trudem utrzymując się na drodze. Mało brakowało, ponieważ opuściliśmy już lądowisko i teraz autostrada biegła wzdłuż kanału.

Kilka dni temu, w hotelu Eisenhower, nie pomogłem zbyt wiele Dakowi, ale wtedy nie miałem broni i nie spodziewałem się kłopotów. Tego dnia także nie miałem broni, ba, nie miałem przy sobie nawet zatrutego kolca, ale zachowałem się o wiele lepiej. Dak był

wystarczająco zajęty kierowaniem autem z tylnego siedzenia, tym bardziej że kierowca zdążył już się pozbierać z pierwszego szoku i teraz próbował mu wyrwać kierownicę.

Rzuciłem się do przodu, objąłem go za szyję lewym ramieniem i wcisnąłem prawy kciuk pod żebro.

- Rusz się i po tobie! - przemówiłem głosem najgorszego zbira z Dżentelmena z drugiego piętra, kwestia również pochodziła z tej roli.

Mój więzień zrobił się nagle bardzo spokojny.

- Rog, co oni robią? - rzucił niecierpliwie Dak. Clifton obejrzał się i odparł:

- Zawracają.

- Dobrze, Szefie - rzucił Dak. - Nie spuszczać tego typa z muszki, a ja przejdę na jego miejsce.

Zaczął przeciskać się na przednie siedzenie, zanim jeszcze skończył mówić. Nie było to łatwe zadanie przy jego długich nogach i tłoku w samochodzie. Usadził się wreszcie i zawołał radośnie:

- Wątpię, czy cokolwiek na kołach zdoła prześcignąć rollsa w bezpośrednim starciu!

Nacisnął na gaz i samochód skoczył naprzód.

- Co z nimi, Rog?

- Właśnie zawrócili.

- No to świetnie. Co zrobimy z tym gagatkiem? Wrzucimy do kanału?

Moja ofiara poruszyła się lekko.

- Nic nie zrobiłem - zaskomlał.

Mocniej wcisnąłem mu kciuk w żebra i w ten sposób go uciszyłem.

- Nie, nic nie zrobiłeś - zgodził się Dak, nie spuszczać oka z drogi. - Próbowaleś tylko leciutko nas stuknąć... Tylko tyle, żeby pan Bonforte spóźnił się na ceremonię. Gdybym nie zauważył, że zwolniłeś, aby ocalić własną skórę, pewnie by ci się udało. I gdzie twoje jaja? - Skręcił, aż zapiszczały opony, a żyroskop zawył, usiłując utrzymać nas w pionie.

- Jaka jest sytuacja, Rog?

- Dali spokój.

- No to dobrze - Dak nie zmniejszył prędkości, pewnie lecieliśmy trzysta albo i więcej.

- Ciekawe, czy spróbują nas zbombardować, kiedy mamy jednego z nich na pokładzie? Jak sądzisz, chłopcze? Spiszą cię na straty?

- Nie wiem, o czym mówicie! Narobicie sobie kłopotów!

- Doprawdy? Słowo czterech szacownych obywateli przeciwko twojemu, bywalcu kicia? A może nie jesteś wtyczka? Poza tym pan Bonforte woli, kiedy ja prowadzę.

Naturalnie, zechcesz zrobić panu Bonforte'owi tą małą uprzejmość.

Jadąc po szklistej drodze, wjechaliśmy na coś wielkości małego owada i obaj z moim więźniem omal nie wylecieliśmy przez dach.

- Pan Bonforte! - moja ofiara wykrzyknęła to nazwisko jak przekleństwo.

Dak milczał przez kilka sekund.

- Nie sądzę, że należy go wrzucić do kanału, Szefie - powiedział wreszcie. - Odwieziemy pana na miejsce, a potem zajmiemy się nim po swojemu. Przy odrobinie zachęty zaczniesz gadać.

Kierowca próbował zwać, ale zacisnąłem ramię na jego szyi i mocniej wcisnąłem mu kciuk w żebra. Kciuk nieco różni się twardością od lufy pistoletu, ale kto chciałby to sprawdzić? Nagle rozluźnił się i mruknął ponuro:

- Nie odważycie się potraktować mnie igłą!

- Jasne, że nie! - odparł Dak tonem świętego oburzenia. - To byłoby nielegalne. Penny, dziecino, czy masz może agrafkę?

- Oczywiście, mam, Dak - odparła, nieco zdziwiona, podobnie jak ja. Tylko że ona nie wydawała się przerażona, a ja i owszem.

- Doskonale. Synku, czy miałeś kiedyś agrafkę pod paznokciem? Podobno ten mały zabieg potrafi przełamać nawet hipnotyczny zakaz mówienia. Działa bezpośrednio na podświadomość, czy coś w tym rodzaju? Problem w tym, że pacjent wydaje mnóstwo nieprzyjemnych dźwięków. Zabierzemy cię na wydmy, gdzie nie będziesz nikomu przeszkadzał, może z wyjątkiem skorpionów. Kiedy już wszystko wyśpiewasz, wypuścimy cię wolno, nic a nic ci nie zrobimy, pozwolimy ci wrócić do miasta na piechotę. A jeśli będziesz rozsądny i zaczniesz współpracować... słuchaj teraz uważnie! .. dostaniesz nagrodę. Pozwolimy ci zachować maskę tlenową.

Dak przestał mówić. Przez chwilę panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie świstem marsjańskiego powietrza. Istota ludzka może na Marsie przejść bez maski tlenowej około dwustu metrów, jeśli jest w dobrej kondycji. Chyba słyszałem kiedyś o przypadku, kiedy gość przewędrował prawie kilometr, zanim umarł. Spojrzałem na licznik i stwierdziłem, że znajdujemy się około dwudziestu trzech kilometrów od Goddard City.

Więzień przemówił niechętnie:

- Naprawdę, nic nie wiem. Zostałem wynajęty, żeby rozbić samochód.

- Spróbujemy odświeżyć ci pamięć. Bramy marsjańskiego miasta były tuż przed nami.

Dak zaczął zwalniać.

- Tu pan wysiada, Szefie. Rog, weź pistolet i uwolnij Szefa od naszego gościa.

- Jasne, Dak!

Rog podszedł do mnie, dźgnął faceta w żebra, również gołym kciukiem. Usunąłem się z drogi. Dak zahamował, zatrzymując się dokładnie na wprost bramy.

- Mamy jeszcze cztery minuty - oznajmił radośnie. - Ładny wózek. Chciałbym, żeby był mój. Rog, posuń się trochę i zrób mi miejsce.

Clifton posłuchał i Dak kantem dłoni umiejętnie trzasnął kierowcę w szyję. Mężczyzna zwiśł bezwładnie.

- To go na chwilę uciszy, zanim załatwisz co trzeba. Nie można pozwolić na nieprzyzwoite zachowanie pod bokiem gniazda. Sprawdźmy czas.

Sprawdziliśmy. Miałem jeszcze około trzech i pół minuty.

- Musisz ruszyć dokładnie o czasie, rozumiesz? Ani wcześniej, ani później, punktualnie o czasie.

- Zgadza się - odpowiedzieliśmy chórem z Cliftonem.

- Około trzydziestu sekund wystarczy na przejście rampy. Co zrobisz z pozostałymi trzema minutami?

- Chyba się trochę uspokoję - odparłem z westchnieniem.

- Przecież jesteś spokojny. Wtedy na lądowisku wszystko poszło ci świetnie. Uśmiechnij się, staruszk. Za dwie godziny ruszysz w kierunku domu z kieszeniami pełnymi forsy. Jesteśmy na finiszu.

- Mam nadzieję. Troszkę nerwów nas to kosztowało. Aha, Dak?

- Co?

- Chodź tu na chwilę. - Wsiadłem z samochodu, skinąłem na niego i odprowadziłem na kilka metrów. - Co się stanie, jeśli popełnię błąd...tam?

- Co? - Dak spojrzał na mnie z lekkim zaskoczeniem i roześmiał się nieco zbyt serdecznie. - Nie popełnisz żadnego błędu. Penny twierdzi, że jesteś absolutnie idealnym Jo.

- Dobrze, ale gdyby jednak?

- Nic z tego. Wiem, jak się czujesz. Ja też się tak czułem podczas pierwszego samodzielnego lądowania. Byłem tak zajęty robotą, że nie miałem czasu na popełnianie błędów.

Usłyszeliśmy głos Cliftona, dziwnie cienki w rozrzedzonym powietrzu.

- Dak? Pilnujesz czasu?

- Mamy całe wieki. Ponad minuta.

- Panie Bonforte! - zawołała Penny. Obejrzałem się i zawróciłem do samochodu.

Wyszła i wyciągnęła do mnie rękę.

- Życzę panu szczęścia, panie Bonforte.

- Dziękuję, Penny.

Rog uściśnął mi dłoń, Dak klepnął mnie w ramię.

- Upłynęło trzydzieści pięć sekund. Ruszaj.

Skinąłem głową i ruszyłem w górę rampy. Musiałem się znaleźć na szczycie prawie dokładnie w wyznaczonym czasie, bo potężne bramy rozsunęły się na boki, kiedy tylko do nich podszedłem. Zacerpnałem tchu wpłuca i przekląłem tę cholerną maskę tlenową.

A potem wszedłem na scenę.

Nieważne, ile razy to robisz, dajesz ten pierwszy krok do przodu. Gdy na premierze kurtyna unosi się w górę, zapiera ci dech w piersi i serce podnosi się do gardła. Jasne, znasz dekoracje. Jasne, poprosiłeś już dyrektora, żeby policzył publiczność. Jasne, robiłeś to już setki razy. Nieważne - ten pierwszy krok na scenę, te wszystkie oczy wpatrzone w ciebie i czekające, aż przemówisz, aż coś zrobisz... może nawet, że zapomnisz tekstu, bracie, to się pamięta. Po to są suflerzy.

Podniosłem wzrok, zobaczyłem moją publiczność i chciałem zwiać. Po raz pierwszy od trzydziestu lat sparaliżowała mnie trema.

Przed mną, jak okiem sięgnąć, rozpościerało się morze potomków gniazda. Na wprost mnie widniała szeroka aleja, a wzdłuż niej tysiące Marsjan, ściśniętych jeden obok drugiego jak szparagi. Wiedziałem, że najpierw muszę powoli przejść środkiem tej alejki, do samego końca, a potem w górę rampy, wiodącej do wnętrza gniazda.

Nie mogłem się ruszyć.

Powiedziałem sobie: „Słuchaj, chłopie, jesteś John Joseph Bonforte. Byłeś tu już dziesiątki razy. Te istoty to twoi przyjaciele. Jesteś tu, ponieważ chcesz tu być... i dlatego, że oni chcą, żebyś tu był. No to w drogę. Tam tam taram taram, oto wchodzi panna młoda”.

Znowu poczułem się jak Bonforte. Byłem wujkiem Joe Bonforte, zdecydowanym wykonać swoje zadanie w sposób doskonały- w imię honoru i dobrobytu mojego własnego ludu i mojej własnej planety... i moich przyjaciół Marsjan. Wziąłem głęboki oddech i zrobiłem pierwszy krok.

Ten głęboki oddech mnie uratował, przyniósł mi ów słodki zapach. Tysiące, tysiące Marsjan ciasno stłoczonych... To pachniało tak, jakby ktoś rozwalił balon pełen „Zwierzęcej żądz”. Przekonanie, że to właśnie czuję, było tak silne, iż podświadomie zacząłem rozglądać się za Penny. Prawie czułem ciepło jej dłoni w mojej.

Zacząłem kuśtykać wzdłuż alejki, próbując robić to z szybkością, z jaką Marsjanie poruszają się na swojej własnej planecie. Tłum zamknął się za moimi plecami. Dzieci od

czasu do czasu wyrywały się starszym i przemykały przede mną. Przez „dzieci” rozumiem tu Marsjan po rozszczepieniu, mniej więcej o połowę mniejszych i lżejszych od dorosłych osobników. Nigdy nie opuszczają gniazda i dlatego pewnie nie zdajemy sobie sprawy z istnienia Marsjaniątek. Po rozszczepieniu Marsjanin potrzebuje prawie pięciu lat, aby osiągnąć całkowity wzrost i odzyskać pełną sprawność mózgu oraz dobrą pamięć. Przez cały ten okres przejściowy jest idiotą, który uczy się, jak być kretyńcem. Przemieszczenie genów i następująca po nim regeneracja właściwa dla rozszczepienia i wygenerowania odmiany sprawiają, że wypada on z obiegu na długi okres. Jeden z filmów Bonforte'a, ilustrowany marnymi amatorskimi stereografiami, traktował o tym właśnie problemie.

Dzieci, radośni idioci, są poza pojęciem przyzwoitości i tym, co ono ze sobą niesie. Są przy tym ogromnie kochane.

Dwójka maluchów, tego samego, najniższego wzrostu, a dla mnie prawie identycznych, zatrzymała się dokładnie na wprost mnie, jak durny szczeniak pośrodku ruchliwej ulicy. Musiałem albo się zatrzymać, albo na nie wejść.

Zatrzymałem się zatem. Podeszły jeszcze bliżej, blokując mnie całkowicie i zaczęły wysuwać niby łapki, szczebiocąc coś do siebie. Nie rozumiałem ich ani trochę. Prawie natychmiast zaczęły skubać moje ubranie i wsuwać ciastowate rączki w kieszenie.

Tłum był tak blisko, że nie mogłem ich wyminąć. Szarpały mną dwie myśli. Przede wszystkim maluchy były tak słodkie, że chciałem sprawdzić, czy nie mam dla nich gdzieś schowanych słodyczy. Wiedziałem jednak, że ceremonia adopcji jest wyliczona w czasie jak balet. Jeśli nie dojdę do końca uliczki, popełnię klasyczny grzech przeciwko przyzwoitości, zdefiniowany przez samego Kkkahgrala Młodszego.

Niestety, dzieciaki nie miały najmniejszej ochoty zejść mi z drogi. Jedno z nich trafiło na mój zegarek.

Westchnąłem, prawie oszołomiony zapachem, a potem założyłem się sam ze sobą, że całowanie dzieciaków jest uniwersalną praktyką galaktyczną i że ma pierwszeństwo nawet przed marsjańską przyzwoitością. Ukląknę na jedno kolano, zniżając się do ich wzrostu i pieściłem je przez chwilę, klepiąc je i głaszcząc po hiskach.

Po chwili podniosłem się i wyartykułowałem ostrożnie:

- Wystarczy na razie. Muszę iść.

Wypowiedź ta w większości wyczerpała mój zasób słów marsjańskiego języka basic.

Dzieciaki uczepliły się mnie, ale odsunąłem je delikatnie i pospieszyłem dalej, żeby nadrobić stracony czas. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że moje naruszenie zasad przyzwoitości nie osiągnęło jeszcze poziomu śmiertelnej obrazy. Dotarłem do szczytu rampy,

wiodącej do wnętrza gniazda, i ruszyłem w dół.

Ta linia gwiazdek to ceremonia adopcji. Dlaczego? Ponieważ jest ona ograniczona tylko do członków Gniazda Kkkah. To sprawa rodzinna.

Ujmijmy to tak: mormon może mieć wielu bliskich przyjaciół, wyznających inne religie, ale czy dzięki tej przyjaźni będą oni mieli wstęp do świątyni w St. Lake City? Jak dotąd nie i pewnie nigdy tak się nie stanie. Marsjanie odwiedzają się swobodnie pomiędzy gniazdami, ale Marsjanin ma wstęp jedynie do wnętrza gniazda swej własnej rodziny. Nawet jego współmałżonki nie dostępują tego zaszczytu. Nie mam większego prawa opowiadać o szczegółach ceremonii adopcji, niż brat loży masońskiej o szczegółach rytuału.

Oczywiście ogólny opis nie ma znaczenia, ponieważ ceremoniał jest taki sam dla wszystkich gniazd, podobnie jak moja rola jest taka sama dla każdego kandydata. Mój sponsor - najstarszy marsjański przyjaciel Bonforte'a, Kkkahrreash – przywitał mnie w drzwiach i zagroził mi buławą. Odpowiedziałem, że ma mnie zabić natychmiast, jeśli popełnię jakiegokolwiek wykroczenie. Szczerze mówiąc, nie rozpoznałem go, mimo że długo studiowałem jego portret. Musiał to jednak być on, gdyż rytuał tego wymagał.

Po tym oświadczeniu, które oznaczało, że byłem w idealnym porządku wobec Rady Matek, Szkoły, Cnót Publicznych i że nigdy nie opuszczałem szkółki niedzielnej, zostałem wpuszczony do środka. 'Rreash oprowadził mnie wokół stacji, zadawał pytania, a ja odpowiadałem. Każde słowo, każdy gest były stylizowane jak staro chińska sztuka, inaczej nie miałbym cienia szansy. Przez większość czasu nie wiedziałem, o co mnie pytają, i nie rozumiałem przynajmniej połowy z własnych odpowiedzi. Znałem tylko sygnały i repliki, czego zresztą nie ułatwiało mi ulubione przez Marsjan przytłumione światło. Macałem drogę wokół siebie jak kret.

Kiedyś grałem z Hawkiem Mantellem, na krótko przed jego śmiercią. Był już wtedy głuchy jak pień. Co to był za aktor! Nie mógł nawet używać aparatu słuchowego, ponieważ ósmy nerw miał martwy. Potrafił czytać z ruchu ust, ale to nie zawsze jest możliwe. Sam kierował produkcją i wyreżyserował ją idealnie. Widziałem, jak wypowiada kwestię, odchodzi, a za chwilę obraca się i z idealnym wyczuciem czasu rzuca odpowiedź na kwestię towarzysza, której nawet nie słyszał.

Tu było bardzo podobnie. Znałem rolę i grałem ją. Jeśli oni się sypną, to wyłącznie ich problem.

Mimo to nie czułem się ani trochę lepiej wiedząc, że przez cały czas celuje we mnie co najmniej pół tuzina buław. Powtarzałem sobie, że nie spalą mnie za jedno przejęzyczenie. W końcu jestem tylko biedną głupią ludzką istotą i w najgorszym przypadku pogonią mi kota

za brak starań, ale sam nie bardzo w to wierzyłem.

Po czasie, który mnie wydawał się wiekiem - ale nie był, ponieważ cała ceremonia trwa dokładnie jedną dziewiątą obrotu Marsa - po tym nieskończonym czasie spożyliśmy posiłek. Nie wiem, co jadłem, i niech tak zostanie. W każdym razie nie otruto mnie.

Następnie starszeństwo wygłosiło swoje mowy, ja odpowiedziałem im moim przemówieniem, dostałem imię i buławę, i tak zostałem Marsjaninem.

Nie wiedziałem, jak się korzysta z buławy, a moje imię brzmiało jak ciekący kran, ale od tej chwili miałem legalne nazwisko na Marsie i byłem prawnym krewnym najbardziej arystokratycznej rodziny na planecie. Stało się to dokładnie w pięćdziesiąt dwie godziny po tym, jak pewien ziemski szczur wydał ostatnie pół imperiała na drinka dla nieznanego w barze Casa Manana.

Myślałem, iż to dowód na twierdzenie, że nie należy zaczepiać nieznanym.

Wymknąłem się tak szybko, jak to było możliwe. Dak ułożył dla mnie przemówienie, w którym wyjaśniałem, że natychmiast muszę opuścić gniazdo. Pozwolili mi iść. Byłem nerwowy jak facet na drugim piętrze damskiego akademika, ponieważ teraz już nie znałem żadnego rytuału, jaki mógłby mnie poprowadzić. Chcę przez to powiedzieć, że nawet swobodne zachowanie towarzyskie wciąż pozostawało ograniczone hermetycznymi i ryzykownymi obyczajami, a ja nie znałem kroków tego tańca. Wyrecytowałem zatem moje przeprosiny i ruszyłem do wyjścia. 'Rreash i jeszcze jeden starszy odprowadzili mnie, po drodze miałem jeszcze okazję poigrać z kolejną a może tą samą? – parką dzieciaków. Kiedy dotarłem do bram, starsi pożegnali się ze mną w skrzekliwej angielszczyźnie, a ja przełknąłem wreszcie serce, które do tej chwili tkwiło mi w gardle.

Rolls czekał w tym samym miejscu. Zbiegłem w dół, drzwi się otworzyły, a ja ze zdumieniem stwierdziłem, że Penny jest sama.

- Hej, Kudłaczku! Udało się!

- Wiedziałaś, że tak będzie.

Obdarzyłem ją udanym salutem szermierczym mojej buławy i powiedziałem:

- Możesz mi mówić Kkkahjjjenr. - Przy drugiej sylabie poczułem, że się ślinię.

- Hej, ostrożnie z tym urządzeniem! - wzdrygnęła się nerwowo.

Wsunąłem się na siedzenie obok niej i zapytałem:

- Wiesz, jak się tego czegoś używa?

Napięcie zaczęło mnie opuszczać i czułem się wykończony, ale szczęśliwy. Potrzebowałem teraz trzech małych drinków i wielkiego steka, a potem już mógłbym czekać na komentarze krytyków.

- Nie. Ale uważaj.

- Zdaje się, że to trzeba tylko nacisnąć tutaj - pokazałem i natychmiast w oknie samochodu pojawiła się pięciocentymetrowa dziura, dzięki czemu nagle przestał być hermetyczny.

Penny jęknęła.

- Och, przepraszam - mruknąłem. - Odstawię to, dopóki Dak mnie nie nauczy.

Z trudem przełknęła ślinę.

- W porządku. Uważaj tylko, gdzie celujesz. Ruszyła, a ja stwierdziłem ze zdumieniem, że nie tylko Dak lubi docisnąć do dechy.

Wiatr świstał przez wypaloną przeze mnie dziurę.

- Po co się tak spieszymy? - zapytałem. - Muszę trochę popracować nad tekstem mojej konferencji prasowej. A gdzie reszta?

Kompletnie zapomniałem o zdemaskowanym kierowcy. Nie myślałem o nim od chwili, gdy otwarły się przede mną bramy gniazda.

- Nie mogli zostać.

- Penny, co się stało? O co chodzi?

Ciekaw bytem, jak uda mi się przeprowadzić konferencję prasową bez przygotowania. Może opowiem im trochę o samej adopcji, tego przynajmniej nie będę musiał udawać.

- Chodzi o pana Bonforte... znaleźli go.

6

Do tej pory nie zauważyłem, że ani razu nie nazwała mnie panem Bonforte. Nie musiała, bo już nim nie byłem. Znów stałem się Lonie Smythe'em, aktorem, którego wynajęli, żeby go zagrał. Oparłem się o fotel z lekkim westchnieniem. Odprężyłem się.

- No to nareszcie po wszystkim... I w dodatku nam się udało.

Czułem, jak z serca spada mi kamień: nawet nie wiedziałem, że był taki ciężki, dopóki nie spadł. Nawet, kulawa noga przestała mnie boleć. Wyciągnąłem ręką i poklepałem Penny po dłoni leżącej na kierownicy.

- Cieszę się, że już po wszystkim – powiedziałem własnym głosem. - Będzie mi ciebie brakowało. Jesteś świetnym kompanem. No, ale nawet najlepsza sztuka w końcu schodzi z afisza i kompania się rozchodzi. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy.

- Ja też.

- Podejrzewam, że Dak już coś wymyślił, żebyśmy mógł pozostać w ukryciu, dopóki nie

przemyci mnie z powrotem na „Toma Paine”.

- Nie wiem.

Jej głos brzmiał dość dziwnie. Rzuciłem na nią okiem i stwierdziłem, że płacze. Serce podskoczyło mi w piersi. Penny i Łzy? Z powodu naszego rozstania? Nie mogłem w to uwierzyć, a przecież bardzo chciałem. Ktoś mógłby pomyśleć, że z moim kulturalnym obejściem i efektowną urodą kobiety nie mogą mi się oprzeć. Ponure fakty są jednak takie, że bardzo wiele znakomicie mi się opierało. Na przykład Penny robiła to całkiem bez wysiłku.

- Penny - powiedziałem szybko - dlaczego płaczesz, kotku? Rozwalisz samochód.

- Nie mogę przestać.

- No dobrze... mów, co się dzieje. O co chodzi? Oznajmiłaś, że go odnaleźli i nic więcej. -Nagle ogarnęło mnie potworne, acz całkiem usprawiedliwione podejrzenie. - Czy on... żyje?

- Tak, żyje... ale... Boże, co oni z nim zrobili! -Zaczęła szlochać i musiałem chwycić za kierownicę. Opanowała się szybko.

- Przepraszam.

- Chcesz, żebym poprowadził?

- Wszystko w porządku, poza tym nie umiesz... to znaczy, nie powinieneś umieć prowadzić.

- Co? Nie żartuj. Umiem i przecież to już nie ma znaczenia, że... - Urwałem, bo nagle dotarło do mnie, że to w dalszym ciągu może mieć znaczenie. Jeśli zmaltretowali Bonforte'a tak, że to widać, nie będzie mógł się pokazać publiczności w takim stanie... a przynajmniej nie w piętnaście minut po adopcji przez gniazdo Kkkaha. Może powinienem wziąć udział w konferencji prasowej i odejść publicznie, podczas kiedy na pokład przemycą prawdziwego Bonforte'a? No, trudno... to nic takiego, to jak wołanie o bisy.

- Penny, czy Dak i Rog chcą, żebym jeszcze przez jakiś czas pozostał w tej roli? A może nie?

- Nie wiem, było za mało czasu.

Dojeżdżaliśmy już do magazynów obok lądowiska i w zasięgu wzroku pojawił się potężny bąbel Goddard City.

- Penny, zwolnij na chwilę i zacznij gadać do rzeczy, Muszę wiedzieć, co mam robić.

Kierowca zaczął gadać... Zapomniałem zapytać, czy skłoniono go do tego za pomocą agrafki, czy nie. Następnie wypuszczono go na wolność, nie pozbawiając jednak maski. Pozostali wrócili do Goddard City. Prowadził Dak. Czuję się szczęśliwy, że zostawili mnie w gnieździe. Kapitanowie statków nie powinni prowadzić żadnych innych pojazdów.

Pojechali pod adres w Starym Mieście, który podał im kierowca. Doszedłem do wniosku, że to pewnie zwykłe slumsy, które ma każdy port od czasów, gdy Fenicjanie opływali Afrykę. Miejsce, gdzie kryją się zwolnieni zesłańcy, prostytutki, żebracy, naciągacze, prestidigitatorzy i inne męty... i gdzie policjanci chodzą wyłącznie parami.

Informacja, którą wycisnęli z kierowcy, okazała się prawdziwa, ale spóźniona o kilka minut. Pokój był na pewno pokojem więźnia, ponieważ posłanie na łóżku wskazywało, iż zajmowano je nieprzerwanie przez co najmniej tydzień. Dzbanek kawy był jeszcze ciepły, a na półce, zawinięta w ręcznik, leżała staromodna sztuczna szczeka, którą Clifton zidentyfikował jako należącą do Bonforte'a. Brakowało jednak samego Bonforte'a i jego porywaczy.

Odjechali stamtąd z zamiarem pozostania przy poprzednim planie. Chcieli teraz ogłosić, że porwanie nastąpiło tuż po adopcji, wywierając nacisk na Boothroyda pod groźbą odwołania się do gniazda Kkkah. Ale znaleźli Bonforte'a, po prostu natknęli się na niego na jednej z ulic, zanim jeszcze opuścili Stare Miasto. Wyglądał teraz jak biedny, ogłupiały żebrak z tygodniową brodą, brudny i oszołomiony. Nie rozpoznali go od razu, ale Penny wyczuła, że to on, i kazała im się zatrzymać.

Znów się rozszlochała, gdy opowiadała mi ten fragment historii. Przez to omal nie rozbiliśmy się o ciężarówkę, która właśnie wyjeżdżała z jednego z doków.

Najrozsądniejszym wyjaśnieniem tych wydarzeń był nieudany zamach. Kiedy chłopcy z drugiego samochodu - tego, który miał w nas uderzyć - stwierdzili, że im nie wyszło, powiadomili centralę, a ukryci przywódcy naszych oponentów zdecydowali, że porwanie przestało służyć swojemu celowi. Pomimo argumentów, jakie już słyszałem, zdziwiłem się szczerze, że go po prostu nie zabili. Dopiero później dowiedziałem się, że to, co mu zrobili, było znacznie bardziej wyrafinowane, lepiej odpowiadało ich zamiarom i było znacznie okrutniejsze niż zabójstwo.

- Gdzie on teraz jest? - zapytałem.

- Dak zabrał go do hotelu wojażerów w trzeciej kopule.

- Czy tam właśnie jedziemy?

- Nie sądzę. Rog kazał mi się zabierać, a potem obaj zniknęli w drzwiach służbowych hotelu. Och, nie. Chyba jednak nie odważę się tam jechać. W ogóle nie wiem, co robić.

- Penny, zatrzymaj wóz.

- Co?

- Ten samochód na pewno ma telefon. Nie ruszymy się nawet o krok, dopóki nie dowiemy się, albo nie domyślimy, co powinniśmy zrobić. Wiem tylko jedno: powinienem

pozostać w roli, dopóki Dak lub Rog nie zdecydują, że mam zniknąć. Ktoś musi pogadać z prasą. Ktoś musi na oczach wszystkich odlecieć na „Toma Paine'a”. Jesteś pewna, że pan Bonforte nie może zebrać sił na tyle, żeby to zrobić?

- Co? Och, nie, z całą pewnością nie. Nie widziałeś go.

- No tak, nie widziałem. Wierzę ci na słowo. W porządku, Penny, jestem znowu panem Bonforte, a ty moją sekretarką. Lepiej ciągnijmy to dalej.

- Tak jest... panie Bonforte.

Nie mogliśmy znaleźć wykazu telefonów w samochodzie i Penny musiała zadzwonić do informacji. Wreszcie połączono ją z hotelem wojażerów. Mogłem słyszeć całą rozmowę.

- Klub Pilotów, mówi pani Kelly. Penny przykryła mikrofon.

- Mam podać nazwisko?

- Graj w otwarte karty. Nie mamy nic do ukrycia.

- Mówi sekretarka pana Bonforte'a - odparła poważnie. - Czy jest tam jego pilot, kapitan Broadbent?

- Znam go, skarbie. -Rozległ się okrzyk: - Hej, palacze! Widzieliście może, gdzie poszedł Dak? Po chwili powiedziała do Penny:

- Poszedł do swojego pokoju. Już go ściągamy.

- Szyper? - rzuciła krótko Penny. - Szef chce z tobą mówić. -Podawała mi słuchawkę.

- Tu Szef, Daku.

- O. Gdzie pan jest... sir?

- Wciąż w samochodzie. Penny po mnie przyjechała. Dak, Bill zdaje się zaplanował konferencję prasową. Gdzie ona ma być?

Zawahał się.

- Cieszę się, że pan zadzwonił, sir. Bill ją odwołał. Zaszła pewna... niewielka zmiana w sytuacji.

- Wiem o tym od Penny. Bardzo się cieszę, jestem raczej zmęczony. Dak, postanowiłem, że nie zostanę dziś na planecie. Noga zaczyna mnie boleć i mam nadzieję na porządny odpoczynek w nieważkości. - W przeciwieństwie do Bonforte'a, nienawidziłem stanu nieważkości. - Czy ty albo Rog moglibyście przeprosić ode mnie komisarza i tak dalej?

- Zajmiemy się wszystkim, sir.

- Dobrze. Jak szybko możecie przysłać po mnie wahadłowiec?

- „JPixie” wciąż czeka na pana, sir. Jeśli zechce pan udać się do bramy numer trzy, zadzwonię i poproszą, żeby podstawili panu samochód.

- Doskonale. Wyłączam się.

- Ja też się wyłączam, sir.

Oddałem telefon Penny, żeby odłożyła go na uchwyt.

- Kudłaczku, nie wiem, czy ta częstotliwość jest monitorowana, czy nie, a może cały samochód jest zapluskwiony? Niezależnie od tego, mogli dowiedzieć się tylko dwóch rzeczy: gdzie jest Dak, a co za tym idzie, gdzie jest ON. A druga: co zamierzam robić dalej. Czy nic ci to nie mówi?

Wyglądała na zamyśloną, po czym wzięła swój notatnik i napisała w nim: „Pozbądźmy się samochodu”.

Skinąłem głową, wziąłem od niej notes i napisałem: „Jak daleko jest brama numer trzy?”

Odpisała: „Można tam dojść na piechotę”.

Podjechała na jakiś parking dla kierownictwa obok jednego z magazynów. W milczeniu wysiedliśmy z samochodu. Na pewno za jakiś czas zostanie zwrócony tam, gdzie należy - a teraz takie drobiazgi przestały mieć znaczenie.

Odeszliśmy na jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy przystanąłem. Coś było nie w porządku. Na pewno nie pogoda, bo powietrze pachniało balsamicznie, a słońce świeciło jasno na czystym purpurowym marsjańskim niebie. Przejeżdżający kierowcy i piesi raczej nie zwracali na nas uwagi, a jeśli już, to bardziej na towarzyszącą mi młodą kobietę, niż na mnie. A jednak czułem się dziwnie.

- O co chodzi, Szefie?

- Co? No właśnie!

- Sir?

- Nie jestem teraz „Szefem”. Taka ucieczka nie pasuje do charakteru postaci.

Wracamy, Penny.

Nie sprzeczała się ze mną, lecz pokornie podreptała do samochodu. Tym razem z odpowiednio dystygowaną miną usiadłem na tylnym siedzeniu i pozwoliłem, aby zawiozła mnie pod bramę numer trzy.

Nie była to ta sama brama, którą weszliśmy. Myślę, iż Dak wybrał ją dlatego, że częściej odprawiano przez nią ładunki niż pasażerów. Penny nie zwracała uwagi na znaki i podjechała rollsem do samej bramy. Policjant terminalu próbował ją zatrzymać, ale oznajmiła chłodno:

- To samochód pana Bonforte'a. Może pan przekazać informację do biura komisarza, żeby go stąd zabrali?

Wytrzeszczył na nią oczy, zajrzał na tylne siedzenie, chyba mnie rozpoznał, bo

zasalutował i pozwolił nam pozostać na miejscu.

- Porucznik bardzo pilnuje, żeby miejsce przy ogrodzeniu było wolne, sir - wyjaśnił. - Ale myślę, że to nic złego.

- Możesz zaraz zabrać samochód - odparłem. – Czy mój wóz jest tutaj?

- Zaraz się dowiem, sir - odparł i odszedł. Nie trzeba było niczego więcej, aby bez wątpienia ustalić, że „Joan Bonforte” podjechał oficjalnym samochodem i udał się na swój prywatny jacht. Wsadziłem sobie buławę życia pod pachę, jak Napoleon szpicrutę, i pokuśtykałem w ślad za nim, z Penny tuż za plecami. Policjant porozmawiał z kierownikiem bramy i z uśmiechem zawrócił w naszą stronę:

- Pański samochód czeka, sir.

- Serdeczne dzięki. - Pogratulowałem sobie doskonałej synchronizacji w czasie.

- Hmm...-Policjant wydawał się zaktopotany, ale dodał przyciszonym, konspiracyjnym szeptem. - Sir, ja też jestem ekspansjonistą. Zrobił pan dzisiaj wspaniałą robotę.

Spojrzał na buławę z nabożnym szacunkiem.

Doskonale wiedziałem, jak Bonforte powinien zachować się w takiej sytuacji.

- Bardzo dziękują. Mam nadzieję, że ma pan dużo dzieci. Musimy zapewnić sobie solidną większość.

Ryknął śmiechem głośniejszym, niż żart na to zasłużył.

- Doskonale! Czy mogę to przekazać dalej?

- Proszę bardzo - odparłem i ruszyłem przez bramkę. Kontroler lekko dotknął mojego ramienia.

- Eee... czy mogę prosić o paszport, panie Bonforte? Miałem nadzieję, że wyraz mojej twarzy nie uległ zmianie.

- Penny, paszporty.

Zmierzyła urzędnika lodowatym spojrzeniem.

- Kapitan Broadbent zajmuje się wszelkimi zezwoleniami. Spojrzał na mnie i szybko odwrócił wzrok.

- Przypuszczam, że wszystko jest w porządku. Muszę je jednak sprawdzić i zanotować numery.

- Tak, oczywiście. Cóż, chyba będę musiał poprosić kapitana Broadbenta, żeby tu przyszedł. Czy mój wahadłowiec ma już wyznaczoną godzinę startu? Obawiam się, że będziemy musieli poprosić wieżę o zwłokę.

Penny jednak najwyraźniej ogarnęła paskudna złość:

- Panie Bonforte, to idiotyczne! Nigdy przedtem nie robili nam takich problemów... na

pewno nie na Marsie. Policjant pośpiesznie odpowiedział:

- Oczywiście, na pewno wszystko się zgadza, Hans, w końcu to pan Bonforte.

- Jasne, ale...

Przerwałem z radosnym uśmiechem:

- Znam prostszy sposób. Czy może pan... jak się pan nazywa?

- Haslwanter. Hans Haslwanter -odparł niechętnie.

- Panie Haslwanter, czy może pan zadzwonić do komisarza Boothroyda?

Porozmawiam z nim i zaoszczędzimy mojemu pilotowi spaceru na lądowisko... a mnie prawie godzinę czasu.

- Och, wolałbym tego nie robić, sir. Czy nie wystarczy zadzwonić do kapitana portu? -
podsunął z nadzieją w głosie.

- Daj mi tylko numer pana Boothroyda Ja do niego zadzwonię.

Tym razem pozwoliłem, aby mój głos zabrzmiał znacznie chłodniej: tak się zachowuje zajęty i ważny człowiek, który chciałby być demokratą, ale ma dość z całego serca i powyżej uszu przepychanek i dyskusji z urzędasami.

Tym razem zadziałało. Pospiesznie wykrztusił:

- W porządku, panie Bonforte. To tylko...no wie pan, przepisy.

- Tak. Wiem. Dziękuję. - Ruszyłem przez bramkę.

- Chwileczkę, panie Bonforte. Proszę spojrzeć.

Obejrzałem się za siebie. Ten cholerny skrupulant zatrzymał nas tak długo, że dogonili nas dziennikarze. Jeden z nich ukląkł na jedno kolano i celował we mnie stereografem. Spojrzał w górę i zawołał:

- Proszę trzymać buławę tak, żeby ją było widać!

Kilku innych, obwieszonych różnego rodzaju sprzętem, otoczyło nas; jeden z nich wspiął się nawet na dach rollsa. Ktoś podetknął mi pod nos mikrofon, ktoś inny wycelował we mnie mikrofon kierunkowy jak karabin.

Byłem tak samo wściekły, jak dowodząca nimi kobieta. Nazwisko miała wypisane bardzo małymi literami, ale doskonale pamiętałem, kto to może być. Uśmiechnąłem się i ruszyłem powoli. Prawdziwy Bonforte doskonale panował nad ruchami, które na filmie wydają się zawsze szybsze, niż w rzeczywistości, Mogłem sobie pozwolić na zrobienie tego we właściwy sposób.

- Panie Bonforte, dlaczego odwołano konferencję prasową?

- Panie Bonforte, czy to prawda, że zamierza pan poprosić Wielkie Zgromadzenie o przyznanie Marsjanom pełnego obywatelstwa Imperium? Czy może pan to skomentować?

- Panie Bonforte, kiedy zamierza pan przedstawić wotum zaufania obecnemu rządowi?

Podniosłem dłoń z buławą i uśmiechnąłem się.

- Pojedynczo, pojedynczo proszę! Jakie było pierwsze pytanie?

Wszyscy oczywiście odpowiedzieli jednocześnie, zanim ustalili między sobą kolejność; udało mi się uzyskać kilka chwil bez odpowiadania na żadne pytania. W tym momencie na horyzoncie pojawił się szarżujący Bill Corpsman.

- Miejcie litość, chłopcy. Szef miał ciężki dzień. Dałem wam wszystko, czego chcieliście.

Pohamowałem go gestem dłoni.

- Mogę poświęcić minutę lub dwie, Bill. Panowie, właśnie wyjeżdżam, ale spróbuję odpowiedzieć na pytania, które mi zadaliście. O ile wiem, obecny rząd nie planuje żadnego przewartościowania stosunków pomiędzy Marsem a Imperium. Ponieważ nie jestem członkiem rządu, moje własne zdanie nie ma wielkiego znaczenia. Proponuję zapytać pana Quiroge. Na pytanie, kiedy opozycja przeforsuje wotum zaufania, mogę odpowiedzieć tylko, że nie zrobimy tego dopóty, dopóki nie będziemy pewni, że zwyciężymy... a na ten temat akurat wiecie dokładnie tyle samo, co ja. Ktoś rzucił:

- To niewiele mówi, nie sądzi pan?

- I tak właśnie miało być - odparłem, łagodząc odpowiedź uśmiechem. - Zadawajcie pytania, na które mogę odpowiadać uczciwie, a ja to zrobię. Pytajcie mnie: „Czy już pan przestał bić żonę?” a ja odpowiem jak należy. - Zawahałem się, ponieważ Bonforte cieszył się reputacją szczerego aż do bólu pyskacza. - Nie chcę was zwodzić. Wiecie, po co tu dzisiaj przybyłem. Pozwólcie, że wypowiem się na ten temat... i możecie mnie wszyscy cytować, jeśli chcecie. - Sięgnąłem myślą w głąb pamięci i wygrzebałem odpowiedni kawałek przyswojonej wypowiedzi Bonforte'a. - Prawdziwym znaczeniem tego, co miało dziś miejsce, nie jest zaszczyt wyświadczony jednemu człowiekowi. To... - machnąłem marsjańską buławą -.. jest dowodem, że dwie rasy mogą połączyć przepaść różnic mostem zrozumienia. Nasza rasa rozrasta się, obejmując kolejne gwiazdy. Przekonamy się... już się przekonaliśmy... że jesteśmy w znacznej mniejszości. Jeśli nasza ekspansja do gwiazd ma się udać, musimy działać uczciwie, z pokorą, z otwartym sercem. Słyszałem zdanie, że nasi marsjańscy sąsiedzi przy pierwszej nadarzającej się okazji chętnie podbiliby Ziemię. To nonsens: Ziemia jest dla nich nieodpowiednią planetą. Chrońmy to, co nasze, ale nie dajmy się ponieść nienawiści i lękowi, popychającym nas do popełniania szalonych czynów. Małe umysły nigdy nie podbiją gwiazd, musimy być wielcy jak sam kosmos.

Reporter uniósł brew.

- Panie Bonforte, wydaje mi się, że już słyszałem to przemówienie w lutym zeszłego roku?

- I usłyszy je pan w lutym przyszłego roku. I w styczniu. I w marcu, i co miesiąc. Prawdy nigdy za wiele. - Spojrzałem na strażnika bramy i dodałem: - Przykro mi, ale już muszę iść, bo spóźnię się na statek.

Odwrociłem się i przeszedłem przez bramkę, a Penny zaraz za mną.

Wsiadliśmy do małego, opancerzonego samochodu portowego. Drzwiczki zamknęły się za nami z cichym sykiem. Samochód był sterowany automatycznie i nie miał kierowcy, więc nie musiałem się przed nikim zgrywać. Rzuciłem się na siedzenie i odetchnąłem.

- Uff!

- Wyszło ci wspaniale - powiedziała poważnie Penny.

- Słabo mi się zrobiło, kiedy przypomniał sobie przemówienie, które cytowałem.

- Świetnie sobie z tym poradziłeś. Mówiłeś tak... dokładnie jak Szef.

- Czy był tam ktoś, do kogo powinienem się zwrócić po nazwisku?

- Właściwie nie. Jeden czy dwóch, ale nie oczekiwali tego od ciebie w takim pośpiechu.

- Złapali mnie w kleszcze. Ten ślamazarny strażnik bramy i jego paszporty. Penny, wydaje mi się, że to raczej ty powinnaś je mieć, a nie Dak.

- Dak ich nie ma. Każdy ma swój przy sobie. - Sięgnęła do torebki i wyjęła małą książeczkę. - Miałam go przez cały czas... ale nie śmiałam się przyznać.

- Co?

- On miał swój paszport w kieszeni, kiedy został porwany. Nie mieliśmy odwagi wystąpić o duplikat... nie w takiej chwili.

Nagle zrobiło mi się dziwnie słabo.

Bez instrukcji od Daka i Roga pozostałem Bonforte'em przez całą drogę wahadłowcem i po przejściu na pokład „Toma Paine”. Nie było to takie trudne. Poszedłem prosto do kajuty właściciela i pozostałem przez wiele długich, przeraźliwie ciągnących się godzin w stanie nieważkości, ogryzając paznokcie i zastanawiając się, co się dzieje na powierzchni. Udało mi się w końcu zasnąć, nie bez pomocy pigułek przeciw chorobie morskiej... Okazało się to zresztą wielkim błędem, bo pogrążyłem się w serii koszmarów, z atakującymi mnie reporterami, policjantami, klepiącymi mnie w ramię, i Marsjanami, celującymi we mnie swoje buławy. Wszyscy wiedzieli, że jestem fałszywką, i tylko kłócili się między sobą, kto z nich ma prawo pierwszeństwa, żeby mnie rozszarpać na kawałki i wrzucić

do lochu.

Obudziło mnie wycie alarmu przeciążeniowego. Wibrujący baryton Daka grzmiał:

- Pierwszy i ostatni czerwony alarm! Jedna trzecia G. Jedna minuta!

Pospiesznie wgramoliłem się do mojej koi i przytrzymałem z całych sił. Poczułem się lepiej, kiedy już ruszyliśmy. Jedna trzecia G to niewiele, prawie tyle samo, co powierzchnia Marsa, ale wystarczy, żeby uspokoić żołądek i sprawić, że podłoga naprawdę jest podłoga.

W chwilę później do drzwi zastukał Dak i wszedł, zanim zdążyłem go zaprosić.

- Się masz, Szefie.

- Witaj, Dak. Naprawdę się cieszę, że cię znowu widzę.

- Nie tak bardzo jak ja z tego, że jestem z powrotem - westchnął słabym głosem, zezując na moją koję. - Mogę się trochę wyciągnąć?

- Proszę bardzo. Zrobił to i westchnął.

- Ludzie, ale jestem wymaglowany! Mógłbym spać przez tydzień... i chyba tak zrobię.

- Ja też, stary. Hmm... wzięliście go na pokład?

- Tak. Ale cyrk!

- Też tak myślę. Chyba jednak łatwiej robić coś takiego w małym, położonym na uboczu porcie, niż to, co wyczyniałeś w Porcie Jefferson.

- Co? Tutaj jest znacznie trudniej.

- Dlaczego?

- To jasne. Tu wszyscy wszystkich znają... a ludzie lubią gadać. - Dak uśmiechnął się ponuro. - Przenieśliśmy go na pokład jako skrzynkę mrożonych krewetek. Musieliśmy zapłacić cło wywozowe, a jakże.

- Dak, jak on się czuje?

- Cóż - Dak zmarszczył brwi. - Doktor Capek twierdzi, że całkiem wróci do zdrowia... to tylko kwestia czasu. Ach, jakbym dorwał te szczury! - dodał z błyskiem w oku. - Gdybyś widział, co oni mu zrobili, załamałbyś się i zaczął wyć... A jednak musimy pozwolić im spokojnie odejść... dla jego dobra.

Dak sam był bliski wycia.

- Penny powiedziała mi, że nielecho go zmaltretowali - odparłem łagodnie. - Jak bardzo jest z nim niedobrze?

- He? Musiałeś źle zrozumieć. Poza tym, że był utyłany jak świnia i mocno potrzebował golenia, nie doznał żadnych fizycznych obrażeń.

Zrobiłem głupią minę.

- Myślałem, że go pobili. Co najmniej tak, jakby potraktowali go kijem do bejsbolu.

- Byłoby znacznie lepiej! Kogo obchodzi kilka połamanych kości? Nie, najgorsze jest to, co zrobili z jego mózgiem.

- O, nie. — Poczulem mdłości. – Pranie mózgu?

- Tak. Tak i nie. Raczej nie próbowali zmuszać go do mówienia, ponieważ nie znał żadnych tajemnic politycznych, które mogłyby mieć jakieś znaczenie. Zawsze grał w otwarte karty i wszyscy o tym wiedzieli. Chyba chodziło im tylko o zachowanie nad nim kontroli, udaremnienie prób ucieczki.

- Doc mówi ,że chyba stosowali minimalną dawkę dzienną -wyjaśniał dalej. - Tylko tyle, żeby był posłuszny. A potem, zanim go wypuścili, wstrzyknęli mu działkę, która słonia zmieniałaby w bełkoczącego idiotę. Jego mózg musi być nasiąknięty jak gąbka.

Poczulem się niedobrze. Chyba miałem szczęście, że nie wziąłem do ust ani kęsa. Kiedyś czytałem coś na ten temat. Nienawidzę tego tak bardzo, że mnie fascynuje. W moim pojęciu, manipulowanie osobowością człowieka jest czymś niemoralnym i poniżającym w absolutnie kosmicznym sensie. Morderstwo jest w porównaniu z tym czystą igraszką. „Pranie mózgu” to pojęcie, wywodzące się z mchu komunistycznego w Późnych Mrocznych Wiekach. Po raz pierwszy zastosowano je wobec człowieka, aby złamać jego wolę i zmienić osobowość za pomocą fizycznego poniżenia i subtelnych tortur. To jednak zabierało całe miesiące. Potem wynaleźli „lepszy” sposób, który zmieniał człowieka w bełkoczącego niewolnika w ciągu kilku sekund. Wystarczyło jedynie wstrzyknąć jedną z wielu pochodnych kokainy w przednie płaty jego mózgu.

Ta obrzydliwa praktyka została pierwotnie opracowana do legalnych celów, aby uspokoić trudnych pacjentów i uczynić ich podatnymi na psychoterapię. W takim znaczeniu był to wielki postęp, ponieważ metoda ta była stosowana zamiast lobotomii. „Lobotomia” z kolei to określenie prawie tak przestarzałe jak „pas cnoty”, ale oznacza grzebanie nożem w ludzkim mózgu w taki sposób, aby zmienić osobowość pacjenta, nie zabijając go przy tym. Tak, ta metoda naprawdę kiedyś była w użyciu, podobnie jak bicie „aby wypędzić diabła”.

Komuniści dopracowali nową metodę prania mózgu za pomocą narkotyków do perfekcji. A potem komunistów zabrakło i Oddziały Braterskie szlifowały ją tak długo, aż potrafili nasączyć człowieka tak delikatnie, że stawał się tylko podatny na kierowanie... albo naćpać tak, że zmieniał się w bezmyślną kupę protoplazmy - a wszystko w słodkim imieniu braterstwa. W końcu nie można zbratać się z człowiekiem, który uparcie zachowuje swoje wszystkie tajemnice tylko dla siebie, no nie? A czy istnieje lepszy sposób, żeby sprawdzić jego lojalność, jak tylko wkłuć mu igłą pod gałkę oczną i wstrzyknąć do mózgu porcję „śpiewającego soczku”?, Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jaj”. Mądrość łajdaków -

ba!

Oczywiście przez długi, długi czas metoda ta była nielegalna, z wyjątkiem działań terapeutycznych i za wyraźną zgodą sądu. Mimo to korzystają z niej kryminaliści i niektórzy niezbyt porządni policjanci, bo dzięki niej mogą zmusić więźnia do gadania i nie zostawić żadnych śladów. Można nawet nakazać ofierze, żeby zapomniała, że coś takiego jej zrobili.

Wiedziałem o tym wszystkim już wtedy, kiedy Dak powiedział, co zrobili Bonforte'owi, resztę zaś wyczytałem z fiszek pokładowej Encyklopedii Batawijskiej. Patrz rozdziały Integralność psychiczna i Tortury.

Potrząsnąłem głową, aby odpędzić od siebie koszmary.

- Ale dojdzie do siebie?

- Doc twierdzi, że narkotyk nie narusza struktury mózgu, a jedynie ją paraliżuje. Mówi, że po jakimś czasie strumień krwi po prostu wypłucze i odprowadzi prochy do nerek, skąd zostaną wydalone. To jednak wymaga czasu. - Dak spojrzał na mnie uważnie. - Szeffie?

- Tak? Chyba już czas dać sobie spokój z tym szefowaniem, co? On już wrócił.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś jeszcze przez jakiś czas grać swoją rolę, czy sprawi ci to zbyt wiele kłopotu?

- Ale po co? Tu nie ma nikogo, tylko my, biedactwa.

- To nie całkiem prawda, Lorenzo, choć udało nam się utrzymać ten sekret w bardzo niewielkim kręgu. Jesteś ty, jestem ja - zaczął wyliczać na palcach. - Doc, Rog i Bill, no i oczywiście Penny. Na Ziemi jest jeszcze jeden facet, nazwiskiem Langston, nie znasz go. Myślę, że Jimmy Washington coś podejrzewa, ale on własnej matce nie powie, która jest naprawdę godzina. Nie wiem, ile osób brało udział w porwaniu, ale możesz być pewien, że niewiele.

W każdym razie oni nie zaczną gadać, a najlepsze jest to, że nawet nie mogą udowodnić, że go porwali, choćby bardzo chcieli. Do czego zmierzam: tu, na „Tomie”, cała załoga i cały personel pomocniczy są poza sprawą. Staruszku, co powiesz na to, żeby pokazywać się codziennie chłopcom z załogi, dziewczynie Jimmiego Washingtona i innym... zanim on dojdzie do siebie? No jak?

- Cóż... właściwie dlaczego nie? Jak długo to potrwa?

- Tylko przez okres powrotnej podróży. Polecimy powolutku, na małym ciągu. Zobaczysz, spodoba ci się.

- Dobrze, Dak. Nie wliczaj tego do mojego honorarium. Robię to, ponieważ nienawidzę prania mózgu. Dak zerwał się i klepnął mnie w ramię.

- Jesteś takim facetem, jakich lubię, Lorenzo. Nie martw się wynagrodzeniem.

Zajmiemy się tym. - Nagle zmienił ton. - Doskonale, Szefie. Do zobaczenia rano.

Jedna sprawa jednak pociąga za sobą następne. Ciąg, z jakim ruszyliśmy po powrocie Daka, potrzebny był jedynie do zmiany orbity na dalszą, gdzie będzie mniejsza szansa, że serwis prasowy dopadnie nas wahadłowcem na kontynuowanie historii. Obudziłem się w stanie nieważkości, łyknąłem pigułkę i udało mi się nawet zjeść śniadanie. Wkrótce pojawiła się Penny.

- Dzień dobry, panie Bonforte.

- Dzień dobry, Penny. - Skinąłem głową w kierunku pokoju gościnnego. - Coś nowego?

- Nie, sir. W zasadzie to samo. Pozdrowienia od kapitana. Czy sprawi panu kłopot spotkanie się z nim w jego kajucie?

- Ani trochę.

Penny poszła za mną. Dak siedział na fotelu, zaczepiony obcasami, żeby się nie unosić. Rog i Bill byli przypięci pasami do kanapy.

Dak rozejrzał się i rzekł:

- Dziękujemy, że pan przyszedł, Szefie. Potrzebujemy pomocy.

- Dzień dobry. Co się stało?

Clifton odpowiedział na moje pozdrowienie z właściwym sobie, pełnym godności szacunkiem i nazwał mnie Szefem. Corpsman skinął głową.

- Aby usunąć się w dobrym stylu, musisz pojawić się jeszcze raz - wyjaśnił Dak.

- Co? A ja myślałem...?

- Chwileczkę. Sieci telewizyjne dostały obietnicą, że dziś wygłosisz mowę, aby skomentować wczorajsze wydarzenie. Myślałem, że Rog zamierza odwołać to przemówienie, ale Bill już je przygotował. Pytanie brzmi: czy zechcesz je wygłosić?

Kiedy bierzesz do domu kota, zawsze musisz być przygotowany na kocięta.

- Gdzie? W Goddard City?

- Och, nie. Tu, w swojej kabinie. Prześlemy je na Phobos, tam zrobią nagranie dla Marsa, a stamtąd prześlą do Nowej Batawii, skąd ziemskie sieci przekażą je na Wenus, Ganimedę i tak dalej. W ciągu czterech godzin usłyszą je wszystkie systemy, a ty nawet nie będziesz musiał ruszyć się ze swojej kajuty.

W wielkich sieciach jest coś ogromnie kuszącego. Tylko raz miałem okazję tam być, ale wtedy całe moje wystąpienie ucięto do trzydziestu siedmiu sekund. Teraz mogłem ich mieć tylko dla siebie...

Dak myślał, że się waham, i dorzucił:

- To nic takiego, mamy odpowiednie wyposażenie i możemy nagrać je nawet tutaj, na „Tomie”. A potem obejrzeć jeszcze raz i wyciąć to, co niepotrzebne.

- Cóż, niech będzie. Masz tekst, Bill?

- Tak.

- Chcę go sprawdzić.

- Co masz na myśli? Dostaniesz przemówienie w odpowiednim czasie.

- Czy to to, co trzymasz w ręku?

- No.. , tak.

- Daj mi przeczytać. Corpsman zrobił udręczoną minę.

- Dostaniesz tekst na godzinę przed rejestracją. Takie rzeczy wychodzą lepiej, jeśli wyglądają na spontaniczne.

- Spontaniczny wygląd wymaga starannego przygotowania. To mój zawód i wiem, co mówię, Bill.

- Wczoraj na lądowisku poszło ci doskonale bez żadnych prób. Teraz chcę, żebyś wygłaszał te same stare banały i zrobił to dokładnie tak samo.

Im dłużej Corpsman się zapierał, tym bardziej brała we mnie górą osobowość Bonforte'a. Zdaje się, że Clifton dostrzegł nadchodzącą burzę, bo odezwał się:

- Do jasnej cholery, Bill! Dajże mu to przemówienie!

Corpsman prychnął i rzucił we mnie plikiem kartek. W nieważkości poleciały we właściwym kierunku, ale strumień powietrza rozniósł papiery po całej kabinie. Penny pozbiierała je, ułożyła i podała mi. Podziękowałem i już bez słowa zacząłem je studiować.

Przebiegłem oczami tekst w ułamku czasu, jakiego potrzebowałbym, aby go przeczytać na głos. Wreszcie skończyłem.

- No i co? - zapytał Rog.

- Około pięciu minut dotyczy samej adopcji. Pozostała część to argumentacja polityki przyjętej przez Partię Ekspansjonistów. Mniej więcej to samo, co we wszystkich innych przemówieniach, które musiałem przesłuchać.

- Tak - zgodził się Clifton. - Adopcja to hak, na którym powiesimy resztę. Jak wiesz, spodziewamy się w niedługim czasie przegłosować wotum zaufania.

- Rozumiem. Nie możesz przegapić szansy, żeby kuć żelazo. No dobrze, nie ma problemu, ale...

- Ale co? Co cię gnębi?

- Cóż...charakteryzacja. W wielu miejscach należałoby zmienić stylistykę. On nie wyraziłby się w ten sposób.

Corpsman wybuchnął, używając słownictwa całkiem niestosownego w obecności dam. Obrzuciłem go lodowatym spojrzeniem.

- Ty, Smythe, słuchaj no - syknął. - Kto może wiedzieć lepiej, jak Bonforte mógłby to wyrazić? Ty? Czy człowiek, który przez ostatnie cztery lata pisał mu przemówienia?

Próbowałem utrzymać gniew na wodzy - w pewnym sensie miał rację.

- Niemniej jednak istnieją przypadki, kiedy słowa, które dobrze wyglądają na piśmie, źle brzmią w przemówieniu - odparłem. - Pan Bonforte to wielki orator, tyle już wiem. Może się równać z Websterem, Churchillem i Demostenesem... gromowładna wielkość ujęta w proste słowa. Weź teraz słowo „bezkompromisowy”. Użyłeś go aż dwa razy. Mogę je wypowiedzieć, bo mam słabość do wielosylabowych słów i lubię popisywać się odczytaniem i erudycją. Ale pan Bonforte powiedziałby „uparty”, „zawzięty” lub „twardogłowy”. Głównie dlatego, że słowa te przenoszą znacznie większy ładunek emocjonalny.

- Twoim zadaniem jest wygłoszenie przemówienia jak należy. Słowami zajmuję się ja!

- Bill, nic nie rozumiesz. Nie interesuje mnie, czy ta mowa będzie politycznie skuteczna, czy nie. Moim zadaniem jest odegranie roli. Nie mogę tego zrobić, jeśli wkłada mi się w usta słowa, których mój bohater nigdy by nie użył. Zabrzmiałoby to równie sztucznie i groteskowo, jakby kozioł mówił po grecku. Ale jeśli odczytam przemówienie, używając słów, których użyłby ON, stanie się ono automatycznie skuteczne, bo jest wielkim mówcą.

- Słuchaj, Smythe, nie płacą ci za pisanie mów, tylko za...

- Spokój, Bill! - uciał Dak. - I trochę się pohamuj z tym „Smythe”. No i co, Rog? Co ty na to?

- O ile dobrze rozumiem, Szefie - ostrożnie odezwał się Clifton - ma pan zastrzeżenia jedynie co do pewnych wyrażzeń?

- Cóż, tak. Wyciąłbym również ten osobisty atak na pana Quiroge, jak również insynuację na temat jego finansowych sprzymierzeńców. Tak nie powiedziałby prawdziwy Bonforte.

Spojrzał na mnie baranim wzrokiem.

- Sam to tu wstawiłem. Może jednak masz rację. - Przez chwilę rozmyślał w milczeniu. - Dokonaj zmian, jakie uważasz za stosowne. Zarejestrujemy to i obejrzymy dokładnie. W razie potrzeby zawsze możemy coś wyciąć... albo całkiem odwołać „z przyczyn technicznych” - uśmiechnął się ponuro. - Tak to zrobimy, Bill.

- Niech to diabli, co za idiotyczny przykład...

- Właśnie tak się to odbędzie, Bill. Corpsman gwałtownie opuścił pomieszczenie.

Clifton westchnął.

- Bill zawsze bardzo źle przyjmował fakt, że oprócz pana B. może mu wydawać rozkazy również ktoś inny. Hm... Szefie, jak szybko może pan być gotów? Wchodzimy na antenę o szesnastej.

- Nie wiem, ale będę gotów na czas. Penny popłynęła za mną do gabinetu. Kiedy zamknęła drzwi, powiedziałem:

- Drogie dziecko, teraz nie będę cię potrzebował przez jakąś godzinę lub dwie. Możesz poprosić doktora o kilka tych pigułek, chyba będą konieczne.

- Tak jest, sir - podpłynęła plecami do drzwi. - Szefie?

- Słucham, Penny?

- Chciałam tylko powiedzieć, żeby pan nie wierzył w to, co Bill mówił o pisaniu jego przemówień!

- Ani mi się śni. Słyszałem przemówienia Bonforte'a... i czytałem to.

- Och, tak, Bill przygotowuje szkice, i to bardzo często. Rog tak samo. Ja też nieraz to robiłam. On... on użyje każdego pomysłu, jeśli uzna go za dobry. Ale wiem, że kiedy przemawia, każde słowo jest tylko i wyłącznie JEGO.

- Wierzę ci. Szkoda, że właśnie tego nie napisał wcześniej.

- Po prostu daj z siebie wszystko.

Dałem. Zacząłem od prostego zastępowania słów ich synonimami, wprowadzając dźwięczne germanizmy w miejsce łacińskich łamigłówek językowych. A potem się wściekłem, poczerwieniałem jak burak i podarłem wszystko na strzępy. Wprowadzanie zmian do tekstu to dla aktora znakomita gratka, chociaż nieczęsta.

Wygłosiłem mowę przed samą Penny i kazałem Dakowi upewnić się, że nikt na statku tego nie nagrywa, choć podejrzewam, że ten długo kościsty łajdak oszukał mnie i sam podsłuchiwał w najlepsze. Doprowadziłem Penny do łez w ciągu trzech pierwszych minut, a zanim skończyłem po dwudziestu ośmiu minutach, rozplynęła się doszczętnie. Nie poczynałem sobie zbyt swobodnie z ekspansjonistyczną doktryną głoszoną przez jej oficjalnego proroka Jego Prawość Johna Josepha Bonforte, ale pozwoliłem sobie na zaprezentowanie jego misji i programu, hojnie posługując się frazeologią zaczerpniętą z innych przemówień.

I tu stało się coś dziwnego... Kiedy mówiłem, nawet sam w to wierzyłem!

Bracie, jakie ja odstawiłem przemówienie!

Później wszyscy odsłuchaliśmy je z playbacku, wraz z pełnym stereograficznym obrazem mojej osoby. Jimmie Washington również był obecny, dzięki czemu Bill Corpsman

trzymał język za zębami. Kiedy skończyłem, zapytałem:

- I co ty na to, Rog? Czy musimy coś wycinać?

Wyjął z zębów cygaro i mruknął:

- Nie, jeśli chce pan znać moje zdanie, Szefie. Puszczamy to tak, jak jest.

Corpsman znowu się wyniósł. Za to pan Washington podszedł do mnie ze łzami, fruującymi mu wokół oczu. Łzy to okropny kłopot w nieważkości, bo nie mają dokąd spływać.

- Panie Bonforte, to było piękne!

- Dziękuję, Jimmie.

Penny w ogóle nie była w stanie mówić.

Później poszedłem do siebie, bo kiedy daję z siebie wszystko, jestem wykończony. Spałem ponad osiem godzin, aż obudziła mnie syrena. Byłem przypięty do koi - nienawidzę fruwać tu i tam w czasie snu - więc nie musiałem nawet kiwnąć palcem. Nie wiedziałem, że ruszamy w drogę, ale na wszelki wypadek wezwałem Broadbenta.

- Kapitanie?

- Chwileczkę, sir - usłyszałem głos Epsteina. Po chwili odezwał się Dak.

- Słucham, Szefie? Ruszamy w drogę zgodnie z planem, według pańskich rozkazów.

- Co? Aha, rzeczywiście.

- Wydaje mi się, że pan Clifton wybierał się do pańskiej kajuty.

- Doskonale, kapitanie.

Położyłem się i czekałem.

Natychmiast, kiedy ruszyliśmy jednym G, pojawił się Clifton. Miał na twarzy dziwny, zakłopotany wyraz, którego nie potrafiłem zinterpretować - była to jednocześnie radość, troska i zmieszanie.

- Co się stało, Rog?

- Szefie! Wszystko diabli wzięli! Rząd Quirogi podał się do dymisji!

Wciąż bytem oszołomiony snem. Potrząsnąłem głową, żeby rozjaśnić sobie w mózgownicy.

- O co to wielkie halo, Rog? Przecież chyba właśnie tego chcieliście?

- No tak, oczywiście, ale... - urwał.

- Ale co? Nie rozumiem ani w ząb. Przez całe lata pracujecie, kombinujecie, jak to

osiągnąć, a teraz, kiedy zwyciężyliście... Wyglądasz jak panna młoda, która i chciałaby, i boi się. Dlaczego? Te paskudy wyniosły się z areny i wchodzą dzieci dobrej Bozi. Nie mam racji?

- No... chyba nie za bardzo interesujesz się polityką.

- Rzeczywiście tak jest. Zdołowali mnie, kiedy chciałem być zastępowym w skautach. To mnie wyleczyło na zawsze z polityki.

- Wiesz, w polityce najważniejszy jest czas.

- To samo zawsze powtarzał mi ojciec. Słuchaj no, Rog. Czy mam rozumieć, że gdyby to od ciebie zależało, Quiroga wciąż byłby u, władzy? Powiedziałeś, że „wszystko diabli wzięli”.

- Pozwól mi wyjaśnić. Tak naprawdę chcieliśmy tylko zaproponować wotum zaufania i przegłosować je, tym samym doprowadzając do wyborów powszechnych... ale w odpowiednim czasie, kiedy uznamy, że jesteśmy w stanie je wygrać.

- Aha. A teraz nie wydaje ci się, że możecie wygrać? Uważasz, że Quiroga wróci na następne pięć lat? A jeśli nie on, to przynajmniej Partia Ludzkości?

Clifton zamyślił się.

- Nie, wydaje mi się, że mamy dość dużą szansę wygrać wybory.

- Co? Chyba jeszcze się nie obudziłem. Może nie chcesz wygrać?

- Jasne, że chcę. Ale nie widzisz, co nam narobiła ta rezygnacja?

- Chyba nie.

- No cóż, rząd będący u władzy może roz�isać wybory powszechne w dowolnym czasie w ciągu określonego konstytucyjnie okresu pięciu lat. Zazwyczaj rozpisują je wtedy, gdy odpowiada im czas i warunki. Nigdy jednak nie rezygnują pomiędzy zapowiedzią a samymi wyborami, o ile nie są do tego zmuszeni. Rozumiesz?

Dotarło do mnie, że rzeczywiście stało się coś dziwnego, choć polityka mało mnie obchodzi.

- Chyba tak.

- Rząd Quirogi zaplanował wybory, a potem podał się do dymisji w całości, pozostawiając Imperium bez rządu. Teraz władca musi wezwać kogoś innego, aby stworzył rząd tymczasowy, do momentu zakończenia wyborów. Zgodnie z prawem może poprosić o to każdego z członków Wielkiego Zgromadzenia, ale konstytucja nie pozwala mu na swobodny wybór. Kiedy rząd składa dymisję w całości, nie tylko tasuje teki, ale odchodzi jak jeden mąż, wówczas monarcha musi wezwać lidera opozycji, aby stworzył rząd „tymczasowy”. W naszym systemie to nieuniknione, bo nie można dopuścić, aby dymisja stała się posunięciem przetargowym. W przeszłości chwymano się wszelkich możliwych sposobów, tego również.

Rządy zmieniano częściej niż bieliznę. Dopiero nasz system zapewnia odpowiedzialność rządu.

Byłem tak zajęty próbami dostrzeżenia, do czego zmierza, że prawie nie dosłyszałem kolejnego zdania.

- Dlatego właśnie Imperator wezwał Bonforte'a do Nowej Batawii.

- Co? Nowa Batawia? Doskonale. - Pomyślałem, że nigdy wcześniej nie widziałem stolicy Imperium. Ten jeden raz, kiedy byłem na Księżycu, złośliwość losu, częsta w mojej profesji, zostawiła mnie bez grosza i nie mogłem sobie pozwolić na taką wycieczkę.

- To dlatego ruszyliśmy? Cóż, na pewno nie mam nic przeciwko temu. Podejrzewam, że znajdziecie sposób, żeby mnie wysłać do domu, jeśli nie wracamy od razu na Ziemię.

- Co? Wielkie nieba, nie zwracaj sobie teraz tym głowy. Kiedy przyjdzie czas, kapitan Broadbent znajdzie sto sposobów, żeby cię wysłać do domu.

- Przepraszam, zapomniałem, że teraz masz na głowie o wiele ważniejsze sprawy, Rog. Oczywiście, skoro już zrobiłem swoje, teraz spieszy mi się do domu. Jednak kilka dni, nawet miesiąc na Księżycu nie znaczy wiele. Nic mnie nie goni. Ale dziękuję, że przekazałeś mi te nowiny. - Przyjrzałem mu się dokładniej. - Wiesz co, Rog? Wyglądasz na piekielnie zmartwionego.

- Nie rozumiesz? Imperator wezwał pana Bonforte. Imperator, człowieku! A pan Bonforte nie jest w stanie pojawić się publicznie! Zaryzykowali gambit, a chyba dali nam mata!

- Zaraz, zaraz... chwileczkę. Powoli. Wiem, do czego zmierzasz, przyjacielu, nie jesteśmy w Nowej Batawii. Jesteśmy od niej o sto, może dwieście milionów mil, czy czego tam. Doc Capek na pewno zdąży go wyciągnąć, postawić na nogi i przygotować do wygłoszenia swojego kawałka. Nie mam racji?

- No cóż... mamy nadzieję.

- Ale nie jesteście pewni?

- Niestety, nie. Capek twierdzi, że na temat takich potężnych dawek nie ma wielu danych klinicznych. Zależy to głównie od indywidualnej chemii ciała i użytego narkotyku.

Nagle przypomniałem sobie, jak jakiś dupek podsunął mi przed samą sztuką silny środek przeczyszczający, a ja i tak wystąpiłem, co dowodzi, że umysł ma przewagę nad materią. Potem zresztą załatwiłem dowcipnisiowi wylanie na bruk.

- Rog... oni dali mu tę zbyt potężną dawkę narkotyku nie z czystego sadyzmu... Oni to wcześniej zaaranżowali.

- Też tak sędzę. Doktor Capek tak samo.

- Hej, w takim razie to znaczy, że Quiroga osobiście rmaczał palce w tym porwaniu... Z tego wynika, że Imperium rządzi gangster! Rog potrząsnął głową.

- Niekoniecznie. To nawet nieprawdopodobne. Ale pozwala sądzić, że te same siły, które kontrolują Aktywistów, sterują również maszyną Partii Ludzkości. Mimo to nigdy jednak nie uda się przypiąć im czegokolwiek. Są nieosiągalni, super szacowni. Mogli jednak podszeptać słówko Quirodze, że nadszedł już czas, aby przewrócić się na grzbiet i udawać martwego... i jeszcze kazać mu to zrobić. Prawie na pewno - dodał - nie powiedzieli mu ani słowa, dlaczego ten moment jest tak odpowiedni.

- Zbrodnia! Czy chcesz powiedzieć, że najważniejszy człowiek w Imperium po prostu zwinie chorągiewkę i sobie pójdzie, bo ktoś zza kulisy tak mu kazał?

- Obawiam się, że właśnie tak to wygląda. Potrząsnąłem głową.

- Polityka to brudna gra.

- Nie - z mocą odparł Clifton. - Nie ma czegoś takiego jak brudna gra. Quiroga to trzeciorzędny pionek i popychadło... Moim zdaniem popychadło tych bandytów. W Johnie Josephie Bonforte nie ma nic trzeciorzędnego, i nigdy, przenigdy nie był niczym popychadłem. Jako wyznawca, wierzył w sprawę, jako przywódca-przewodzi z przekonania.

- Przyjmuję naganę - odparłem z pokorą. - Wobec tego co robimy? Czy Dak ma się wlec tak, żeby „Tom Paine” znalazł się na Nowej Batawii dopiero wówczas, gdy Bonforte będzie w stanie podjąć swoje obowiązki?

- Nie możemy zwlekać. Nie możemy lecieć szybciej niż z jednym G, nikt nie będzie wymagał od człowieka w wieku Bonforte'a, aby nadweręzał niepotrzebnie swoje serce. Nie możemy jednak opóźniać lotu. Kiedy Imperator po ciebie posyła, przychodzisz i już.

- A potem co?

Rog spojrział na mnie bez słowa. Poczulem dziwny niepokój.

- Hej, Rog, nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego! To nie ma ze mną nic wspólnego. Ja skończyłem, jeśli nie liczyć kilku przypadkowych spacerów po statku. Brudna czy nie, polityka nie jest moją grą. Zapłaćcie mi tylko, a ja gwarantuję, że nawet nie zarejestruję się na liście wyborców.

- Prawdopodobnie nic nie będziesz musiał robić. Doktor Capek z całą pewnością doprowadzi go do odpowiedniego stanu. Ale i tak nie będzie to nic trudnego... Nie tak, jak ceremonia adopcji. To tylko audyencja u Imperatora i...

- U Imperatora!- prawie wrzasnąłem. Jak większość Amerykanów, nie rozumiałem władzy królewskiej, w głębi serca nie aprobowałem jej... a w ogóle czulem skryty lęk przed królami. Właściwie my, Amerykanie, weszliśmy tylnymi drzwiami. Kiedy zamieniliśmy

status członka stowarzyszonego na mocy traktatu na zalety pełnego udziału w sprawach Imperium, zostało wyraźnie powiedziane, że instytucje lokalne, nasza własna konstytucja i tak dalej, nie zostaną naruszone. Wyraziliśmy także milczącą zgodę na to, że nigdy żaden z członków rodziny królewskiej nie odwiedzi Ameryki. Może, gdybyśmy byli przyzwyczajeni do monarchii, nie czulibyśmy się tak przytłoczeni. W każdym razie jest pewne, że „demokratyczne” kobiety amerykańskie aż się palą, żeby je przedstawiono na dworze.

- Uspokój się - odparł Rog. - Prawdopodobnie wcale nie będziesz musiał robić czegokolwiek. Chcemy tylko, żebyś był przygotowany. Próbowałem ci jedynie powiedzieć, że cały ten rząd tymczasowy to żaden problem. No, ewentualnie, spotkasz się oficjalnie z królem Willemem, a może jeszcze pokażesz się na jednej czy dwóch konferencjach prasowych, zależnie od tego, jak długo potrwa, zanim Bonforte całkiem dojdzie do siebie. To, co już zrobiłeś, było o wiele trudniejsze... I zapłacimy ci, czy będziesz potrzebny, czy nie.

- Do cholery, pieniądze nie mają z tym nic wspólnego! To... No cóż, zacytuję słowa znanej postaci z historii teatru: „Liczcie na moją nieobecność!”.

Zanim Rog zdołał odpowiedzieć, do mojego pokoju wpadł jak bomba, bez pukania, Bill Corpsman. Spojrzał na nas i ostro rzucił w kierunku Cliftona:

- Powiedziałeś mu już?

- Tak- zgodził się Clifton. –Odrzucił propozycję.

- Co? To nonsens!

- To nie nonsens - odparłem. - A poza tym, Bill, te drzwi, przez które właśnie wszedłeś, mają mnóstwo miejsca do pukania. W naszej profesji mamy taki zwyczaj, że pukamy i pytamy: „Czy jesteś ubrany?”. Chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

- Co za pierdoły! Musimy się spieszyć. Co on gada za bzdury o twojej odmowie?

- To nie bzdury. Nie do takiej pracy się angażowałem.

- Idiota! Może jesteś za głupi, żeby sobie z tego zdawać sprawę, Smythe, ale siedzisz w tym za głęboko, żeby teraz się wycofać. To nie będzie zdrowe.

Podszedłem do niego i chwyciłem za ramię.

- Grozisz mi? Jeśli tak, może wyjdziemy na zewnątrz i pogadamy?

Strząsnął moją dłoń.

- Na statku kosmicznym? Naprawdę jesteś półgłówkiem, prawda? Nie przyszło ci do tej twojej pustej pały, że sam sobie to załatwiłeś?

- Co masz na myśli?

- On chce powiedzieć - odparł Clifton – iż jest przekonany, że upadek rządu Quirogi jest wynikiem twojego wcześniejszego przemówienia. Możliwe nawet, że ma rację. Nie ma to

jednak wielkiego znaczenia. Bill, postaraj się być uprzejmy, przynajmniej w granicach zdrowego rozsądku. Klóć się, do niczego nie dojdziemy.

Byłem tak zaskoczony tym pomysłem, iż to ja spowodowałem rezygnację Quirogi, że zapomniałem zupełnie o moim szczerym zamiarze policzenia zębów Corpsmana. Czy oni mówią poważnie? To było naprawdę świetne przemówienie, więc czy mogło przynieść taki skutek?

Cóż, jeśli tak, to wszystko potoczyło się cholernie szybko.

- Bill, czy mam przez to rozumieć, że masz do mnie żal, bo moje znakomite przemówienie co nieco pomieszało ci szyki? -zapytałem z wyraźnym zainteresowaniem.

- Co? Nie, do licha! To było gówniane wystąpienie.

- No to co? Nie możesz mieć wszystkiego naraz. Twierdzisz, iż ta gówniana mowa nagle zadziałała tak mocno, że wystraszyła Partię Ludzkości z ich biur? To właśnie chciałeś powiedzieć?

Corpsman spojrzał na mnie ze złością. Już miał coś na końcu języka, kiedy nagle zauważył, że Clifton stara się ukryć uśmiezek. Skrzywił się, znowu otworzył usta, ale wzruszył ramionami i mruknął.

- No dobrze, kogucie, dowiodłeś swego. Przemówienie nie mogło mieć nic wspólnego z upadkiem rządu Quirogi. Niemniej jednak mamy coś do zrobienia. No więc jak to jest z tym zadaniem, którego nie chcesz się podjąć?

Łypnąłem na niego okiem i udało mi się pohamować gniew. Widocznie nie wypadłem jeszcze z roli Bonforte'a. Udawanie spokojnego człowieka często sprawia, że aktor sam się uspokaja.

- Bill, znowu nie możesz mieć wszystkiego naraz. Sam bardzo wyraźnie stwierdziłeś, że uważasz mnie za najemnika. W związku z tym nie mam żadnych zobowiązań poza moim zadaniem, a to dobiegło końca. Nie możesz mnie nająć do kolejnej roboty, jeśli mi się nie podoba. A ta mi się nie podoba.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale mu przerwałem.

- To wszystko. A teraz proszę stąd wyjść. Nie jest pan tutaj mile widziany.

Wydawał się zaskoczony.

- Za kogo ty się, u licha, uważasz? Wydaje ci się, że możesz wszystkimi pomiatać?

- Za nikogo. Całkiem za nikogo, jak to raczyłeś już powiedzieć. Ale to jest moja prywatna kajuta, przypisana mi przez kapitana. A zatem wyjdź albo cię wyrzuca. Nie podobają mi się twoje maniery.

- Zmiataj, Bill - dodał cicho Clifton. - Mimo wszystko, to naprawdę jest jego prywatna

kajuta, przynajmniej na razie. Lepiej zatem wyjdź. - Rog zawahał się, a potem dodał: - Chyba obaj powinniśmy sobie stąd pójść. Tak do niczego nie dojdziemy. Czy możemy odejść... Szeffie?

- Oczywiście.

Przez kilkanaście długich minut siedziałem i rozmyślałem. Było mi przykro, że dałem się sprowokować Corpsmanowi do wymiany zdań, łagodnej, ale i tak poniżej mojej godności. Jeszcze raz dokładnie przemyślałem sobie wszystko, wejrzałem w siebie i upewniłem się, że osobiste różnice zdań z Corpsmanem nie wpłynęły na moją decyzję. Wiedziałem, co mam zrobić, zanim jeszcze się pojawił. Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zawołałem.

- Kapitan Broadbent.

- Chodź, Dak.

Wszedł, usiadł i przez kilka minut wydawał się bardzo zainteresowany wyciąganiem pinezek ze ściany. Wreszcie podniósł wzrok i zapytał:

- Czy zmienisz zdanie, jeśli zamknę mąciwodę w celi?

- Co? Masz celę na statku?

- Nie, ale bez trudu mogę wezwać kogoś, żeby mi ją podholował. Spojrzałem na niego uważnie, usiłując się zorientować, co się dzieje w tej jego kościstej łepetynie.

- Naprawdę zamknąłbyś Billa w celi, gdybym o to poprosił? Podniósł wzrok, zmarszczył jedną brew i uśmiechnął się smętnie.

- Nie. Człowiek nie staje się prawdziwym kapitanem, jeśli postępuje w ten sposób. Nie przyjąłbym takiego rozkazu nawet od niego - skinął głową w stronę pomieszczenia, w którym znajdował się Bonforte. - Człowiek sam musi podejmować pewne decyzje.

- To prawda.

- No właśnie. Muszę przyznać, że nabrałem do ciebie szacunku, staruszk. Kiedy cię pierwszy raz spotkałem, uważałem, że jesteś wieszakiem na kostiumy i małpisonem z pustą głową. Myliłem się.

- Dziękuję.

- Nie będę cię namawiał. Powiedz tylko: czy warto w ogóle zaczynać dyskusję? Przemyślałeś sobie wszystko dokładnie?

- Tak, podjąłem decyzję, Dak. To nie mój cyrk i nie moje małpy.

- No cóż, chyba masz rację. Przepraszam. Pozostaje nam tylko modlić się o to, żeby wyszedł z tego na czas. - Wstał. - Przy okazji, Penny chciała się z tobą widzieć, jeśli jeszcze nie kładziesz się spać.

Roześmiałem się radośnie.

- Tak „przy okazji”, co? Czy to właściwa kolejność? Nie uważasz, że teraz jest kolej doktora Capka, żeby mnie przydusić?

- Opuścił kolejkę. Jest zajęty z panem B. Przesyła ci jednak wiadomość.

- Tak?

- Powiedział, że możesz iść do diabła. Ubrał to w miłsze słowa, ale taki był ogólny sens.

- Naprawdę? Dobrze, powiedz mu, że będę trzymał dla niego miejsce przy ognisku.

- Czy Penny może tu przyjść?

- No pewnie! Powiedz jej tylko, że traci czas. Odpowiedź wciąż brzmi „nie”

No dobrze, zmieniłem zdanie. Do licha, dlaczego każdy argument wydaje się o wiele bardziej logiczny, jeśli się go poprze smużką „Zwierzęcej żądz”? Nie, to nie znaczy, że Penny użyła nieuczciwych metod... Nawet nie zaczęła popłakiwać, nawet nie dotknąłem jej palcem... ale zacząłem ustępować jej punkt po punkcie, a potem nie było już więcej punktów do ustępowania. Trudno, trzeba to powiedzieć wprost. Penny jest typem zbawicielki świata, a jej entuzjazm jest bardzo zaraźliwy.

Wkuwanie, jakie zaliczyłem w czasie podróży na Marsa, było niczym w porównaniu z tym, przez co przeszedłem w drodze na Nową Batawię. Miałem już opanowane podstawy, a teraz należało tylko wypełnić tło, przygotować się na to, aby być Bonforte'em w prawie każdych okolicznościach. O ile nastawiłem się głównie na królewską audiencję, musiałem też wziąć pod uwagę, że na Nowej Batawii spotkam setki, może tysiące ludzi. Rog planował, że będzie mnie wspierał w sposób, w jaki odbywa się to rutynowo w przypadku każdej osoby publicznej, jeśli ma ona spełnić swoje zadanie. Niemniej jednak musiałem widywać się z ludźmi. Postać publiczna to zawsze postać publiczna i nie da się tego obejść.

Taniec na linie, jaki miałem zamiar odstawić, był możliwy tylko dzięki aktom sporządzonym metodą Farleya, jakie przygotował Bonforte. Stwierdziłem, że to prawdopodobnie najlepsza dokumentacja tego typu, jaką kiedykolwiek stworzono. Farley był w dwudziestym wieku menedżerem politycznym, chyba prezydenta Eisenhowera, a metoda, jaką wymyślił, żeby poznać życie prywatne polityków, była równie rewolucyjna, jak niemiecki wynalazek dowództwa sztabowego dla wojskowości. Sam jednak nigdy nie słyszałem o tych aktach, dopóki Penny nie pokazała mi dzieła Bonforte'a.

Były to tylko akta różnych ludzi. Sztuka polityki to właśnie tylko ludzie. Dokumentacja zawierała wszystko, lub prawie wszystko, na temat tysięcy i tysięcy osób, jakie Bonforte poznał w ciągu swego długiego życia politycznego. Każda teczka kryła w sobie

wszelkie dane o nich, zdobyte w trakcie własnych, osobistych kontaktów. Wszystkie, bez różnicy, ważne czy nieważne... W zasadzie najbardziej banalne sprawy były na samym początku: imiona i przydomki żon, dzieci i zwierzątek, pasje, ulubione potrawy i napoje, uprzedzenia, dziwactwa. Po nich następowała lista miejsc i dat oraz komentarze na temat każdej okazji, przy jakiej Bonforte rozmawiał z danym człowiekiem.

Fotografie również dołączał, jeśli je miał. Czasem dodawał dane „przypisowe”, które sam wygrzebał, a nie dowiedział się o nich bezpośrednio. Zależało to od politycznej pozycji danej osoby. W niektórych przypadkach „przypisy” stanowiły całe biografie i liczyły się w tysiącach słów.

I Penny, i Bonforte nosili przy sobie minidyktafony, zasilane ciepłem ich ciał. Jeśli Bonforte był sam, przy każdej nadarzającej się okazji: w toalecie, w czasie jazdy i tak dalej, rejestrował na swoim wszystko, co mu przyszło do głowy. Jeśli towarzyszyła mu Penny, nagrywała wszystko na swoim dyktafonie, noszonym na przegubie ręki i udającym zegarek. Penny nie miała szans, aby stenografować czy mikrofilmować: tym zajmowały się dwie z dziewcząt Jimmiego Washingtona.

Penny, udostępniając mi te akta, pokazała mi najpierw ich objętość... Dużo tego było, nawet przy dziesięciu tysiącach słów przypadających na taśmę. Dopiero potem wyjaśniła, że są one zbiorem informacji o znajomych pana Bonforte'a. Krzęknałem (krzęknięcie to krzyk i jęk wydane jednocześnie w stanie emocji):

- Na litość boską, dziecko! Przecież tego nie da się zrobić! Jak ktokolwiek byłby w stanie to zapamiętać?

- Oczywiście, że nie może.

- Powiedziałas przed chwilą, że to wszystko, co on pamięta o swoich przyjaciółach i znajomych.

- Niezupełnie. Powiedziałam, że chciałby to wszystko pamiętać, ale ponieważ to niemożliwe, przygotował właśnie tę dokumentację. Nie martw się, nie musisz pamiętać wszystkiego. Chcę tylko, żebyś wiedział, że masz to pod ręką. Do mnie należy obowiązek dbania o to, aby pan Bonforte, zanim kogokolwiek przyjmie, najpierw przeczytał o nim wszelkie informacje. Jeśli będzie trzeba, mogę zapewnić ci taką samą usługę.

Spojrzałem na typowe akta, które mi wyświetliła na czytniku. Był to chyba jakiś pan Saunders z Pretorii w Afryce Południowej. Ma buldoga imieniem Wąchacz Rozrabiaka, kilka mało interesujących pociech i lubi plasterki limonki w swojej whisky and soda.

- Penny, czy chcesz przez to powiedzieć, że pan Bonforte udaje, że pamięta takie drobiazgi? To mi się wydaje nieco sztuczne.

Zamiast wściec się o to, że śmiałem podważyć autorytet jej ukochanego idola, Penny poważnie skinęła głową.

- Też mi się tak kiedyś wydawało. Ale nie patrzysz na to pod odpowiednim kątem, Szefie. Zapisujesz nieraz numer telefonu przyjaciela?

- Co? Tak, oczywiście.

- Czy to nieuczciwie? Czy przepraszasz przyjaciela za to, że nie lubisz go aż tak, żeby po prostu zapamiętać jego numer?

- Co takiego? W porządku, poddaję się, przekabaciłaś mnie.

- Są sprawy, które każdy chciałby pamiętać, gdyby miał pamięć absolutną. Ale ponieważ jej nie ma, nie widzi w tym nic wstydliwego, że je sobie notuje, tak, jak ty notujesz sobie w notesiku datę urodzin kolegi. Bo te akta są właśnie takim notesikiem, zawierającym dokładnie wszystko. Poza tym służą jeszcze jednemu celowi. Spotkałeś kiedyś kogoś naprawdę ważnego?

Próbowałem sobie przypomnieć. Penny nie miała naturalnie na myśli wielkich aktorów, chyba nawet nie wiedziała, że są tacy.

- Kiedyś poznałem prezydenta Warfielda. Miałem dziesięć albo jedenaście lat.

- Pamiętasz szczegóły?

- No pewnie. Powiedział do mnie: „W jaki sposób złamałeś sobie to ramię, synku?” a ja odpowiedziałem: „Na rowerze, sir”. Odparł wtedy: „Kiedyś przytrafiło mi się to samo, ale z obojczykiem”.

- Myślisz, że o tym pamięta, jeśli jeszcze żyje?

- Z pewnością nie.

- A jednak może... jeśli wprowadził cię do swoich akt farleyowskich. Zawierają one właśnie informacje o chłopcach i dziewczynkach w tym wieku, ponieważ oni dorastają i stają się mężczyznami i kobietami. Sprawa polega na tym, że takie osoby, jak prezydent Warfield, spotykają znacznie więcej ludzi, niż mogą zapamiętać. Każda z tych postaci bez twarzy pamięta swoje własne spotkanie ze sławnym człowiekiem i to bardzo szczegółowo. Jednakże w życiu każdego człowieka najważniejszą osobą jest on sam i polityk nie może o tym zapomnieć. Jest zatem dla niego ważne, aby był grzeczny, przyjacielski, otwarty i miał swój sposób na zapamiętanie drobiazgów o innych ludziach - drobiazgów, które oni na pewno będą pamiętać ze swojego punktu widzenia. To także jest polityka.

Poleciałem Penny, żeby wyświetliła akta króla Willema. Były dość krótkie, co z początku mnie przeraziło, dopóki nie doszedłem do wniosku, że Bonforte nie znał imperatora zbyt dobrze i spotkał się z nim tylko przy kilku oficjalnych okazjach, ponieważ stanowisko

premiera piastował po raz pierwszy jeszcze za życia imperatora Fredericka. W przypisach nie było biografii, tylko adnotacja „Patrz: Dom Orański”. Nie patrzyłem - nie miałem dość czasu, żeby przedzierać się przez kilka milionów stów na temat historii imperialnej i preimperialnej, a poza tym w szkole zawsze miałem piątki i szóstki z historii. O imperatorze chciałem wiedzieć tylko to, co wie o nim Bonforte, a czego nie wiedzą inni ludzie.

Przyszło mi do głowy, że dokumentacja musi zawierać informacje o wszystkich na statku, ponieważ byli oni znajomymi Bonforte'a. Poprosiłem o nie Penny. Trochę ją to zaskoczyło.

A potem to ja byłem zaskoczony. „Tom Paine” miał na swoim pokładzie sześciu członków Wielkiego Zgromadzenia. Rog Clifton i pan Bonforte, oczywiście. Ale pierwsze zdanie w teczce Daka brzmiało: „Broadbent, Darius K., Członek Wielkiego Zgromadzenia oraz Ligi Wolnych Podróżników, Okręg Górny”. Było tam też coś o doktoracie z fizyki. Ponadto został czempionem rezerwy w strzałach z pistoletu w czasie Igrzysk Imperialnych dziewięć lat temu i opublikował trzy tomiki wierszy pod pseudonimem literackim Acey Wheelwright. Postanowiłem, że już nigdy nie będę oceniał człowieka po jego wyglądzie zewnętrznym. Był tam również dopisek dokonany ręką Bonforte'a: „Kobiety łatwo ulegają jego urokowi - i vice versa!”.

Członkami Wielkiego Zgromadzenia byli również Penny i doktor Capek, nawet Jimmie Washington. Później zdałem sobie sprawę, że ten ostatni był reprezentantem Laponii, bez wątpienia razem ze świętym Mikołajem i jego wszystkimi reniferami. Był również członkiem bractwa Kościoła Ducha Świętego Prawdy Pierwszej Biblii, o którym nigdy nie słyszałem, ale który zapewne nie pozostał bez wpływu na świętoszkowaty wygląd Jimmiego.

Szczególłą przyjemność sprawiło mi czytanie o Penny. Szanowna panna Penelopa Taliaferro Russell była magistrem administracji rządowej z Georgetown i licencjatem Wellesley, co jakoś mnie wcale nie zdziwiło. Reprezentowała środowisko kobiet z wyższym wykształceniem; jak się później przekonałem, były one w większości członkiniami Partii Ekspansjonistów.

Poniżej podano rozmiar jej rękawiczek, inne wymiary, ulubione kolory (mógłbym powiedzieć to i owo na temat jej stroju), ulubione perfumy („Zwierzęca żądza”, oczywiście) oraz mnóstwo innych szczegółów, większość absolutnie nieistotnych. No, ale był i dopisek:

„Neurotycznie uczciwa - robi błędy w obliczeniach - szczyci się poczuciem humoru, którego nie ma - pilnuje diety, ale zapomina o Bożym świecie na widok kandyzowanych wiśni - niewielki kompleks matki uciśnionych - nie umie się oprzeć czytaniu jakiegokolwiek formy słowa drukowanego”.

Pod spodem był jeszcze jeden dopisek ręką Bonforte'a:

„Mam cię, Kudłaczku! Znowu wężysz?”

Zwracając akta Penny, zapytałem, czy przeczytała swoją dokumentację. Zasznurowała usta i kazała mi pilnować własnego nosa. Po chwili spłoszyła i przeprosiła mnie.

Większość czasu spędzałem na nauce, ale miałem również czas, aby dokładnie sprawdzić i skorygować podobieństwo fizyczne. Badałem kolorymetrem odcień podkładu, starannie modelowałem zmarszczki, dodałem dwa pieprzyki i utrwaliłem wszystko razem specjalnym, elektrycznym pędzelkiem. Oznaczało to, że zanim odzyskam własną twarz, będę musiał zderzyć z niej naskórek. To niewielka cena za makijaż, którego nie można potem uszkodzić ani rozmazać, na przykład serwetką. Dodałem nawet bliznę na „kulawej” nodze, korzystając z fotografii, którą doktor Capek przechowywał wśród notatek dotyczących historii leczenia Bonforte'a. Gdyby Bonforte miał żonę lub kochankę, ona także miałaby problemy z odróżnieniem, kto jest prawdziwy, a kto nie, tylko na podstawie wyglądu fizycznego. Były to drobne szczegóły, ale dzięki temu mogłem poświęcić się rozmyśleniom nad naprawdę niełatwą częścią mojego wcielenia.

Najtrudniejszą sprawą w ciągu całej podróży było przestawienie się na sposób myślenia i na przekonania Bonforte'a. W pewnym sensie stanowił uosobienie Partii Ekspansjonistów, został jej duchowym przywódcą i twórcą filozofii politycznej, a nie tylko najbardziej szanowanym liderem. Kiedy powstawała partia, ekspansjonizm nigdy nie był niczym więcej jak tylko ruchem społecznym wokół „Manifestu Przeznaczenia”. Organizacja stanowiła przypadkową koalicję luźnych grup, mających tylko jedną wspólną cechę: wiarę, że granice na niebie są najistotniejszą sprawą w wyłaniającej się przyszłości rasy ludzkiej. Bonforte dał partii racjonalny cel i etykę, podpowiedział, że wolność i równe prawa muszą iść ramię w ramię pod imperialnym sztandarem. Uważał - i często o tym mówił - że ludzkość nie może już nigdy popełnić takiego błędu, jaki biała subrasa popełniła w Azji i Afryce.

Niewiele o tym wszystkim wiedziałem, miałem więc poważne problemy ze zrozumieniem, dlaczego wczesna historia ekspansjonistów pod wieloma względami była podobna do obecnej Partii Ludzkości. Nie zdawałem sobie sprawy, że partie polityczne często zmieniają się bardzo w miarę dojrzewania, podobnie jak ludzie. Kołatało mi się w zakamarkach umysłu, że Partia Ludzkości zaczęła jako odłam ruchu ekspansjonistów, ale sami o tym nie pamiętali. W miarę jak zanikały partie polityczne, które popełniły ten błąd, że nie spoglądały w niebo, jedyna partia, która znajdowała się naprawdę na dobrej drodze, musiała podzielić się na dwie frakcje.

Wybiegam jednak zanadto do przodu - moja edukacja polityczna nie przebiegała w aż

tak logiczny sposób. Początkowo przyswajałem sobie jedynie treść publicznych wystąpień Bonforte'a.

Jasne, robiłem to już w drodze na Marsa, ale wtedy zastanawiałem się, jak przemawia, a teraz myślałem o tym, co mówi. Bonforte był oratorem w najlepszym znaczeniu tego słowa, natomiast w debacie potrafił być potwornie złośliwy. Przykładem może być jego przemówienie w Nowym Paryżu, w czasie dyskusji na temat traktatu z gniazdami marsjańskimi. Był to ten sam traktat, dzięki któremu utracił kiedyś urząd. Teraz go przepchnął, ale napięcie w koalicji było tak silne, że odmówiono mu wotum zaufania. Niemniej jednak Quiroga nie odważył się zakwestionować traktatu. Słuchałem tej mowy ze szczególnym zainteresowaniem, ponieważ sam niespecjalnie byłem zachwycony dokumentem. Sama myśl o tym, że Marsjanie powinni otrzymać na Ziemi takie same prawa, jak ludzie, była mi wstrętą - dopóki nie odwiedziłem gniazda Kkkaha.

- Mój oponent - mówił Bonforte nieco schrypniętym głosem - pozwala wam wierzyć, że motto tak zwanej Partii Ludzkości: „Rząd istot ludzkich przez istoty ludzkie i dla istot ludzkich”, to jedynie nieco zaktualizowane słowa nieśmiertelnego Lincolna. O ile jednak jego głos jest głosem wielkiego Abrahama, jego dłoń jest dłonią Ku Klux Klanu. Prawdziwe znaczenie tego niewinnie brzmiącego hasła to: „Rząd wszystkich ras w całym wszechświecie, przez istoty ludzkie i dla niewielkiej grupy uprzywilejowanych”.

Ale, protestuje mój oponent, Bóg dał nam mandat, abyśmy rozprzestrzeniali światłość na wszystkie gwiazdy, znacząc piętnem naszej własnej cywilizacji wszystkich dzikusów. To jest szkoła socjologii wujka Remusa: dobre czarnuchy śpiewają, a Ol'Massa kocha ich wszystkich, każdego po kolei! Piękny obraz, ale mocno zawężony. Nie pokazuje niewolniczych łańcuchów, pejczy poganiacza, baraków i nadzorców.

Stwierdziłem, że stają się jeśli nie ekspansjonistą, to przynajmniej Bonforte'em. Nie jestem pewien, czy przekonała mnie logika jego słów - właściwie nawet nie jestem pewien, czy słowa te były logiczne. Ale mój umysł nastawiony był na przyjmowanie. Chciałem zrozumieć wszystko, co mówi, tak dokładnie, żebym w razie potrzeby mógł to opowiedzieć własnymi słowami.

Był to jednak człowiek, który wiedział, czego chce, a co więcej wiedział, dlaczego. Wywarł na mnie wielkie wrażenie, bo zmusił do przyjrzenia się moim własnym przekonaniom. Jak ja do tej pory żyłem?

Wszystko obracało się wokół mojego zawodu, oczywiście! Zostałem w nim wychowany. Lubiłem go. Żywiłem głębokie, choć nieracjonalne przekonanie, że sztuka warta jest zachodu - a poza tym umiałem zarabiać na życie tylko w ten sposób. Ale co jeszcze?

Nigdy nie robiły na mnie wrażenia formalne szkoły etyki. Zakosztowałem ich - biblioteki publiczne są znakomitym miejscem rekreacji dla aktora, który jest bez grosza - ale stwierdziłem, że są równie ożywcze jak pocałunek teściowej. Filozof może udowodnić dokładnie wszystko, jeśli mu dać dużo czasu i papieru.

Taką samą pogardą darzyłem nauki moralne oferowane dzieciom. Większość z nich to bełkot, a to, co zachowało jakikolwiek sens, służy tak szlachetnym i wzniosłym celom, jak stwierdzenie, że dobre dziecko to takie, które nie przerywa mamusi drzemki, a dobry człowiek to taki, który dorabia się zasobnego konta w banku, nie dając się złapać. Nie, dziękuję.

Nawet pies ma swoje zasady. Jakie są moje? Jak się zachowuję, a raczej... jak mi się wydaje, że się zachowuję?

„Przedstawienie musi trwać”. Zawsze w to wierzyłem i byłem temu wiemy. Ale dlaczego przedstawienie ma trwać - zwłaszcza że niektóre z nich są naprawdę okropne? No cóż, dlatego, że podjąłeś się roli, że tam w dole siedzi publiczność, zapłacili za wstęp i teraz mają prawo dostać to, co możesz im zaoferować najlepszego. Jesteś im to winien. Jesteś również winien to pomocnikom na scenie, masażystce i producentowi oraz innym członkom zespołu. I tym, którzy cię nauczyli zawodu, i innym, sięgając w głąb historii do teatrów-aren i kamiennych siedzeń, a nawet do bazarzy opowiadających swoje historie na rynku. Noblesse oblige.

Uznałem, że stwierdzenie to można rozciągnąć praktycznie na każde zajęcie. Coś za coś. Budowanie ! Z kątownikiem i poziomicą". Przysięga Hipokratesa. Nie opuszcza się załogi. Uczciwa praca za uczciwą płacę. Takich rzeczy nie trzeba udowadniać - stanowią one esencją życia, prawdziwe przez całą wieczność, prawdziwe w najdalszych zakątkach galaktyki.

Nagle ujrzałem przeblysł tego, do czego zmierzał Bonforte. Jeśli istnieją podstawowe zasady etyki, transcendentne dla miejsca i czasu, wówczas obowiązują one zarówno ludzi, jak i Marsjan. Są prawdziwe na każdej planecie każdej gwiazdy... a jeśli rasa ludzka nie zachowa się zgodnie z tymi zasadami, nie podbije nawet gwiazd, to inna, mądrzejsza rasa zetrze ją w proch za nieuczciwość.

Ceną za ekspansję jest cnota. Zasada: „Nigdy nie dawaj frajerowi równej doli” jest filozofią zbyt wąską, aby wypełnić ogromne przestrzenie kosmosu.

Bonforte nie głosił słodyczy i światłości. „Nie jestem pacyfistą mówił. - Pacyfizm to doktryna uników, w ramach której człowiek przyjmuje wszelkie korzyści, płynące z przynależności do grupy społecznej, nie chcąc za nie płacić... i żąda aureoli za swą

nieuczciwość. Panie Mówco, życie należy do tych, którzy nie boją się go stracić. Ta decyzja musi przejść!" - I przeszedł na stronę zwolenników interwencji militarnej, której jego własna partia odmówiła poparcia.

Albo: „Bierzcie stronę! Zawsze bierzcie jakąś stronę! Czasem się pomylicie - ale człowiek, który nie chce opowiedzieć się po jakiejś stronie, zawsze się myli. Niech nas niebiosa bronią od niezdecydowanych, którzy boją się dokonać wyboru. Wstańmy i niech nas policzają!". Ten ostatni fragment wygłosił w wąskim gronie, ale Penny udało się nagrać go na dyktafonie i Bonforte zachował to. Miał wycucie historyczne, był strażnikiem wszelkich zapisów. Gdyby było inaczej, nad czym bym teraz pracował?

Stwierdziłem, że Bonforte jest moim typem człowieka. A przynajmniej typem człowieka, za jakiego lubiłem się uważać. Stał się osobą, której rolę mogłem zagrać z dumą.

Jak daleko sięgam pamięcią, nie zmrużyłem oka od czasu, gdy obiecałem Penny, że wystąpię przed Imperatorem, aż do samego kresu podróży, gdyby Bonforte nie wyzdrowiał. Chciałem spać - nie ma sensu wchodzić na scenę, kiedy pod oczami masz wory jak psie uszy - ale zainteresowało mnie to, co studiowałem, a na biurku Bonforte'a znalazłem przyzwoity zapas pigułek pobudzających. Zadziwiające, ile można się dowiedzieć, pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerw i z wszelką pomocą, jakiej mógłbyś zażądać.

Jednakże na krótko przed naszym przybyciem do Nowej Batawii, doktor Capek przyszedł i kazał mi odsłonić ramię.

- Po co? - zapytałem.

- Nie chcę, żebyś padł na twarz ze zmęczenia, kiedy się znajdziesz przed Imperatorem. Teraz będziesz spać do samego lądowania. Potem dostaniesz antidotum.

- Co? Mam rozumieć, że nie jesteście pewni, czy on będzie gotowy?

Capek nie odpowiedział, ale dał mi zastrzyk. Próbowałem dotrzeć do końca słuchanej właśnie wypowiedzi, ale zasnąłem w ciągu paru sekund. Następną rzeczą, jaką pamiętam, były pełne szacunku słowa Daka:

- Sir, proszę się zbudzić. Proszą, sir. Wylądowaliśmy na lądowisku Lippershey.

Nasz Księżyc jest planetą pozbawioną powietrza i żagwiowiec może na niej wylądować. Ale „Tom Paine” przystosowany jest głównie do stacjonowania w przestrzeni, odbywania przeglądów na stacjach kosmicznych na orbicie - dlatego musi lądować na łożu. Szkoda, że spałem i nie mogłem tego widzieć, bo opowiadają, że w porównaniu z takim

ładowaniem łapanie jajka na talerzu to łatwe zadanie. Dak jest jednym z pół tuzina pilotów, którzy potrafią tego dokonać.

Nie udało mi się jednak nawet zobaczyć „Toma” w jego łożu. Widziałem tylko harmonijkę tunelu dla pasażerów, który właśnie mocowano do śluzy powietrznej, i kolejką pasażerską do Nowej Batawii. Te kolejki są tak szybkie, że przy niskiej grawitacji na Księżycu, zanim się obejrzyysz, pośrodku podróży przechodzisz w stan nieważkości.

Najpierw udaliśmy się do apartamentów przypisanych liderowi lojalnej opozycji, oficjalnej rezydencji Bonforte'a zanim (jeśli w ogóle) powróci do władzy po nadchodzących wyborach. Ich wspaniałość kazała mi zastanawiać się, jak wygląda rezydencja premiera. Podejrzewam, że Nowa Batawia jest najbardziej pałacowym miastem w całej historii. Szkoda, że rzadko można ją oglądać z zewnątrz - ale tę niewielką wadę w pełni rekompensuje fakt, że jest to jedyne miasto w Systemie Słonecznym naprawdę niedostępne dla bomb jądrowych. Powinienem może powiedzieć „właściwie niedostępne”, ponieważ istnieje kilka konstrukcji powierzchniowych, które mogą ulec zniszczeniu. Apartament Bonforte'a obejmował salon na zboczu klifu, wychodzący na bąbel-balkon, rozgwieżdżone niebo i samą Matkę Ziemię, ale sypialnia i biura znajdowały się w litej skale, tysiąc stóp poniżej, dostępne jedynie dzięki prywatnej windzie.

Nie miałem czasu na zwiedzanie apartamentów, bo ubierano mnie na audiencję. Bonforte nie miał lokaja nawet na Ziemi, ale Rog nalegał, że mi pomoże (raczej przeszkadzał), jednocześnie uzgadniając ze mną ostatnie szczegóły. Ubranie było zwykłym formalnym dworskim strojem, składającym się z bezkształtnych czarnych szerokich spodni, śmiesznej, również czarnej marynarki z ogonem w kształcie pazura do wyjmowania gwoździ, koszuli, mającej sztywny napierśnik i skrzydlaty kołnierz, oraz białej muszki. Właściwie koszula powinna być dopinana kawałek po kawałku, a muszka zawiązana na tyle źle, żeby wyglądała na wiążaną ręcznie, ale ten fragment garderoby u Bonforte'a stanowił całość (może dlatego, że nie korzystał z usług garderobianego) wraz z muchą. Trudno jednak wymagać od gościa, żeby jednocześnie znał się na polityce i na strojach z epoki.

Sam strój był brzydki, ale stanowił ładne tło dla Orderu Wilhelminy, barwną wstęgą przecinającego moją pierś. Obejrzałem się w długim lustrze i efekt nawet mi się spodobał. Akcent kolorystyczny na tle czerni i bieli stanowił doskonały kontrast. Tradycyjny strój może sobie być brzydki, ale jest pełen dumy, niczym niewzruszona sztywność maitre d'hôtel. Uznałem, że wyglądam na osobę, która powinna spodobać się władcy.

Rog Clifton odczytał mi długi zwój, zawierający listę nazwisk osób nominowanych przeze mnie na stanowiska ministrów, i wetknął mi drukowaną jej kopię do wewnętrznej

kieszeni fraka. Oryginał, pisany ręcznie, został już wcześniej, to znaczy tuż po lądowaniu, złożony na ręce sekretarza stanu Imperatora. Teoretycznie celem audycji było poinformowanie mnie, że Imperator z przyjemnością sformuje dla mnie rząd, jak również przedstawienie przede mną moich skromnych sugestii co do jego obsady. Moje nominacje miały być tajne, dopóki władca łaskawie ich nie zaaprobuje.

W istocie wybór już dawno został dokonany. Rog i Bill spędzili większość podróży na formowaniu gabinetu i upewnianiu się, za pomocą kosmicznego kodu, że nominowani przyjmą teki. Przeczytałem dokładnie akta na temat każdego nominowanego i ewentualnej postaci alternatywnej, ale lista była tajna w tym sensie, że prasa miała ją dostać dopiero po zatwierdzeniu przez Imperatora.

Wziąłem zwój i buławę życia. Rog spojrzał ze zgrozą.

- Na litość boską, człowieku, nie możesz nosić tego w obliczu Imperatora!

- A dlaczego nie?

- Przecież to broń!

- To broń ceremonialna, Rog. Każdy książe i każdy pieprzony baronet nosi dworską szpadę. A ja wezmę to. Potrząsnął głową.

- Oni muszą. Nie rozumiesz starożytnej teorii prawniczej, jaka się za tym kryje? Ich szpady symbolizują obowiązek, jaki mają wobec swego suzerena, by wspierać go i bronić orężem i własną osobą. Ty jednak, jako wezwany przed oblicze, możesz stawić się jedynie nieuzbrojony.

- Nie, Rog. Oczywiście, zrobię, co mi każesz, ale przeoczyłeś wspaniałą szansę... może jedyną, aby złapać wiatr w żagle. To dobry teatr, to prawdziwy teatr.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- No to słuchaj. Czy Marsjanie dowiedzą się o tym, że dziś na audycji miałem przy sobie buławę? Mówię o wewnętrznych gniazdach, oczywiście.

- Co? Myślę, że tak. Na pewno.

- Oczywiście. Śmiem twierdzić, że każde gniazdo ma swój odbiornik stereowizji. Przynajmniej w gnieździe Kkkaha zauważyłem ich mnóstwo. Słuchają nowin z Imperium tak samo uważnie, jak my. Mam rację?

- Tak, przynajmniej starsi.

- Jeśli będę miał buławę, będą o tym wiedzieli. Jeśli jej nie będę miał, też się o tym dowiedzą. To ma dla nich znaczenie, związane z poczuciem przyzwoitości. Żaden dorosły Marsjanin nie pojawi się poza gniazdem bez swojej buławy życia, a nawet wewnątrz, jeśli okazja jest uroczysta. Marsjanie już wcześniej stawali przed Imperatorem... Mieli ze sobą

buławy, prawda? Mogę ręczyć głową.

- Tak, ale ty...

- Zapominasz, że jestem Marsjaninem. Twarz Roga nagle straciła wszelki wyraz.

- Nie tylko jestem Johnem Josephem Bonforte - ciągnąłem. -Jestem również Kkkahjijent z gniazda Kkkah. Jeśli nie będę miał buławy, popełnię poważne wykroczenie przeciwko przyzwoitości... i nie wiem, doprawdy, jak to się skończy, jeśli sprawa się rozniesie. Nie znam na tyle zwyczajów Marsjan. A teraz spójrz na to z innego punktu widzenia. Idę sobie wzdłuż nawy, niosąc tę buławę. Jestem obywatelem marsjańskim, który wkrótce ma zostać mianowany premierem Jego Imperialnej Wysokości. Jak to wpłynie na gniazda?

- Chyba tego dokładnie nie przemyślałem - przyznał Rog po chwili namysłu.

- Ja też bym na to nie wpadł, gdybym nie musiał zdecydować, czy mam wziąć buławę, czy nie. Nie sądzisz jednak, że Pan Bonforte dobrze tą sprawę przemyślał... zanim jeszcze zdecydował, że pozwoli się zaprosić do adopcji? Rog, trzymamy tygrysa za ogon. Możemy jedynie wskoczyć mu na grzbiet i ujeździć. Nie mamy szans się wycofać.

W tym momencie zjawił się Dak i zgodził się z moją opinią. Był chyba nawet zdumiony, że Clifton spodziewał się czegoś innego.

- Oczywiście, ustanawiamy nowy precedens, Rog... Ale wprowadzimy ich więcej, zanim skończymy.

Dopiero kiedy zobaczył, jak noszę buławę, wrzasnął:

- Człowieku! Chcesz nas tu pozabijać? A może tylko wyciąć dziurę w ścianie?

- Nie przycisnąłem guzika.

- Dzięki Bogu za drobne błogosławieństwa! Nie włączyłeś nawet zabezpieczenia. - Bardzo skwapliwie wziął ode mnie buławę i powiedział. - Patrz. Przekręcasz ten pierścień i wciskasz go w szczelinę. Teraz to zwykły patyk. Siup!

- Och, przepraszam.

Zaprowadzili mnie do antyszambrów pałacu, gdzie zostałem przekazany w ręce koniuszego króla Willema, pułkownika Pateela, przystojnego Hindusa o doskonałych manierach, odzianego w olśniewający uniform imperialnych sił kosmicznych. Ukłon, jaki mi złożył, musiał być wyliczony na suwaku logarytmicznym: sugerował, że mogę zostać premierem, ale jeszcze nim nie zostałem, że jestem starszy od niego, ale jednocześnie pozostaję cywilem - i minus pięć stopni za to, że nosił na prawym ramieniu iglicę Imperatora.

Objął wzrokiem buławę i rzekł niewinnie:

- Czy to nie marsjańska buława, sir? Interesujące. Przypuszczam, że zechce ją pan tu

zostawić. Będzie tu całkowicie bezpieczna.

- Biorę ją – odparłem.

- Sir? - Brwi podskoczyły mu w górę i wyraźnie czekał, że poprawię swą oczywistą pomyłkę.

Sięgnąłem do zasobu powiedzonek Bonforte'a i wybrałem to, którego używa, aby zganić bufonadę.

- Synu, co powiesz na to, żeby zająć się swoimi sprawami, a ja zajmę się swoimi.

Twarz Hindusa straciła cały wyraz.

- Doskonale, sir. Proszę udać się za mną.

Zatrzymaliśmy się przy wejściu do sali tronowej, skąd widać było pusty tron na podwyższeniu. Po obu stronach, przez całą długość ogromnej jaskini stali w oczekiwaniu szlachta i dworzanie. Podejrzewam, że Pateel przekazał im jakiś znak, bo rozległ się hymn imperialny i wszyscy jak jeden mąż stanęli na baczność; Pateel sztywny jak robot, ja lekko pochylony, jak przystoi przepracowanemu człowiekowi w średnim wieku, który musi stanąć na baczność, bo musi, a reszta dworu niczym manekiny na wystawie. Mam nadzieję, że nigdy tak naprawdę nie rozstaniemy się z dworzanami - te wspaniałe stroje i dumni halabardnicy tworzą doprawdy imponujący widok.

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty hymnu, wyłonił się zza zasłony i zajął miejsce na tronie on - Willem, Książę Orański, Diuk Nassau, Wielki Książę Luksemburga, Rycerz na czele Świętego Imperium Rzymskiego, Admirał-Generał Sił Imperialnych, Doradca Gniazd Marsjańskich, obrońca Ubogich i, z łaski Bożej, Król Lowlands i Imperator Wszech Planet oraz Przestrzeni Między Nimi.

Nie mogłem widzieć jego twarzy, ale sam symbolizm wywołał we mnie nagły przyływ ciepła i współczucia. Nie czułem już wrogości w stosunku do monarchii.

Król Willem usiadł i hymn dobiegł końca. Skinął głową, odbierając pozdrowienie i fala lekkiego odprężenia przemknął przez tłum dworaków. Pateel wycofał się, a ja, z buławą wetkniętą pod ramię, ruszyłem w długą drogę, kulejąc trochę pomimo niskiej grawitacji. Czułem się prawie tak samo, jak wtedy gdy szedłem w stronę Wewnętrznego Gniazda Kkkah, ale tym razem się nie bałem. Czułem tylko ciepło i lekkie łaskotanie. Imperialny tłum ruszył za mną, a muzyka zmieniała się od Króla Chrześcijan poprzez Marsylianę aż po Gwieździsty Sztandar i całą resztę.

Przy pierwszej linii zatrzymałem się skłoniłem, to samo przy drugiej, wreszcie złożyłem ostatni głęboki ukłon przy trzeciej, tuż przed stopniami. Nie ukląknę. Szlachta musi klękać, ale plebs dzieli władzę z władcą. W stereowizji i w teatrze nieraz widać, że ten

szczegół jest błędnie wyreżyserowany i Rog upewnił się, że będę wiedział, co robić.

- Ave Imperator! - Gdybym był Holendrem, powiedziałbym też Rex, ale jestem Amerykaninem. Przez chwilę przerzucaliśmy się szkolną łaciną w tę i z powrotem, on pytał, czego chcę, ja mu przypomniałem, że przecież to on mnie wezwał, i tak dalej. Potem przeszedł na anglo-amerykański z lekkim bliskowschodnim akcentem.

- Dobrze służyłeś naszemu ojcu. Myślimy teraz, że możesz służyć i nam. Jaka jest twoja odpowiedź?

- Życzenie mojego władcy jest moją wolą, Wasza wysokość.

- Podejdź do nas.

Może trochę przesadziłem, ale stopnie na podwyższenie są tak wysokie, a noga bolała mnie naprawdę - ból psychosomatyczny jest równie parszywy, jak każdy inny. Omal się nie potknąłem - i Willem zerwał się z tronu jak strzała, żeby mnie podtrzymać za ramię. Usłyszałem, jak po sali tronowej rozchodzi się westchnienie. Uśmiechnął się do mnie i rzekł sotto voce:

- Spokojnie, przyjacielu. Skrócimy to do minimum.

Pomógł mi dojść do stołka przed tronem i zmusił mnie, abym usiadł na krótką, niezręczną chwilę wcześniej, zanim sam spoczął na tronie. Potem wyciągnął dłoń po zwój, a ja mu go podałem. Rozwinął go i udawał, że czyta.

Wokoło brzmiała teraz muzyka kameralna i dwór udawał, że się świetnie bawi. Panie się śmiały, szlachetni panowie wymieniali się uprzejmościami, wachlarze fruwały. Nikt nie oddalał się za bardzo od swojego miejsca, ale nikt też nie stał. Mali paziowie, podobni do cherubinów Michała Anioła, kręcili się pomiędzy dworzanami, oferując im słodczyce na tacach. Jeden ukląkł przed Willemem i ten poczęstował się, nie odrywając oczu od nieistniejącej listy. Dzieciak podsunął tacę również mnie i wziąłem cukierek, nie wiedząc, czy to właściwe, czy nie. Była to jedna z tych niezrównanych, cudownych czekoladek, jakie robią tylko w Holandii.

Stwierdziłem, że poznaję kilku dworzan ze zdjęć. Była tu większość bezrobotnej królewskiej krwi z Ziemi, ukryta pod tytułami książąt i hrabiów. Niektórzy opowiadali, że Willem trzyma ich tylko po to, aby uświetnić swój dwór, inni twierdzili, że woli ich mieć na oku i trzymać z dala od polityki oraz innych cwaniactw. Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Dostrzegłem również sporo szlachty z tuzina różnych nacji, a niektórzy z nich naprawdę zarabiali tu na życie.

Stwierdziłem, że próbuję odnaleźć w tłumie habsburskie wargi i windsorskie nosy.

Wreszcie Willem odłożył zwój. Muzyka i konwersacje ucichły natychmiast.

- Zaproponowałeś znakomitą kompanię - rzekł w martwej ciszy. - Zamierzamy ją zaakceptować.

- Wasza wysokość jest niezmiernie łaskaw.

- Rozważymy to i udzielimy ci odpowiedzi. - Pochylił się i cicho dodał tylko do mnie:

- Ani mi się waż schodzić po tych cholernych stopniach. Tylko wstań. Zaraz wychodzę.

- Och, dziękuję, sir szepnąłem w odpowiedzi.

Wstał, ja również pospiesznie zerwałem się na nogi. Wtedy znikł z furkotem szat. Spojrzałem za siebie i spostrzegłem kilka zdumionych spojrzeń, ale muzyka zagrała znowu i mogłem się oddalić, podczas gdy szlachetni panowie i królewscy adiutanci zajęli się znowu uprzejmą konwersacją.

Gdy tylko znalazłem się za amfiladą, u mojego łokcia objawił się Pateel.

- Tędy, sir, jeśli można.

Dworskie manewry dobiegły końca, przyszedł czas na prawdziwą audiencję.

Przeprowadził mnie przez małe drzwiczki, wzdłuż pustego korytarza, drugie małe drzwiczki, wreszcie do całkiem zwyczajnego biura. Jedynym królewskim akcentem był rzeźbiony plafon, na którym widniała tarcza Domu Orańskiego z nieśmiertelnym mottem „Podtrzymuję!”. Było tam ogromne, płaskie biurko zarzucone papierami, pośrodku którego, utrzymywany w miejscu przez parę metalowych bucików dziecięcych, leżał oryginał drukowanej listy z mojej kieszeni. W miedzianej ramce widniała rodzinna fotografia świętej pamięci Imperatorowej w otoczeniu dzieci. Pod jedną ze ścian stała nieco podniszczona kanapa, a za nią znajdował się niewielki barek. Przy biurku stało obrotowe krzesło i dwa fotele. Inne meble mogły równie dobrze stanowić wyposażenie gabinetu niezbyt wymagającego lekarza rodzinnego.

Pateel pozostawił mnie samego, zamykając za sobą drzwi. Nie miałem czasu zastanawiać się, czy wypada mi usiąść, czy nie, ponieważ Imperator wszedł prawie natychmiast przez drzwi naprzeciw.

- Witaj, Josephie! - zawołał - Zaraz do ciebie wrócę.

Przeszedł przez pokój, a dwaj słudzy deptali mu po piętach i rozbierali go w biegu. Wyszedł przez trzecie drzwi i niemal od razu wrócił, zasuwając zamek dresu.

- Poszedłeś na skróty, a ja musiałem iść dookoła. Muszę powiedzieć inżynierowi pałacowemu, żeby zaprojektował jeszcze jeden tunel od tylnej części sali tronowej, niech mnie diabli, jeśli tego nie zrobię. Mam do wyboru, albo obchodzić dookoła trzy boki prostokąta, albo maszerować przez prawie publicznie dostępny korytarz w stroju konia

cyrkowego. -I dodał w zadumie: -Nigdy nie noszę pod tymi idiotyzmami nic oprócz bielizny.

- Wątpią, czy są aż tak niewygodne, jak ta małpia liberia, którą mam na sobie, sir - odparłem. Wzruszył ramionami.

- No, dobrze, każdy z nas musi sobie jakoś radzić z niewygodami własnego zawodu. Nie przygotowałeś sobie nic do picia? -Wziął do ręki listę nominacji do gabinetu. -I zrób coś również dla mnie.

- Czego się pan napije, sir?

- Co? - podniósł głowę i ostro zmierzył mnie wzrokiem. - Jak zwykle, szkocka z lodem, oczywiście.

W milczeniu nalałem, do swojego drinka dodając wody. Nagle przebiegł mnie dreszcz: jeśli Bonforte wiedział, że Imperator zawsze pije szkocką z kostkami lodu, powinno się to znaleźć w aktach, a nie znalazło się.

Willem wziął jednak drinka bez słowa, mruknął:

- Ostrego odrzutu! - i znów zaczął przeglądać listę. Wreszcie podniósł głowę i zapytał: - Co powiesz o tych chłopcach, Joseph?

- Sir? To oczywiście tylko propozycja. - Tam, gdzie to było możliwe, połączyliśmy resorty i Bonforte mógł wziąć oprócz teki premiera również Ministerstwo Skarbu i Obrony. W trzech przypadkach daliśmy tymczasowe propozycje dla wiceministrów: Badań, Zarządzania Populacją i Spraw Zewnętrznych. Ludzie, którzy otrzymają teki w realnym rządzie, byli nam teraz potrzebni przy kampanii.

- Taak, tak. Tu jest druga grupa. Mmmm... co z tym Braunem?

Byłem mocno zdumiony, spodziewałem się, że Willem zatwierdzi listę bez komentarzy, ale niewykluczone, że zechce pogadać o innych sprawach. Nie obawiałem się rozmów, człowiek może mieć reputację doskonałego rozmówcy po prostu pozwalając mówić drugiej osobie.

Lothar Braun był osobą, którą określa się mianem „dobrze zapowiadającego się młodego polityka”. Wszystko, co o nim wiedziałem, pochodziło z akt oraz od Roga i Billa. Pojawił się po upadku Bonforte'a i dlatego nigdy nie piastował żadnej teki, ale w pewnych kręgach miał swoje zasługi. Bill upierał się, że Bonforte zamierzał szybko go promować i pozwolić mu rozwijać skrzydła w rządzie tymczasowym. Zaproponował go na ministra Komunikacji Zewnętrznej.

Rog Cliflon wydawał się niezdecydowany, najpierw wstawił tam nazwisko Angela Jesusa de la Torrey Perez, zawodowego ministra niższego rangą, ale Bill zauważył, że jeśli Braunowi może powinąć się noga, łatwo to będzie zauważyć teraz i to niewielkim kosztem.

Clifton się poddał.

- Braun? - odpowiedziałem. - Wybijający się młody człowiek. Bardzo inteligentny.

Willem nie skomentował, nadal przyglądał się liście. Usiłowałem sobie dokładniej przypomnieć, co Bonforte mówił o Braunie w jego aktach. Inteligentny... ciężko pracuje... analityczny umysł. Miał coś przeciwko niemu? Nie... chyba, żeby... „może trochę zbyt ugrzeczniony”. To jeszcze nie przekreśla człowieka. Nie wspomniał jednak o tak istotnych cnotach jak lojalność i uczciwość. Mogło to nic nie znaczyć, akta stanowiły jedynie zbiór danych, a nie studium charakterów.

Imperator odłożył listę.

- Josephie, czy zamierzasz od razu wprowadzić gniazda Marsjan do Imperium?

- Proszę? Nie, na pewno nie przed wyborami, sir.

- Daj spokój, wiesz, że mówię o okresie po wyborach. I zapomniałeś już, jak się mówi „Willem”. „Sir” słyszane od człowieka o sześć lat starszego ode mnie jest w tych warunkach wręcz śmieszne.

- Doskonale, Willemie.

- Obaj wiemy, że powinienem lekceważyć polityków. Wiemy też jednak, że założenie jest głupie. Josephie, spędziłeś wiele lat na przygotowywaniu sytuacji, w której gniazda zechciałyby same w całości wejść do Imperium - wskazał kciukiem na moją buławę. -i chyba ci się to udało. Jeśli teraz wygrasz wybory, będziesz mógł doprowadzić do tego, aby Wielkie Zgromadzenie pozwoliło mi to ogłosić. No i co?

Przez chwilę rozmyślałem o jego słowach.

- Willemie - powiedziałem powoli. - Wiesz, że właśnie to planowaliśmy. Musisz mieć jakiś powód, żeby podjąć ten temat.

Zakręcił drinkiem w szklance i wlepił we mnie wzrok. Udało mu się przybrać wygląd sklepikarza z Nowej Anglii, który zamierza właśnie wyrzucić sezonowego najemnika.

- Pytasz mnie o radę? Konstytucja wymaga, abyś to ty radził mnie, a nie na odwrót.

- Chętnie przyjmę twoją radę, Willemie, ale nie mogę ci obiecać, że z niej z skorzystam. Roześmiał się.

- Ty w ogóle mało co obiecujesz. Dobrze, przyjmijmy, że wygrasz wybory i obejmiesz z powrotem urząd, ale większością tak niewielką, że będziesz miał problemy z przegłosowaniem pełnego obywatelstwa dla gniazd. W takim przypadku radzę ci nie robić z tego problemu. Jeśli przegrasz, przyjmij baty i pozostań na urzędzie; i to przez całą kadencję.

- Dlaczego, Willemie?

- Ponieważ obaj jesteście cierpliwi. Widzisz to? - wskazał na tarczę herbową. -

„Podtrzymuję!”. Nie jest to zasada, która robi wrażenie, ale przecież nie na tym polega zadanie króla, żeby robić wrażenie. On ma zachowywać tradycje, ale prowadzić, iść za ciosem. Ujmując rzecz konstytucyjnie, nie powinno mnie obchodzić, czy pozostaniesz na stanowisku, czy nie. Ma jednak dla mnie znaczenie, czy Imperium się trzyma, czy rozlatuje. Myślę, że jeśli nie uda ci się przeforsować sprawy marsjańskiej zaraz po wyborach, możesz sobie pozwolić na czekanie... Inne twoje pomysły mogą przynieść ci popularność. Będziesz zbierać głosy w wyborach dodatkowych, aż wreszcie przyjdiesz do mnie i powiesz, że mogę do listy tytułów dołączyć „Imperatora Marsa”. Nie spiesz się zatem.

- Pomyślę o tym - odparłem ostrożnie.

- Zrób to. A teraz, co z systemem zesłańców?

- Obalimy go zaraz po wyborach, a już teraz zawiesimy. - To mogłem powiedzieć na pewno. Bonforte nienawidził tego systemu.

- Miło mi słyszeć, że wciąż jeszcze zachowałeś siłę swoich przekonań, Josephie. Nigdy nie lubiłem oglądać flagi orańskiej na statku niewolniczym. Wolny handel?

- Po wyborach, owszem.

- A z czego będziemy czerpać zyski?

- Przewidujemy, iż handel i produkcja rozwiną się w takim stopniu, że inne zyski zrekompensują utratę ceł.

- A jeśli się tak nie stanie?

Nikt nie podsunął mi alternatywnej odpowiedzi na to właśnie pytanie... a ekonomia jest dla mnie jedną wielką tajemnicą. Uśmiechnąłem się.

- Willemie, będę musiał pamiętać o tym pytaniu, ale cały program Partii Ekspansjonistów jest oparty na przeświadczeniu, że wolny handel, wolne podróże, wspólne obywatelstwo, waluta i minimum praw i ograniczeń imperialnych z pewnością okażą się dobre nie tylko dla obywateli Imperium, ale i dla niego samego. Jeśli będziemy potrzebować pieniędzy, znajdziemy je, ale nie dzieląc Imperium na kolejne księstwka.

Sam Bonforte lepiej by tego nie powiedział.

- Daruj sobie przemówienia wyborcze - burknął. - Tylko pytałem.

Znów sięgnął po listę.

- Jesteś pewien, że tak właśnie chcesz, żeby to wyglądało?

Wyciągnąłem rękę po listę. Podał mi ją. Cholera, czułem wyraźnie, że Imperator próbuje mi powiedzieć, i to tak dosadnie, jak na to pozwala konstytucja, że Braun to niedobry wybór. Ale, na wszystkie piekielne fabryki antracytu, jak mogę zmieniać listę, którą przygotowali Rog i Bill?

Z drugiej strony, to nie była lista Bonforte'a. Oni tylko myśleli, że Bonforte tak by ją ułożył, gdyby był *compos mentis*.

Nagle zapragnąłem mieć choć trochę czasu i skonsultować się z Penny w sprawie Brauna.

A potem sięgnąłem po pióro, leżące na biurku Willema, skreśliłem „Braun” i napisałem dużymi literami „De la Torre”. Wciąż nie czułem się pewnie, naśladowując charakter pisma Bonforte'a.

Imperator powiedział tylko.

- Tak, to chyba dobry pomysł. Życzę ci szczęścia, Josephie. Będziesz go potrzebował.

Na tym zakończyła się sama audyencja. Bardzo chciałem już odejść, ale nie wypada tak po prostu wyjść w obecności króla. Ten jeden monarszy przywilej zachowali do dziś. A król chciał mi pokazać swoje nowe modele pociągów. Myślę, że zrobił więcej, aby wskrzesić to dawne hobby, niż ktokolwiek inny. Osobiście nie uważam tego za właściwe zajęcie dla dorosłego mężczyzny, ale wydawałem uprzejme dźwięki, kiedy pokazywał mi nową lokomotywę, przeznaczoną do „Royal Scotsman”.

- Gdybym miał jakieś wolne chwile - mówił, klękając, aby zajrzeć we wnętrze silnika zabawki - mógłbym być dobrym intendentem w warsztacie, a nawet, kto wie... mistrzem maszynistów. Niestety, wypadek przy urodzinach zniszczył moją karierę.

- Naprawdę sądzisz, że by ci się to podobało, Willemie?

- Sam nie wiem. Mój zawód nie jest taki zły, płaca dobra... ubezpieczenie społeczne pierwszorzędne... Jeśli odrzucimy możliwość rewolucji z zewnątrz, a mój ród zawsze miał szczęście w tej dziedzinie... Sama praca jest jednak nudnawa i mógłby ją wykonywać jakiś drugorzędny aktor - podniósł na mnie wzrok. - Zwalniam twój urząd z wielu tak nudziarskich zadań, jak kładzenie kamieni węgielnych i obserwowanie parad, wiesz o tym.

- Wiem i doceniam.

- Raz na jakiś czas staram się lekko pchnąć coś we właściwym kierunku... a raczej w kierunku, który uważam za właściwy. Królowanie to bardzo dziwny zawód, Josephie. Nawet go nie próbuj.

- Myślę, że na to i tak już jest za późno, nawet, gdybym chciał. Dokonał jakiejś niewielkiej naprawy w zabawce.

- Moim prawdziwym zadaniem jest chronienie cię przed szaleństwem.

- Jak to?

- Oczywiście. Psychoza jest chorobą zawodową wszystkich głów państwa. Moi przodkowie, ci, którzy królowali naprawdę, wszyscy byli nieco stuknięci. A spójrz na twoich

amerykańskich prezydentów: praca dość często zabijała ich w kwiecie wieku. Ale ja nie muszę niczym rządzić. Mam fachowca, takiego jak ty, który robi to za mnie. Nad tobą też nie wisi groźba morderstwa, bo ty i tobie podobni możecie zawsze zrezygnować, jeśli sprawy zajdą za daleko w złym kierunku... A stary imperator... Ten prawie zawsze jest stary, bo zwykle wstępujemy na tron w wieku, w którym inni ludzie idą na emeryturę... więc imperator jest zawsze na miejscu, utrzymując ciągłość, zachowując symbol stanu, wy zaś, zawodowcy, opracowujecie nowe przymierza - zamrugał poważnie powiekami. - Mój zawód może nie jest imponujący, ale z pewnością użyteczny.

Dał mi wreszcie spokój z tymi dziecinnymi pociągami i wróciliśmy do gabinetu. Już myślałem, że zostanę odprawiony. Właściwie powiedział nawet:

- Powinienem pozwolić ci stąd odejść. Ciężką miałeś podróż?
- Nie bardzo. Spędziłem ją przy pracy.
- Tak właśnie mi się zdawało. A tak przy okazji: kim jesteś?

Dotknięcie dłoni policjanta na ramieniu, wstrząs, kiedy stwierdzasz, że górny stopień nie istnieje, upadek z łóżka, nieoczekiwany powrót męża kochanki do domu... Wybrałbym dowolną kombinację tych wrażeń, żeby nie usłyszeć pytania, które właśnie padło. Postarzałem się wewnątrz tak, że pasowałem teraz do mojego wyglądu, a nawet bardziej.

- Sir?

- Daj spokój - rzucił niecierpliwie. - Moja praca chyba daje jakieś przywileje. Powiedz mi tylko całą prawdę. Od co najmniej godziny wiem, że nie jesteś Josephem Bonforte'em, choć nabrałbyś pewnie jego własną matkę. Jesteś nawet tak samo zmanierowany. Ale kimże jesteś?

- Nazywam się Lawrence Smith, Wasza wysokość – odrzekłem omdlewającym głosem.

- Weź się w garść, człowieku! Mogłem wezwać strażę już dawno temu, gdybym miał zamiar to zrobić. Przysłali cię, żebyś mnie zamordował?

- Nie, sir... Jestem... lojalny wobec Waszej wysokości.

- Masz dziwny sposób demonstrowania tego. No cóż, nalej sobie drugiego drinka, siadaj i opowiedz mi wszystko.

Opowiedziałem, z najdrobniejszymi detalami. Zajęło mi to więcej czasu niż jeden drink, i od razu poczułem się lepiej. Wydawał się wściekły, kiedy mówiłem o porwaniu, ale kiedy zdałem mu sprawę z tego, co uczynili z umysłem Bonforte' a, twarz Imperatora pociemniała od Jowiszowego gniewu.

Wreszcie odezwał się cicho:

- Czy to znaczy, że jego powrót do zdrowia jest kwestią dni?

- Tak twierdzi doktor Capek.

- Niech nie wraca do pracy, dopóki całkiem nie wydobrzeje. To cenny człowiek. Zresztą ty o tym doskonale wiesz, prawda? Zastępuj go jeszcze przez jakiś czas, aż wyzdrowieje. Imperium go potrzebuje.

- Tak, sir.

- Odwal się z tym „sir”. Skoro go udajesz, nazywaj mnie Willemem, tak samo, jak on. Czy wiesz, że w ten sposób się zdradziłeś? |

- Nie, si... nie, Willemie.

- Nazywał mnie Willemem od dwudziestu lat. Uznałem to za bardzo dziwne, że przestał mnie tak nazywać prywatnie, tylko dlatego, że widział mnie podczas wykonywania obowiązków służbowych. No, ale nic nie podejrzewałem, naprawdę nic. Twoja rola, aczkolwiek doskonała, dała mi jednak do myślenia. Dopiero kiedy poszliśmy obejrzeć pociągi, zrozumiałem, co się stało.

- Przepraszam, ale jak?

- Byłeś uprzejmy, człowieku! Próbowałem zmusić go do oglądania moich pociągów w przeszłości, a on w odwecie był dla mnie tak nieprzyjemny, jak się tylko dało, i wypominał mi, co to za strata czasu dla dorosłego człowieka. Była to mała gra, w którą zawsze graliśmy i obu nam bardzo się ona podobała.

- O, nie wiedziałem.

- A skąd miałbyś wiedzieć?

Pomyślałem, że to powinno być w tych cholernych aktach... Dopiero później zrozumiałem, że to nie teczka była niekompletna, lecz zgodnie z teorią, jakiej służyła, miała przypominać sławnemu człowiekowi o innych, mniej sławnych ludziach. A tym właśnie Imperator nie był - to znaczy, nie był mniej sławny.

Oczywiście, że Bonforte nie potrzebował osobistych notatek na temat Willema! Chyba nawet nie uznałyby za stosowne wprowadzać informacji na temat panującego władcy do dokumentacji, którą miewali w rękach jego urzędnicy.

Przeoczyłem sprawę oczywistą... Co nie znaczy, że wiem, jak mógłbym tego uniknąć, nawet gdybym wiedział, że dokumentacja nie zawiera wszystkiego.

Imperator mówił jednak dalej:

- Wspaniale się spisałeś... Po tym, jak zaryzykowałeś życiem w gnieździe Marsjan, nie dziwię ci się, że zdecydowałeś się spróbować i ze mną. Powiedz, czy mogłem cię kiedyś widzieć w stereowizji albo gdzie indziej?

Oczywiście, kiedy Imperator zapytał mnie o nazwisko, podałem prawdziwe. Teraz wstydliwie wymieniałem mój zawodowy pseudonim. Spojrzał na mnie, podniósł obie ręce i wybuchnął śmiechem.

Podniosłem na niego nieco urażony wzrok.

- Eee... słyszałeś o mnie?

- Słyszeć o tobie? Przecież jestem jednym z twoich najzagorzalszych fanów. - Przyjrzał mi się bardzo, bardzo uważnie. - Ale i tak cały czas wyglądasz jak Joe Bonforte. Nie masz w sobie nic z Lorenza.

- Ale nim jestem.

- Och, wierzę ci, wierzę. Pamiętasz tę sztuczkę, gdzie grasz włóczkę? Najpierw próbujesz wydoić krowę... bez skutku. Wreszcie rzucasz się na kocią miskę, ale nawet kot cię przegania?

Skinąłem głową.

- Prawie zajechałem na śmierć tę taśmę. Śmieję się i płacę na przemian, kiedy to oglądam.

- Bo tak miało być... - Zawahałem się i przyznałem, że w roli „Słabego Williego” w stodole naśladowałem wielkiego artystę sprzed wielu stuleci. – Wolę jednak role dramatyczne.

- Takie jak ta?

- Niekoniecznie. Jeśli chodzi o tę rolę, jeden raz wystarczy i więcej chyba bym nie chciał.

- Też tak sędzę. Wiesz co, powiedz Rogerowi Cliftonowi... Nie, nie mów mu nic, Lorenzo. Chyba nic nie zyskamy, jeśli ktokolwiek dowie się o naszej rozmowie w ciągu ostatniej godziny. Jeśli powiesz Cliftonowi, zacznie się denerwować, nawet gdy mu przy okazji powtórzysz, że ja powiedziałem, iż nie ma czym. A ma dużo roboty do zrobienia. Utrzymamy to zatem w tajemnicy, zgoda?

- Jak sobie życzy mój Imperator.

- Daj już spokój, proszę. Przemilczymy to, bo tak będzie najlepiej. Szkoda, że nie mogą odwiedzić chorego Wujka Joe. I tak bym mu nie pomógł, choć podobno dotknięcie królewskiej dłoni czyni cuda. Udawajmy zatem, że nic się nie stało i wszystko jest w porządku, a ja nic nie zwęszyłem.

- Dobrze... Willemie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli teraz sobie pójdziesz. Długo cię tu zatrzymywałem.

- Cokolwiek sobie życzysz.

- Powiem Pateelowi, żeby cię odprowadził... A może sam trafisz? Czekaj chwilę... -
Zaczął grzebać w zawartości biurka, mrużąc do siebie: - Ta dziewczyna chyba znów tu
sprzątała... Nie... Jest.

Wyjął niewielką książeczkę.

- Pewnie już nigdy się nie zobaczymy... Czy mógłbyś dać mi swój autograf?

9

Znalazłem Roga i Billa w górnym salonie Bonforte'a. Gryźli palce z nerwów.
Zaledwie się pojawiłem, Corpsman rzucił się w moim kierunku.

- Gdzie byłeś, u diabła?

- Z Imperatorem - odpowiedziałem chłodno.

- Nie było cię pięć do sześciu razy dłużej, niż powinno!

Nawet nie raczyłem odpowiedzieć. Od czasu sprzeczki na temat przemówienia
Corpsman i ja zaczęliśmy współpracować i żyć w zgodzie. Było to jednak wyłącznie
małżeństwo z rozsądku, bez miłości. Pracowaliśmy razem, ale nigdy nie zakopaliśmy topora
wojennego... chyba, że był wbity między moimi łopatkami. Nie starałem się szczególnie, aby
go ugłaskać, ani nie widziałem po temu żadnych powodów. W mojej opinii jego rodzice
spotkali się przelotnie na balu maskowym.

Nie lubię kłócić się z innymi członkami grupy, ale skoro jedynym zachowaniem, jakie
Corpsman u mnie tolerował, była służalczość, kapelusz w dłoni i pokornie schylone czoło, to
się tego nie doczeka. Nawet za cenę spokoju. Jestem profesjonalistą, zaangażowanym, aby
wykonać bardzo trudne zadanie, a profesjonalisci nie korzystają z tylnych drzwi. Należy ich
traktować z szacunkiem.

Zignorowałem go zatem i spytałem Roga:

- Gdzie Penny?

- Z nim. Dak i Doc też, przynajmniej na razie.

- On tu jest?

- Tak - odparł z ociąganiem Clifton. - Ulokowaliśmy go w pomieszczeniu
przeznaczonym dla jego żony. Było to jedyne miejsce, gdzie mogliśmy zachować całkowitą
tajemnicę, a jednocześnie zapewnić mu wszelką potrzebną opiekę. Mam nadzieję, że ci to nie
przeszkadza.

- Ani trochę.

- Nie będzie ci przeszkadzać. Obie sypialnie są połączone tylko garderobą, jak pewnie

zauważyłeś. Te drzwi jednak zamkniemy, a one są dźwiękoszczelne.

- To chyba dobre załatwienie sprawy, prawda? Jak on się czuje?

- Lepiej, o wiele lepiej... ogólnie rzecz biorąc - Clifton zmarszczył brwi. - Przez większość czasu jest przytomny. - Zawahał się. - Możesz tam wejść i zobaczyć się z nim, jeśli chcesz.

Ja wahałem się jeszcze dłużej.

- Jak doktor Capek sądzi, kiedy będzie gotów, aby stanąć przed publicznością?

- Trudno powiedzieć. Niedługo.

- Niedługo, to znaczy ile? Trzy czy cztery dni? Czas na tyle krótki, żeby odwołać wszystkie spotkania i po prostu mnie ukryć? Rog, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale choć chciałbym bardzo zobaczyć go i złożyć mu wyrazy szacunku, nie sądzę, żeby to było rozsądne, zanim nie wystąpię po raz ostatni. Może to całkowicie zrujnować moją charakterystykę.

W przeszłości popełniłem okropny błąd: poszedłem na pogrzeb ojca. Od tej pory przez długie lata pamiętałem go tylko leżącego w trumnie. Wspomnienie jego prawdziwego wyglądu - męskiego, dominującego faceta, który wychował mnie twardą ręką i nauczył zawodu - odzyskiwałem bardzo powoli. Obawiałem się, że coś takiego może mi się przytrafić z Bonforte'em. Teraz wcielałem się w osobę w pełni sił i mocy, tak, jak go widziałem i słyszałem na zapisach stereo. Jeśli zobaczę go chorego i słabego, wspomnienie może zaćmić i wypaczyć moją grę.

- Nie nalegam - odparł Clifton. - Wiesz sam najlepiej. Możliwe, iż uda nam się sprawić, że nie będziesz już musiał pokazywać się publicznie, ale wolę trzymać cię w rezerwie i gotowości, dopóki całkiem nie wyzdrowieje.

Już miałem powiedzieć, że właśnie tego chciał Imperator, ale się powstrzymałem. Sam szok, przeżyty po zdemaskowaniu mnie przez Imperatora, nieco wytrącił mnie z roli. Myśl ta przypomniła mi jednak nie załatwionej sprawie. Wyjąłem poprawioną listę gabinetu i podałem ją Corpsmanowi.

- Bill, to jest zatwierdzona lista dla prasy i dziennikarzy. Zobacz, zostało zmienione tylko jedno nazwisko.

- Co?

- Jesus de la Torre zamiast Lothara Brauna. Tak właśnie chciał Imperator.

Clifton wyglądał na zdumionego, Corpsman na zdumionego i wściekłego.

- A jaka to różnica? Nie ma żadnego cholernego prawa wyrażać swoich opinii.

- Bill ma rację, Szefie - powoli odezwał się Clifton. - Jako prawnik, specjalizujący się

w prawie konstytucyjnym zapewniam cię, że zatwierdzenie przez władcę jest kwestią całkowicie formalną. Nie powinieneś być pozwolić dokonywać mu jakichkolwiek zmian.

Już miałem na nich nawrzeszczyć, i tylko spokój, narzucony mi przez rolę Bonforte'a, mnie przed tym powstrzymał. Miałem ciężki dzień i, pomimo doskonałej gry, ogarnęło mnie przecucie nieuniknionej katastrofy. Chciałem powiedzieć Rogowi, że gdyby Willem nie był naprawdę wielkim człowiekiem, królem i władcą z prawdziwego zdarzenia, wszyscy teraz znaleźlibyśmy się w niezłych opałach... i to tylko dlatego, że nie zostałem odpowiednio przygotowany do roli.

- Zmiana została wprowadzona i koniec - powiedziałem stanowczo.

- Tak ci się tylko zdaje! - ryknął Corpsman. - Podałem prawidłową listę reporterom dwie godziny temu. A teraz wracaj i wyprostuj to. Rog, lepiej zadzwoń do pałacu i natychmiast...

- Spokój! - wtrąciłem. Corpsman zamknął się natychmiast.

- Rog, z prawnego punktu widzenia pewnie masz rację - ciągnąłem dalej już spokojniejszym tonem. - Tego nie wiem. Wiem jednak, że Imperator zakwestionował osobę Brauna. A teraz, jeśli któryś z was chce iść do Imperatora i kłócić się z nim, proszę uprzejmie. Ale ja nigdzie nie idę. Teraz zrzucę z siebie ten anachroniczny kaftan bezpieczeństwa, zdejmę buty i zrobię sobie dużego drinka. A potem pójdę do łóżka.

- Czekaj no, Szefie - zaproponował Clifton. - Masz zarezerwowane pięć minut w ogólnej sieci, żeby ogłosić powstanie nowego gabinetu.

- Ty się tym zajmiesz. Jesteś w nim pierwszym wicepremierem.

Zamrugął.

- W porządku.

- A co z Braunem? - nalegał Corpsman. - Obiecano mu już tę pracę.

Clifton spojrzał na niego w zadumie.

- Nie słyszałem tego w żadnym oficjalnym ogłoszeniu, a obejrzałem ich dużo. Po prostu zapytano go, tak samo, jak innych, czy będzie chciał przyjąć te obowiązki. To masz na myśli?

Corpsman zawahał się, niby aktor, który nie jest pewien swojej kwestii.

- Oczywiście. Ale to to samo, co obietnica.

- Nie do momentu, kiedy skład gabinetu zostanie ogłoszony publicznie.

- Ależ przecież ogłoszono go już, mówiłem ci. Dwie godziny temu.

- Mmmm... Bill, obawiam się, że będziesz musiał jeszcze raz zwołać tu chłopców i powiedzieć im, że się pomyliłeś. Albo to ja ich wezwę i powiem, że przez pomyłkę

opublikowano listę wstępną, którą im dałem, zanim pan Bonforte ją zatwierdził. Musimy to jednak sprostować, zanim zostanie ogłoszona w ogólnej sieci.

- Czy to znaczy, że pozwolisz, żeby mu to uszło na sucho? Mówiąc „mu” Bill miał raczej na myśli mnie niż Willema, ale Rog zrozumiał co innego.

- Tak, Bill, to nie czas na wywoływanie kryzysu konstytucyjnego. To się po prostu nie opłaca. Sformułujesz zatem sprostowanie, czy ja mam to zrobić?

Wyraz twarzy Corpsmana przywodził na myśl kota, głaskanego pod włos. Spojrzał ponuro, wzruszył ramionami i mruknął:

- Zrobię to. Muszę być absolutnie pewien, że zostanie sformułowane prawidłowo, abyśmy mogli jak najwięcej uratować z gruzów.

- Dzięki, Bill - spokojnie odparł Rog. Corpsman odwrócił się, żeby wyjść.

- Bill? - zawołałem w ślad za nim. - Skoro już będziesz rozmawiał z mediami, mam dla nich jeszcze jedną informację.

- He? Co ty znowu kombinujesz?

- Nic takiego. - Nagle poczułem się bardzo zmęczony tą rolą i napięciem, jakie mnie kosztowała. - Powiedz im tylko, że pan Bonforte jest przeziębiony i lekarz zalecił mu odpoczynek w łóżku. Mam tego powyżej uszu.

Corpsman prychnął.

- Chyba zrobią z tego zapalenie płuc.

- Jak wolisz.

Kiedy wyszedł, Rog odwrócił się do mnie i powiedział:

- Nie daj im się, Szefie. W tym biznesie są dni lepsze i gorsze.

- Rog, ja naprawdę zamierzam się rozchorować. Możesz o tym wspomnieć podczas rozmowy z reporterami.

- I co?

- Idę do łóżka i chyba tam zostanę. Nie ma przecież powodu, aby Bonforte nie mógł się „przeziębic”, dopóki nie będzie w stanie powrócić do normalnej pracy we własnej osobie. Za każdym razem, kiedy występuję, zwiększa się prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy jakiś błąd - i za każdym razem, kiedy się pojawia, ten półgłówek Corpsman znajduje coś, co mu się nie podoba. Artysta nie może pracować, jeśli ktoś bez przerwy na niego warczy. Zostawmy zatem sprawy w tym punkcie i spuśćmy kurtynę.

- Spokojnie, spokojnie, Szefie. Od dzisiaj będę trzymał Corpsmana z dala od ciebie. Tu nie objamy się o siebie, tak jak to było na statku.

- Nie, Rog. Zdecydowałem już. Och, nie, nie ucieknę od was. Dopóki pan B. nie

poczucie się na siłach, aby przyjmować gości, pozostanę tu, na wypadek, gdyby pojawiła się jakaś sytuacja awaryjna. - Z pewnym niepokojem przypomniałem sobie, że Imperator kazał mi wytrzymać i na pewno sądzi, że właśnie tak będzie. - Lepiej chyba jednak, jeśli pozostanę w ukryciu. Do tej pory udawało nam się bez pudła, prawda? O, tak, oni wiedzą... na pewno ktoś wie, że to nie Bonforte wziął udział w ceremonii adopcji. Mimo to nie odważą się poruszyć tego tematu, a nawet gdyby, nie zdołają tego udowodnić. Ci sami ludzie mogą podejrzewać, że dziś również wystąpił dubler, ale nie wiedzą tego, nie mogą być pewni... Przecież to możliwe, że Bonforte wrócił do zdrowia na tyle szybko, aby dziś się pokazać. Mam rację?

Twarz Cliftona przybrała dziwny, nieco zbaraniały wyraz.

- Obawiam się, Szefie, że wiedzą prawie na pewno, iż był pan dublerem.

- Co?

- Trochę ukryliśmy przed panem, żeby uniknąć nerwowej atmosfery. Doc Capek od samego początku, od pierwszego badania był przekonany, że tylko cud mógłby doprowadzić Bonforte'a do zdrowia na tyle, aby zdołał wystąpić na audiencji. Ludzie, którzy go tak urządzili, też to wiedzą.

Zmarszczyłem czoło.

- A zatem stroiliście sobie ze mnie żarty, mówiąc, jak to on dobrze się czuje. No to jak jest naprawdę, Rog? Powiedz wreszcie.

- Wtedy powiedziałem panu prawdę, Szefie. Dlatego chciałem, żeby się pan z nim zobaczył... Przedtem aż za bardzo się ucieszyłem, że nie chce pan tego zrobić. - Po chwili dodał: - Może lepiej, żeby jednak pan się z nim spotkał.

- Mmm... nie. - Powód, dla którego nie chciałem się z nim widzieć, wciąż istniał. Jeśli mam jeszcze raz wystąpić, nie mogę pozwolić, aby moja podświadomość splatała mi figła. Rola wymagała zdrowego mężczyzny. - Rog, podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej, nawet jeszcze bardziej zdecydowanie. Jeśli są choć w części pewni, że dziś w tę rolę wcielił się dubler, nie powinniśmy ryzykować następnego wystąpienia. Teraz udało nam się ich zaskoczyć, a może po prostu nie odważyli się mnie zdemaskować w tych okolicznościach. Później to się może zmienić. Wymyślą jakiś podstęp, jakiś test, któremu nie sprostam, i bam! Jak w każdej grze... - Zamyśliłem się na chwilę. - Nie, lepiej „zachoruję” na tak długo, jak trzeba. Bill ma rację, lepiej, żeby to było zapalenie płuc.

Moc sugestii była tak wielka, że nazajutrz obudziłem się z zapchanym nosem i bólem gardła. Doktor Capek zajął się mną jak należy i do kolacji poczułem się znów jak istota ludzka. Pomimo to wydał biuletyn na temat „infekcji wirusowej pana Bonforte'a”. Szczelne,

klimatyzowane pomieszczenia na Księżycu są tym, czym są, i nikomu nie spieszy się narażać na chorobę przenoszoną drogą kropelkową. Nikt też nie uczynił żadnych zdecydowanych starań, aby sforsować moją ochronę. Przez cztery dni objąłem się, grzebiąc w bibliotece Bonforte'a, przeglądając zarówno jego własne papiery, jak i liczne książki... Odkryłem, że polityka i ekonomia mogą stanowić bardzo absorbującą lekturę. Przedtem nigdy nie uważałem ich za coś interesującego. Imperator przesłał mi kwiaty z królewskiej cieplarni - ale czy byty one przeznaczone dla mnie?

Nieważne. Objąłem się i nurzałem w rozkoszy bycia Lorenzem, a nawet zwyczajnym Lawrence'em Smithem. Stwierdziłem, że wchodzę z powrotem w rolę automatycznie, kiedy tylko ktoś się pojawi. Nie mogę na to nic poradzić, choć to niepotrzebne. Widywałem się tylko z Penny i z Capkiem, jeśli nie liczyć jednej wizyty Daka.

Nawet nektar i ambrozja mogą zemdląć. Czwartego dnia miałem już serdecznie dość tego pokoju, bardziej, niż kiedykolwiek miałem dość poczekalni w gabinecie producenta. Czułem się samotny. Nikogo nie obchodziłem. Wizyty Capka były szybkie i profesjonalne, odwiedziny Penny krótkie i rzadkie. I przestała nazywać mnie „panem Bonforte”.

Gdy wreszcie pokazał się Dak, byłem zachwycony jego wizytą.

- Dak! Co nowego?

- Niewiele. Próbowałem wyremontować „Toma” i jednocześnie pomagać Rogowi w pracy politycznej. Organizacja kampanii przyprawi go o wrzody żołądka - usiadł. - Polityka!

- Hmm... - Dak, jak w ogóle się w to wkopałeś? Szczerze mówiąc, uważałem wojażerów za osoby równie apolityczne jak aktorów. Zwłaszcza ciebie.

- Są apolityczni i nie są. Na ogół jest im szczerze obojętne, która grupa sprawuje władzę, dopóki mogą targać przez niebiosa swój złom. Ale w tym celu musisz mieć ładunek, a żeby zdobyć ładunek, potrzebny jest handel. Zyskowny handel to handel otwarty, kiedy każdy statek może lecieć wszędzie, gdzie chce, bez nonsensownych ceł i restrykcji. Wolność! I proszę, już siedzisz po uszy w polityce. Jeśli chodzi o mnie, włączyłem się w politykę, żeby pogłosowa trochę za zasadą „ciągłej podróży”, żeby nie płacić dwa razy cła przy potrójnej wymianie. I, oczywiście, trafiłem do pana B. Jedna sprawa prowadziła do drugiej, i oto tu jestem, od sześciu lat jako szyper jego jachtu i reprezentant moich braci z gildii od czasu ostatnich wyborów powszechnych - westchnął. - Sam nie wiem, jak to się naprawdę stało.

- I pewnie bardzo ci się spieszy, żeby się stąd uwolnić. Weźmiesz udział w powtórnych wyborach? Wytrzeszczył oczy.

- Hę? Bracie, nie znasz życia, jeśli nie byłeś politykiem!

- Ale mówiłeś...?

- Wiem, co mówiłem. Polityka jest brutalna, nieraz brudna, prawie zawsze oznacza ciężką robotę i nudne szczegóły, ale to jedyny sport dla dorosłych. Wszystkie inne sporty nadają się tylko dla dzieci. Dokładnie wszystkie - wstał. - No, muszę spadać.

- Zostań chwilę.

- Nie da rady. Jutro zbiera się Wielkie Zgromadzenie, muszę trochę pomóc Rogowi. W ogóle nie powinno mnie tu być.

- Tak? Nie wiedziałem. - Miałem pewne pojęcie, że Wielkie Zgromadzenie, to znaczy odchodzące Wielkie Zgromadzenie, musi spotkać się jeszcze raz, aby przyjąć gabinet tymczasowy. Nie myślałem o tym, uważałem to za coś zupełnie naturalnego, jak przedstawienie listy gabinetu Imperatorowi. - Czy ON będzie w stanie w nim uczestniczyć?

- Nie. Ale się nie przejmuj. Rog przeprosi wszystkich za twoją... to znaczy jego nieobecność i poprosi o pełnomocnictwo na zasadzie pełnego poparcia. A potem odczyta mowę desygnowanego na premiera... Bill właśnie nad nią pracuje. Później już we własnej osobie złoży wniosek o przyjęcie nowego składu rządu. Bez debaty. Przyjęto. Następnie rozwiąże zgromadzenie sine die i wszyscy popędzą do domu, żeby obiecywać wyborcom po dwie kobiety w łóżku i setkę imperiałów do codziennej porannej kawy. Rutyna. Aha -dodał. - Jakiś członek Partii Ludzkości wysunie wniosek o złożenie wyrazów współczucia i przesłanie kosza kwiatów, co zostanie przyjęte w glorii hipokryzji. Najchętniej przesłaliby kwiaty, ale na pogrzeb Bonforte'a - skrzywił się.

- Czy to naprawdę takie proste? A co będzie, jeśli prośba o pełnomocnictwo zostanie odrzucona? Zgromadzenie chyba nie uznaje prokurentów?

- We wszystkich zwykłych procedurach nie uznaje. Albo cię nie ma, albo jesteś i głosujesz. Tu jednak zadziała zapewne zasada lenistwa. Jeśli nie pozwolą na wystąpienie twojego zastępcy, będą musieli czekać, aż wyzdrowiejesz. Zanim zgromadzenie zostanie rozwiązane, pozostanie im jedynie kokietowanie wyborców. Szczerze mówiąc, od czasu rezygnacji Quirogi codziennie zbiera się parodia quorum i codziennie się rozchodzą. To zgromadzenie jest martwe jak duch Cezara, ale trzeba je pogrzebać w świetle konstytucji.

- No dobrze... ale jeśli jakiś idiota wniesie sprzeciw?

- Nikt nie wniesie sprzeciwu. Oczywiście, mogą ogłosić kryzys konstytucyjny, ale tak się nie stanie.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywał. Dak nawet się nie poruszył, żeby wstać.

- Dak, czy wszystko nie poszłoby łatwiej, gdybym sam wygłosił to przemówienie?

- Co? Do licha, myślałem, że już to ustaliliśmy. Sam powiedziałeś, że nie

zaryzykujesz kolejnego wystąpienia, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. W zasadzie zgadzam się z tobą, ale jest takie stare powiedzenie o uchu od dzbanka.

- Wiem. Tym razem jednak chyba wszystko wydaje się prostsze? Kwestie niezmiennie jak w sztuce. Raczej nie ma szansy, że ktoś zafunduje mi niespodziankę, z którą sobie nie poradzę?

- No cóż, nie sądzę. W zasadzie będą oczekiwać, że po spotkaniu porozmawiasz z prasą, ale możesz się wymówić niedawną chorobą. Możemy cię przeprowadzić przez tunel dla ochrony i w ogóle ich wyminiemy. - Uśmiechnął się ponuro. - Jednak zawsze istnieje możliwość, że jakiś wariat na galerii widzów przemyci rewolwer i... Pan B. zawsze nazywał ich „galerią rewolwerowców”, od czasu, kiedy go postrzelili.

Poczułem lekkie ukłucie w nodze.

- Próbujesz mnie wystraszyć?

- Nie.

- No to masz dziwny sposób zachęcania. Dak, gadaj prawdą. Chcesz, żebym jutro wystąpił, czy nie?

- Oczywiście, że chcę! A jak sądzisz, po co tu przyszedłem w takim zwariowanym dniu? Na pogaduchy?

Przewodniczący obrad zastukał laską, kapelan wzniósł inwokację, starannie omijając wszelkie różnice pomiędzy religiami... i cała sala zamilkła. Miejsca posłów były wypełnione jedynie do połowy, za to galerię w całości zajmowali turyści.

Usłyszeliśmy wzmocnione przez mikrofon ceremonialne stukanie. Dowódca gwardii zastawił drzwi buławą. Trzykrotnie Imperator domagał się wpuszczenia i trzykrotnie mu odmówiono. Wreszcie powołał się na przywilej, który przyznano mu jednogłośnie.

Wstaliśmy, gdy Willem wchodził i zajmował miejsce za pulpitem mówcy. Miał na sobie mundur admirała generalicji i był sam, jeśli nie liczyć eskorty przewodniczącego i dowódcy gwardii.

Wtedy wsadziłem buławę pod ramię i zająłem miejsce w pierwszym rzędzie, zwracając się do przewodniczącego tak, jakby władca nie był obecny. Wygłosiłem przemówienie, ale nie to, które napisał Corpsman. Tamto wylądowało w koszu zaraz po przeczytaniu. Ot, zwykła mówka wyborcza, nie pasująca ani do miejsca, ani do chwili.

Moja mowa była krótka, dobrze przygotowana i stanowiła montaż wcześniejszych zebranych zapisów Bonforte'a, parafrazą przemówienia z posiedzenia poprzedzającego utworzenie rządu tymczasowego. Opowiedziałem się twardo za dobrymi drogami i dobrą

pogodą, życzyłem, aby wszyscy kochali się wzajemnie, tak samo, jak my, demokraci, kochamy naszego władcę, a on kocha nas. Był to poemat liryczny, liczący około pięciuset słów, pisany białym wierszem, a jeśli nawet nie całkiem zgadzał się z wcześniejszą wersją przemówienia, to uzupełniałem go swoimi słowami.

Musieli uspokajać galerię.

Rog wstał i złożył wniosek o akceptację nazwisk, które przedstawiłem. Wniosek przyjęto bez sprzeciwów, urzędnik odnotował całkowitą jednogomyślność. Kiedy wstałem i ruszyłem w stronę Imperatora, towarzyszył mi jeden członek mojej własnej partii i jeden z partii opozycji. Po drodze widziałem, jak szacowni posłowie zerkają na zegarki, czy zdążą jeszcze złapać południowy wahadłowiec.

A potem złożyłem hołd suwerenowi, ślubując mu wierność i posłuszeństwo w ramach i zgodnie z ograniczeniami konstytucji. Obiecałem przedłużenie praw i przywilejów Wielkiego Zgromadzenia oraz ochronę wolności obywateli Imperium, gdziekolwiek się znajdują... a przy okazji zgodziłem się wykonywać swoje zadania premiera Jego wysokości. Kapelan raz pomylił słowa przysięgi, ale go poprawiłem.

Miałem wrażenie, że wszystko idzie mi gładko i zgrabnie jak na akademii ku czci... dopóki nie stwierdziłem, że płaczę. Łzy zalewały mi oczy. Kiedy już było po wszystkim, Willem szepnął:

- Dobra robota, Joseph.

Nie wiedziałem, czy mówił do mnie, czy do swego starego przyjaciela, ale niewiele mnie to obchodziło. Nie ocierałem łez, pozwoliłem, aby spływały mi po twarzy, gdy odwróciłem się w stronę Zgromadzenia. Oczekałem, aż Willem wyjdzie, a potem zakończyłem obrady.

Tego popołudnia Diana Ltd wypuściła cztery dodatkowe wahadłowce. Batawia opustoszała. Pozostał jedynie dwór i około miliona rzeźników, piekarzy, producentów świeczników i cywilów -i, oczywiście, tymczasowy gabinet.

Skoro już pokonałem „przeziębienie” i pokazałem się publicznie w sali Zgromadzenia, nie było większego sensu nadal się ukrywać. Jako przyszły premier nie mogłem wiecznie siedzieć w zamknięciu, nie wywołując komentarzy. Jako mianowany przywódca partii, wchodzącej w kampanię wyborczą, musiałem spotykać się z ludźmi — przynajmniej z pewną grupą ludzi. Robiłem zatem, co do mnie należy, i otrzymywałem codzienne raporty z postępów w rekonwalescencji Bonforte'a, który wracał do zdrowia, choć bardzo powoli. Capek stwierdził, że w razie absolutnej konieczności będzie mógł się pojawić publicznie w każdej chwili, choć osobiście tego nie doradza. Bonforte stracił co najmniej

dziesięć kilo i miał kiepską koordynację ruchów.

Rog robił, co mógł, aby chronić nas obydwu. Pan Bonforte wiedział już, że w jego imieniu występuje dubler i, po pierwszym odruchu sprzeciwu, pogodził się z tą koniecznością. Rog prowadził kampanię, konsultując się z nim jedynie w sprawach wyższej polityki, a potem przekazywał mi jego stanowisko, które ja z kolei w razie potrzeby przedstawiałem na forum publicznym.

Mnie również otoczono staranną opieką. Było mnie równie trudno spotkać, jak tajnego superagenta. Nie przenieśliśmy się bowiem do pałacowych apartamentów premiera. Wprawdzie byłoby to legalne, ale dość dziwne jak na szefa rządu tymczasowego. Moje biuro znajdowało się na wzgórzu powyżej apartamentów lidera opozycji. Wejście do niego wymagało przebrnięcia przez co najmniej pięć punktów kontrolnych. Nie dotyczyło to jedynie kilku faworytów, wprowadzanych przez Roga ukrytym przejściem do biura Penny, a stamtąd do mojego gabinetu.

Dzięki tej aranżacji mogłem przestudiować akta na temat każdego, kto próbował się ze mną zobaczyć. Miałem je przed sobą nawet w czasie rozmowy, ponieważ w biurko wmontowane było niewidoczne dla gościa zagłębienie z wizjerem, które w każdej chwili mogłem zasłonić, gdyby rozmówca nie mógł usiedzieć na miejscu.

Wizjer miał jeszcze inne zalety. Rog mógł zastosować wobec gościa procedurę specjalną i wprowadzić go wprost do mnie, pozostawić nas sam na sam, a następnie zatrzymać się w gabinecie Penny, napisać dla mnie notatkę i wyświetlić ją przez wizjer. Były to króciutkie informacje w rodzaju: „Przyjmij go wylewnie i nic nie obiecuj” lub „On tylko chce, aby jego żona została przedstawiona na dworze. Obiecuj mu i niech się wynosi”, albo nawet „Ostrożnie z nim. Reprezentuje grupę- huśtawkę i jest sprytniejszy, niż na to wygląda. Przekaż go mnie, a ja już załatwię sprawę”.

Nie wiem, kto naprawdę rządził. Prawdopodobnie seniorzy spośród zawodowych polityków. Co rano na moim biurku czekał stos papierów do podpisu. Składałem na nich koślawy gryzmoł Bonforte'a i Penny zabierała je natychmiast. Nigdy nie miałem czasu ich przeczytać. Przerażała mnie sama wielkość maszyny imperialnej. Raz, kiedy miałem uczestniczyć w spotkaniu poza biurem, Penny zaprowadziła mnie tam na skróty przez archiwum - ciągnące się w nieskończoność kilometry półek wyposażonych w pudełka na mikrofilmy i pasy transmisyjne, żeby urzędnik nie musiał tracić czasu na ich noszenie.

Penny jednak uspokoiła mnie, że to tylko jedno skrzydło. Rejestr dokumentacji zajmował całą ogromną jaskinię wielkości sali zgromadzeń. Ucieszyłem się, że rządzenie nie jest moim zawodem, a jedynie, rzec by można, przemijającym hobby.

Spotkania z ludźmi stanowiły nieunikniony obowiązek, zazwyczaj kompletnie bezsensowny, ponieważ decyzje podejmował Rog albo Bonforte za jego pośrednictwem. Moim jedynym prawdziwym zadaniem było wygłaszanie przemówień. Rozpowszechniono dyskretnie pogłoskę, iż mój lekarz obawia się, że „infekcja wirusowa” poważnie nadwątlila mi serce i zaleca pozostanie w niskiej grawitacji Księżyca przez całą kampanię. Nie zaryzykowałbym wystąpienia w tej roli na Ziemi, a tym bardziej na Wenus. Zgromadzone akta nie pomogłyby mi, gdybym musiał mieszać się z tłumem, nie wspominając już o nieznanym niebezpieczeństwach, grożących ze strony bandziorów Aktywistów. Żadne z nas nie miało nawet ochoty pomyśleć, co mógłbym wyśpiewać po podaniu do przedniego płuca mózgu najmniejszej dozy odpowiednich środków farmakologicznych.

Quiroga szalał po wszystkich ziemskich kontynentach, podstawiając na platformach przed obliczem tłumów stereograficzne obrazy w miejsce własnej osoby. To jednak nie martwiło specjalnie Roga Cliftona. Wzruszył ramionami i rzekł:

- Niech sobie gada. Nie ma już nowych wyborców, których można by skusić publicznymi wystąpieniami na mityngach politycznych. To tylko męczy samego mówcę, a na mityngi i tak przychodzą wyłącznie zwolennicy.

Miałem nadzieję, że wie, co mówi. Kampania była krótka, dzień rezygnacji Quirogi od dnia ustalonego na datę wyborów dzieliło tylko sześć tygodni. Przemawiałem prawie codziennie, albo na ogólnej sieci wizyjnej, w czasie skrupulatnie dzielonym z Partią Ludzkości, albo nagrywałem przemówienia wysyłane następnie specjalnym wahadłowcem dla pewnej grupy osób. Mieliśmy określoną procedurę: przekazywano mi projekt, prawdopodobnie autorstwa Billa, choć nigdy go nie widywałem, następnie ja przerabiałem mowę i Rog zabierał poprawioną wersję. Z reguły wracała do mnie jako zatwierdzona, choć od czasu do czasu widywałem poprawki dokonywane pismem Bonforte'a, ostatnio tak niewyraźnym, że prawie nieczytelnym.

Nigdy nie zmieniałem poprawionych fragmentów - w przeciwieństwie do całej reszty. Kiedy się już wpadnie w trans, czasem okazuje się, że można wyrazić pewną myśl w inny, bardziej ciekawy sposób. Wkrótce zorientowałem się w naturze tej korekty - prawie zawsze dotyczyła ozdobników. Mów bez ogródek - albo im się spodoba, albo niech się wypchają!

Po jakimś czasie poprawek było już znacznie mniej. Chyba zaczynałem chwytac, o co chodzi.

Wciąż jeszcze nie poznałem go osobiście. Czuję, że nie dam rady „nosić jego twarzy”, kiedy zobaczę go chorego. Nie ja jeden spośród najbliższych zostałem odsunięty - Capek odradził widywanie go również Penny... dla jej własnego dobra. Wtedy jednak nie

wiedziałem o tym. Widziałem tylko, że po przyjeździe do Nowej Batawii Penny stała się nerwowa, nieobecna i kapryśna. Miała kręgi pod oczami jak miś panda. Nie mogłem tego nie zauważyć, choć przypisywałem je napięciu kampanii połączonemu z obawą zdrowie Bonforte'a. Miałem rację jedynie częściowo. Capek zauważył to i podjął odpowiednie kroki, wprowadził ją w lekki stan hipnozy i wypytał, a potem zabronił widywać się z Bonforte'em do momentu, aż skończę swoje zadanie i zniknę z pola widzenia.

Biedna dziewczyna odchodziła niemal od zmysłów, przesiadując u wezgowia chorego człowieka, którego kochała beznadziejną miłością—by za chwilę wrócić do pracy z człowiekiem wyglądającym i mówiącym dokładnie tak samo jak tamten, tyle że w świetnej formie. Chyba już zaczynała mnie nienawidzić.

Dobry stary Doc Capek uciał problem przy samym korzeniu, przekazując uspokajające sugestie hipnotyczne, a następnie utrzymując ją z dala od chorego. Oczywiście, mnie wtedy nie wspomniano o tym ani słowem, to nie była moja sprawa. Za to Penny wzięła się w garść i znów stała się niewiarygodnie uroczą osobą.

Muszę przyznać, że miało to dla mnie ogromne znaczenie. Co tu dużo mówić, gdyby nie ona, co najmniej dwa razy rzuciłbym wszystko i odszedł.

Istniał jeszcze jeden typ spotkań, w których musiałem uczestniczyć - spotkania kierownictwa kampanii. Ponieważ Partia Ekspansjonistów była partią mniejszościową i stanowiła jedynie niewielką frakcję koalicji utrzymywanej w całości wyłącznie dzięki osobowości i przywództwu Johna Josepha Bonforte'a, musiałem zastępować go i nieustannie karmić słodkim syropem te rozkapryszone primadonny. Przyuczono mnie do tego z bolesną wręcz troską o szczegóły, a Rog towarzyszył mi zawsze, gotów podać pomocną dłoń, gdybym się zachwiał. Niestety, w tym przypadku nie mogło być mowy o zastępstwie.

Około dwóch tygodni przed wyborami miało się odbyć spotkanie, na którym przydzielano tzw. strefy bezpieczeństwa. Organizacja zawsze posiada trzydzieści do czterdziestu okręgów, dzięki którym może wspomóc kogoś w osiągnięciu stanowiska w gabinecie, lub dostarczyć sekretarza politycznego. Osoba taka jest niezwykle cenna, jeśli ma pełne kwalifikacje, potrafi przemawiać i poruszać istotne kwestie na forum zgromadzenia, ma też prawo uczestniczenia w różnych zamkniętych zebraniach i tak dalej. Czasami bywają to inne racje polityczne. Sam Bonforte reprezentuje jeden z takich okręgów, co oszczędza mu konieczności prowadzenia przedwczesnej kampanii. Clifton też ma podobne zaplecze, a mógłby mieć i Dak, gdyby chciał. Ten jednak preferował poparcie swoich braci z gildii. Rog wspominał mi kiedyś, że gdybym miał ochotę pewnego dnia wystąpić pod moim własnym nazwiskiem, wystarczy szepnąć słowo, a natychmiast znajdę się na liście.

Kilka okręgów zarezerwowano dla starych wyjadaczy partyjnych, gotowych zrezygnować z minuty na minutę, aby dostarczyć partii miejsca w wyborach dodatkowych, co pozwoliłoby zakwalifikować dodatkowego człowieka na stanowisko ministerialne, gdyby zaszła taka potrzeba.

Całość jednak miała zdecydowanie patriarchalny charakter i przy takiej koalicji wymagała obecności Bonforte'a, by rozwiązywać sprzeczne roszczenia i przedstawić ostateczną listę komitetowi kampanii. Była to robota na ostatnią chwilę, tuż przed przygotowaniem głosowania, z rezerwą na spóźnione zmiany.

Pracowałem właśnie nad przemówieniem i poprosiłem Penny, żeby alarmowała mnie jedynie w przypadku pożaru, kiedy pojawili się Dak i Rog. Quiroga zeszłej nocy na mityngu w Sydney w Australii powiedział coś głupiego. Była okazja, żeby zdemaskować kłamstwo i przycisnąć go do muru. Natychmiast zacząłem układać replikę, nie czekając na przekazanie mi projektu. Miałem szczerą nadzieję, że moja własna wersja również zostanie zaakceptowana.

- Posłuchajcie tego - poprosiłem, gdy weszli, i odczytałem im kluczowy akapit. - Co wy na to?

- To go powinno rozsmarować na najbliższej ścianie - zgodził się Rog. - Proszę, Szefie, tu jest lista. Chcesz ją sobie obejrzeć? Za dwadzieścia minut skończymy.

- Och, to cholerne spotkanie. Nie mam pojęcia, po co mam oglądać tę listę. Muszę wiedzieć o niej coś istotnego? - mimo wszystko wziąłem wykaz i przyjrzałem się mu. Znałem całe towarzystwo z akt farleyowskich, a kilku nawet osobiście. Wiedziałem przynajmniej, dlaczego każdym z nich trzeba się zająć.

A potem zauważyłem nazwisko: Corpsman, William J.

Stłumiłem w sobie słuszny, jak mniemam, gniew i spokojnie zauważyłem:

- Rog, widzę, że Bill jest na tej liście.

- Och, tak. Chciałem właśnie o tym z tobą porozmawiać. Widzisz, Szefie, z tego, co wiem, pomiędzy wami panują napięte stosunki. Nie, nie winię pana o to. To wina Billa. Może nie zdaje sobie pan z tego sprawy, ale Bill cierpi na ogromny kompleks niższości. Dlatego tak się jeży. Myślę, że to powinno załatwić sprawę.

- No i co?

- On właśnie tego zawsze pragnął. Widzi pan, cała reszta ma jakiś oficjalny status, jesteśmy członkami Zgromadzenia... oczywiście mówię o tych, którzy pracują blisko z... hm... z panem. Bill to przeżywa. Słyszałem, jak po trzecim drinku opowiadał, że jest tylko najemnikiem. Czuje z tego powodu rozgoryczenie. Nie przeszkadza to panu, prawda? Partia

może sobie na to pozwolić i nie jest to duża cena do zapłacenia za wyeliminowanie taré na górze.

Po chwili odzyskałem całkowite panowanie nad sobą.

- To nie moja sprawa. Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać, skoro taka jest decyzja pana Bonforte'a?

Pochwyciłem przelotną wymianę spojrzeń pomiędzy Dakiem a Cliftonem.

- Bo chyba tego chce pan B.? - upewniłem się. - Mam rację, Rog?

- Powiedz mu, Rog – chrapliwie odezwał się Dak.

- Wymyśliliśmy to z Dakiem sami - wyznał Rog. - Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

- To znaczy, że pan Bonforte nie zatwierdził tego? Oczywiście, zapytaliście go o zdanie?

- Nie, nie zapytaliśmy.

- Dlaczego?

- Szefie, to nie są sprawy, którymi należałoby mu zawracać głowę. To zmęczony, stary, schorowany człowiek. Konsultuję z nim jedynie najważniejsze decyzje polityczne, a ta do nich nie należy. Jest to okrąg, który kontrolujemy niezależnie od tego, kto stoi na jego czele.

- To po co w ogóle pytacie mnie o zdanie?

- Cóż, sądziliśmy, że warto, aby pan o tym wiedział i znał przyczyny. Uważamy, że pan powinien to zatwierdzić.

- Ja? Pytacie mnie o decyzję, jakbym był panem Bonforte. Nie jestem nim. - Poklepałem biurko nerwowym gestem, który idealnie sobie przyswoiłem. - Albo ta decyzja należy do najważniejszych i powinniście zapytać jego, albo nie jest, a wtedy nie powinniście pytać o to mnie.

Rog przez chwilą w milczeniu przeżuwał cygaro.

- W porządku, nie pytam pana.

- Nie!

- Co to znaczy?

- To znaczy nie! Zapytaliście mnie, co oznacza, że macie wątpliwości. Jeśli oczekujecie, że przedstawię to nazwisko komitetowi, tak jakbym był Bonforte'em, to idźcie i zapytajcie go samego.

Usiedli, ale się nie odezwali. Wreszcie Dak westchnął ciężko.

- Powiedz mu wszystko, Rog. Albo ja to zrobię. Czekałem. Clifton wyjął cygaro z ust i oznajmił:

- Szefie, Bonforte miał udar cztery dni temu. Nie można mu przeszkadzać.

Znieruchomiałem. Wyrecytowałem w myśli wszystkie wieże tonące w obłokach, wspaniałe pałace i tak dalej. Kiedy już przyszedłem do siebie, wykrztusiłem:

- Co z nim?

- Umysł ma chyba dość jasny, ale jest potwornie zmęczony. Ten tydzień więzienia był dla niego większą torturą, niż sobie wyobrażaliśmy. Po udarze leżał w śpiączce przez całą dobę. Teraz już się zbudził, ale ma sparaliżowaną lewą stronę twarzy, a cała lewa strona ciała odmawia mu posłuszeństwa.

- A co na to doktor Capek?

- Uważa, że kiedy skrzep się rozpuści, nikt nie będzie w stanie zauważyć różnicy. Pan B. powinien jednak więcej odpoczywać niż przedtem. Ale na razie, Szefie, jest bardzo chory. Musimy jakoś przeżyć tę kampanię bez niego.

Poczułem się trochę zagubiony, jak po śmierci mego ojca. Nigdy nie widziałem Bonforte'a. Nie miałem z nim innego kontaktu, niż pogryzmołone maszynopisy. Przez cały czas jednak stanowił dla mnie podporę. Wszystko było możliwe tylko dlatego, że on znajdował się po drugiej stronie tamtych drzwi.

Zaczerpnąłem tchu głęboko w płuca, wypuściłem powietrze i odpowiedziałem:

- W porządku, Rog. Będziemy musieli.

- Tak, Szefie - wstał. – Musimy jakoś przebrnąć przez to spotkanie. A co z tym? - skinął głową w kierunku listy okręgów.

- Och... - Próbowałem zmusić się do myślenia. Może Bonforte zechciałby nagrodzić Billa przywilejem używania tytułu „Szanowny”, tylko po to, żeby gość poczuł się lepiej. Nie był skąpy, jeśli szło o takie sprawy. Nie głodził bydła, którym orał ziemią. W jednym ze swoich esejów politycznych powiedział: „Nie jestem intelektualistą. Jeśli mam jakikolwiek szczególny talent, polega on na dobieraniu sobie ludzi i pozwalaniu im na swobodne działanie”.

- Jak długo Bill jest z nim? - zapytałem nagle.

- Co? Około czterech lat. Może trochę więcej. Prawdopodobnie Bonforte'owi podobała się jego praca.

- To więcej niż jedna kadencja, prawda? Dlaczego nie zrobił z niego członka Zgromadzenia?

- Hm, nie mam pojęcia. Nigdy nie było o tym mowy.

- Kiedy zatrudniono Penny?

- Około trzech lat temu. Wybory dodatkowe.

- Masz już odpowiedź, Rog.

- Nie nadążam.

- Bonforte mógł zrobić z Billa członka Zgromadzenia w dowolnej chwili. Nie zrobił tego. Zmieńcie tę nominację na „rezygnacja”. Wtedy, jeśli pan Bonforte zechce wstawić tam Billa, może załatwić mu później wybory dodatkowe... kiedy już będzie sobą.

Clifton nie okazał żadnej reakcji. Po prostu wziął listę i rzekł:

- Doskonale, Szefie.

Nieco później tego samego dnia Bill złożył wymówienie. Podejrzewam, iż Rog mu doniósł, że jego wybieg nie odniósł skutku. Kiedy jednak dowiedziałem się o tym, omal się nie rozchorowałem, bo zdałem sobie nagle sprawę, że mój sztywny kark wpędził nas wszystkich w okropne kłopoty. Przecież on o wszystkim wie! Od początku to był jego pomysł. Ileż brudu może teraz nawrzucać do ogródka Ludzkości!

Powiedziałem to Rogowi, a on zaprzeczył ruchem głowy.

- Zapomnij o tym, Szefie. Bill może jest wszą, ale nie potrzebuję kogoś, kto opuszcza nas w środku kampanii. Tego się po prostu nie robi. Jednak nie jest kompletną świnią. W jego zawodzie nie rozpowiada się tajemnic klienta, nawet, jeśli się z nim rozstaje.

- Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz.

- Zobaczysz pan. Proszę się tym nie martwić. Trzeba kontynuować naszą pracę.

Minęło kilka dni i musiałem przyznać, że Rog znał Billa lepiej niż ja. Nie słyszeliśmy nic ani o nim, ani od niego, i kampania posuwała się zwykłym torem. Z czasem zmagania stawały się coraz brutalniejsze, ale nic nie wskazywało na to, że nasz wielki przekręt został ujawniony. Poczulem się trochę lepiej i zająłem się na nowo produkowaniem najlepszych mów Bonforte'a, na jakie było mnie stać, czasami samodzielnie, czasami z pomocą Roga, a czasami jedynie za jego aprobatą. Pan Bonforte czuł się znowu coraz lepiej, ale Capek nakazał mu całkowity spokój.

W ostatnim tygodniu Rog musiał udać się na Ziemię. Jest kilka prac, których nie da się wykonać za pomocą zdalnego sterowania. W końcu głosy przychodzą z okręgów wyborczych, a kierownicy terenowi muszą być czymś więcej niż dobrymi mówcami. Mowy jednak wciąż trzeba było wygłaszać, trzeba było również organizować konferencje prasowe. Robiłem, co mogłem, wspomagany dzielnie przez Daka i Penny - teraz oczywiście siedziałem w tym znacznie głębiej i na większość pytań potrafiłbym odpowiedzieć bez namysłu.

W dniu, kiedy Rog miał wrócić, w biurze odbywała się właśnie dwutygodniowa konferencja prasowa. Miałem nadzieję, że zdąży na nią, ale nie było powodu, dla którego nie miałbym sobie dać rady sam. Penny weszła jako pierwsza, wlokąc swoje oprzyrządowanie.

Usłyszałem tylko jej stłumione westchnienie.

I wtedy po drugiej stronie stołu ujrzałem Billa.

Rozejrzałem się wokół siebie jak zwykle.

- Dzień dobry, panowie.

- Dzień dobry, panie ministrze - odpowiedziała większość z nich.

- Dzień dobry, Bill - dodałem. - Nie wiedziałem, że tu jesteś. Kogo reprezentujesz?

W oczekiwaniu na jego odpowiedź zapadła głucha cisza. Wszyscy wiedzieli, że Bill odszedł... albo został zwolniony. On jednak uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry, panie Bonforte. Jestem z Syndykatu Krein. Wiedziałem już, co się święci, ale starałem się nie dać mu tej satysfakcji.

- Bardzo ładnie. Mam nadzieję, że płacą ci tyle, ile jesteś wart. A teraz do rzeczy... Najpierw pytania pisemne. Masz je, Penny?

Szybko załatwiłem się z pytaniami na piśmie, udzielając odpowiedzi, które zdążyłem już wcześniej przemyśleć, po czym rozparłem się w fotelu i oznajmiłem:

- Pozostało nam trochę czasu na dyskusję, panowie. Są jeszcze jakieś pytania?

Padło kilka pytań. Tylko raz musiałem odpowiedzieć: „Bez komentarza”. Była to replika, której Bonforte udzielał zamiast wymijających tłumaczeń. Wreszcie spojrzałem na zegarek i oznajmiłem:

- Panowie, to wszystko na dziś. -i zrobiłem gest, żeby wstać.

- Smythe! – krzyknął Bill.

Niewzruszenie kontynuowałem rozpoczęty proces wstawania z fotela. Nawet na niego nie spojrzałem.

- Do ciebie mówię, Panie Fałszywy Bonforte - Smythe! - ciągnął ze złością, jeszcze bardziej podnosząc głos.

Tym razem spojrzałem na niego z pewnym zdumieniem - dokładnie takim, jakie okazałby moim zdaniem ważny urzędnik państwowy wobec jawnego a nieoczekiwanego chamstwa. Bill, czerwony jak burak, wskazywał na mnie palcem:

- Ty uzurpatorze! Ty aktorze ze spalonego teatru! Ty oszuście! Dziennikarz z „London Timesa” po mojej prawicy zapytał cicho:

- Czy mam wezwać strażę, sir?

- Nie - odparłem. – On jest nieszkodliwy. Bill zaśmiał się.

- A więc jestem nieszkodliwy, tak? Jeszcze zobaczysz!

- Chyba jednak trzeba będzie, sir – nalegał człowiek z „Timesa”.

- Nie - odparłem nieco ostrzejszym tonem. - Wystarczy, Bill. Teraz lepiej wyjdź

spokojnie.

- Chciałbyś, co? – zaczął z niesamowitą prędkością wyrzucać z siebie całą historię, Nie wspomniał ani słowem o porwaniu, ani o własnym udziale w oszustwie, ale sugerował, że wolał nas opuścić, niż brać udział w takim szwindlu. Przypisał konieczność maskarady poważnej chorobie Bonforte'a, nie cofając się przed przypuszczeniem, że mogliśmy go otruć.

Słuchałem cierpliwie. Większość reporterów także początkowo ograniczała się do słuchania, okazując zdumienie osób postronnych wplątanych przypadkowo w przykrą rodzinną kłótnię. Potem kilku z nich zaczęło skrzętnie notować lub szeptać do dyktafonów.

Kiedy skończył, zapytałem łagodnie:

- Czy to wszystko, Bill?

- A nie wystarczy?

- Wystarczy aż nadto. Przykro mi, Bill. Żegnam was, panowie. Muszę wracać do pracy.

- Chwileczkę, panie ministrze! - zawołał ktoś. - Czy chce pan wydać formalne zaprzeczenie? - A ktoś inny dodał: - Czy pozwie go pan?

Odpowiedziałem najpierw na drugie pytanie:

- Nie, nie pozwę go. Nie stawia się przed sądem chorego człowieka.

- Co, ja jestem chory?! – wrzasnął Bill.

- Uspokój się, Bill. Co zaś do formalnego zaprzeczenia, nie uważam, aby było potrzebne. Widzę, że część z państwa notuje. Wprawdzie nie sądzę, aby wasi wydawcy zainteresowali się tą historią, ale gdyby tak się stało, zaproponuję wam jeszcze pewną anegdotę. Słyszeliście o profesorze, który spędził czterdzieści lat swego życia na udowadnianiu, że „Odyseja” nie została napisana przez Homera, lecz przez innego Greka o tym samym nazwisku?

Rozległo się kilka uprzejmych wybuchów śmiechu. Ja również uśmiechnąłem się i znów zrobiłem gest w stronę wyjścia. Bill z trzaskiem przeskoczył stół i złapał mnie za ramię.

- Nie wykręcisz się z tego dowcipami!

Człowiek z „Timesa”, pan Ackroyd, odciągnął go ode mnie siłą.

- Dziękuję, sir - powiedziałem i zwróciłem się do Corpsmana: - Czego ty chcesz ode mnie, Bill? Próbuję uniknąć wydania cię w ręce policji.

- No to wezwij strażę, ty oszuście! Zobaczymy, kto dłużej posiedzi w ciupie! Czekaaj, niech tylko wezmą twoje odciski palców! Westchnąłem.

- Panowie, to już przestaje być zabawne. Połóżmy temu kres. Penny, moja droga, czy możesz wezwać kogoś ze sprzętem do pobierania odcisków palców?

Wiedziałem, że już po mnie, ale do cholery, jeśli się tonie, przynajmniej należy to robić z honorem i na baczność. Nawet najgorszy lajdak powinien mieć prawo do godnego zejścia ze sceny.

Bill nie czekał. Chwycił szklankę wody, która stała przede mną. Brałem ją do ręki kilka razy.

- Do diabła z tym. Wystarczy mi ta szklanka!

- Bill, już ci mówiłem, żebyś liczył się ze słowami przy paniach. Szklankę, oczywiście, możesz zatrzymać.

- Masz cholerną rację, że ją zatrzymam.

- Doskonale. Proszę stąd wyjść. Jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszony wezwać straż.

Wymaszerował z pokoju. Nikt nie odezwał się ani słowem.

- Czy ktoś jeszcze życzy sobie otrzymać moje odciski palców? - zapytałem.

- Jestem absolutnie pewien, że nikt z nas nie ma takiego życzenia, panie ministrze - pośpiesznie odparł Ackroyd.

- Doprawdy? Ależ proszę bardzo. Jeśli coś się za tym kryje, chyba będziecie chcieli mieć jakiś dowód - nalegałem, bo wciąż siedziałem po uszy w roli. Nie można być trochę w ciąży ani zostać choćby częściowo zdemaskowanym - a ja nie chciałem, aby Bill przyczepił się do któregoś z obecnych tam moich przyjaciół. Tylko tyle mogłem dla nich zrobić.

Nie musieliśmy sprowadzać profesjonalnego sprzętu. Penny miała przy sobie arkusiki kalki, a ktoś inny podsunął wieczny notatnik z plastikowymi kartkami, które doskonale odbiły odciski. Potem powiedziałem wszystkim do widzenia i wyszedłem.

Doszliśmy tylko do prywatnego gabinetu Penny. Za ledwie przekroczyła próg, padła zemdlna. Musiałem zabrać ją do swojego biura i położyć na kanapie. Sam siadłem przy biurku i przez kilka minut po prostu dygotałem.

Do końca dnia żadne z nas nie nadawało się praktycznie do niczego. Zachowywaliśmy się normalnie, tylko Penny odwołała wszelkie wizyty, podając jakieś zmyślane przyczyny. Tego wieczoru miałem zamiar wygłosić przemówienie, ale teraz myślałem tylko o tym, czy także go nie odwołać. Mimo iż przez cały dzień słuchałem wiadomości, nie usłyszałem jednak ani słowa na temat porannego incydentu. Zrozumiałem, że zamierzają sprawdzić odciski, zanim zaryzykują. Przecież kandydowałem na stanowisko premiera Jego Imperialnej Wysokości. Będą potrzebowali potwierdzenia. Skoro zatem miałem już napisane przemówienie i zarezerwowany czas, postanowiłem je wygłosić. Nie mogłem nawet zapytać o zdanie Daka - przebywał wówczas w Tycho City.

Było to najlepsze z moich przemówień. Zawierało dokładnie te same komunały, jakie

wyłasza komik, aby uspokoić spanikowanych ludzi w płonącym teatrze. Po nagraniu po prostu ukryłem twarz w dłoniach i rozplakałem się, a Penny tylko bezmyślnie poklepywała mnie po ramieniu. Na temat całego porannego zamieszania nie rozmawialiśmy w ogóle.

Rog wylądował mniej więcej w czasie, kiedy skończyłem przemawiać, i prawie natychmiast skontaktował się ze mną. Tępy, monotonnym głosem opowiedział mi całą brudną historię. Słuchał w milczeniu, żując wygasłe cygaro, bez cienia wyrazu na twarzy.

- Musiałem dać im odciski palców, Rog - zakończyłem niemal błagalnie. - Sam o tym wiesz, prawda? Odmowa nie pasowałaby do postaci.

- Nie martw się – odparł Rog.

- Co?

- Powiedziałem, żebyś się nie martwił. Kiedy z Biura Identyfikacyjnego wróci raport na temat tych odcisków, będziesz miał małą, ale przyjemną niespodziankę, a nasz były przyjaciel Bill znacznie większą, za to mniej przyjemną. Jeśli dostał jakąś zaliczkę za twoją głowę, chyba zedrą ją z niego wraz ze skórą. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Nie mogłem się mylić w interpretacji tego, co usłyszałem.

- Och! Ale, Rog, oni na tym nie poprzestaną! Jest tyle innych miejsc... Ubezpieczenie społeczne... i jeszcze...

- Może myśli pan, Szefie, że jesteśmy niedokładni? Wiedziałem, że coś takiego może się zdarzyć, tak czy owak. Od chwili, gdy Dak przesłał informację o rozpoczęciu Planu Mardi Gras, zajęliśmy się niezbędnymi szczegółami. Wszędzie. Nie uznałem jednak za stosowne powiedzieć o tym Billowi. - Ssał nadal zgaszone cygaro, ale po chwili wyjął je z ust i obejrzał uważnie. - Biedny Bill.

Penny westchnęła cicho i znów zemdlała.

Jakoś udało nam się dotrzeć do ostatniego dnia. Nie usłyszeliśmy już więcej o Billu. Listy pasażerów wykazały, że w dwa dni po nieudanym sabotażu uciekł na Ziemię. Jeśli nawet jakaś część tej historii przeniknęła do mass mediów, nigdy się o tym nie dowiedziałem. Quiroga nie wspominał też o niej ani słowem w swojej przemowie.

Pan Bonforte czuł się coraz lepiej i wkrótce stało się jasne, że będzie mógł podjąć swoje zadania po wyborach. Paraliż wprawdzie nie ustąpił, ale nawet na to mieliśmy sposób. Zaraz po ogłoszeniu wyników uda się na dłuższe wakacje - rutynowa praktyka, robi tak prawie każdy polityk. Urlop spędzi na „Tomie”, bezpiecznie i poza wszelkim zasięgiem. W

czasie podróży ja miałbym zostać przeniesiony z powrotem na Ziemię, a Szeff ulec lekkiemu udarowi mózgu, spowodowanemu napięciem w czasie kampanii.

Rog będzie musiał załatwić sprawę z odciskami palców, ale ta akurat sprawa mogła czekać choćby i rok.

W dniu wyborów byłem szczęśliwy jak szczeniak, bawiący się piłką. Moja rola dobiegła końca, choć miałem jeszcze do wykonania pewne zadanie. Nagrałem już nawet dla ogólnej sieci dwa przemówienia. Jedno uprzejmie akceptujące zwycięstwo, drugie - wspaniałomyślnie przyznające porażkę. Gdy ostatnie słowa znalazły się na kasecie, złapałem Penny i wycalaowałem. Chyba nawet nie miała nic przeciwko temu.

Teraz miał nastąpić finał: pan Bonforte życzył sobie obejrzeć mnie - jako siebie - zanim pozwoli mi odejść. Nie miałem nic przeciwko temu. Obecnie, kiedy napięcie już minęło, nie czułem oporów przed spotkaniem: gra dla czystej rozrywki to dla mnie jak skecz, choć zagram go bardzo poważnie. Co ja mówię? Poważna gra stanowi kwintesencję komedii.

Cała rodzina zbierze się w górnym salonie - głównie dlatego, że pan Bonforte nie widział nieba od wielu tygodni i bardzo chciał je zobaczyć. Będą słuchać moich wypowiedzi i opijać zwycięstwo lub topić smutek, przysięgając, że następnym razem pójdzie lepiej. Ale to już mnie nie dotyczy. To była moja pierwsza i ostatnia kampania polityczna i mam już serdecznie dość wszelkiej polityki. Nie jestem wcale pewien, czy wrócę również do aktorstwa. Nieprzerwana gra przez całe sześć tygodni jest równa około pięciuset zwykłym wystąpieniom. To bardzo, bardzo dużo.

Wwieźli go do windy w fotelu na kółkach. Pozostawałem poza zasięgiem jego wzroku, dopóki nie ułożyli go na kanapie. Dopiero wtedy wszedłem - człowiek ma prawo ukryć własną słabość przed obcymi. Poza tym chciałem mieć swoje wejście.

Zaskoczył mnie tak, że omal nie wypadłem z roli. Wyglądał jak mój ojciec! Byliśmy do siebie o wiele bardziej podobni, niż którykolwiek z nas do mojego prawdziwego ojca, ale „rodzinne” podobieństwo istniało. Wiek też się zgadzał, ponieważ Bonforte wydawał się starcem. Nie mam pojęcia, o ile się postarzał. Był bardzo chudy i zupełnie posiwiął.

Natychmiast odnotowałem sobie w myśli, że w czasie zbliżających się wakacji w przestrzeni muszę ich wszystkich przygotować do ponownej zamiany. Capek z pewnością potrafi go trochę podtuczyć, a jeśli nie, jest wiele sposobów, żeby szczupłego człowieka uczynić nieco grubszym, nie uciekając się do wypychania odzieży. Włosy ufarbuję mu osobiście. Spóźnione podanie do wiadomości publicznej informacji o udarze ukryje wszelkie inne rozbieżności. W końcu rzeczywiście zmienił się bardzo w ciągu tych kilku tygodni. Należało tylko dopilnować, aby nie połączono tego faktu z moją osobą.

Te praktyczne szczegóły układały się same gdzieś w zakątku mózgu, a we mnie wzbierało teraz głębokie wzruszenie. Był chory, ale emanowała z niego siła, zarówno duchowa, jak i cielesna. Czułem ten sam gorący, niemal święty wstrząs, co w dniu, gdy stanąłem przed ogromnym pomnikiem Abrahama Lincolna. Kiedy tak patrzyłem na niego, leżącego z szalem okrywającym nogi i bezwładną lewą stroną ciała, przypominał mi jeszcze inną statwę: zranionego Lwa z Lucerny. Miał w sobie tę samą siłę i godność, nawet w chwili słabości. „Gwardia umiera, ale się nie poddaje”.

Gdy wszedłem, podniósł wzrok i obdarzył mnie ciepłym, pobłażliwym i przyjaznym uśmiechem, który nauczyłem się naśladować. Zdrową ręką uczynił gest, abym się zbliżył. Odpowiedziałem mu identycznym uśmiechem i podszedłem. Uścisnął mi dłoń z zaskakującą siłą i rzekł ciepło:

- Nareszcie mogę pana poznać.

Mówił nieco niewyraźnie, choć nie widziałem nieruchomej części jego twarzy.

- Czują się zaszczycony i szczęśliwy, że mogę pana poznać, sir. - Musiałem się pilnować, żeby nie naśladować tej niewyraźnej mowy paralityka.

Zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu i uśmiechnął się szeroko.

- Coś mi się wydaje, że już mnie pan poznał. Spojrzałem po sobie.

- Staralem się, sir.

- Staralem się? Udało się panu. Bardzo dziwnie jest patrzeć na siebie z boku.

Z nagłą i bolesną falą współczucia zrozumiałem, że emocjonalnie Bonforte nie zdaje sobie sprawy z własnego wyglądu. Uważa mój obecny wygląd za swój, a wszelkie zmiany przypisuje jedynie chorobie, uważa za tymczasowe i niewarte odnotowania.

- Może pan się trochę poruszać po pokoju, sir? Chciałbym obejrzeć pana... nas. Choć raz chcę spojrzeć na siebie oczami publiczności.

Wyprostowałem się zatem, przeszedłem po pokoju, powiedziałem coś do Penny. Biedulka patrzyła to na mnie, to na niego i miała coraz bardziej oszołomiony wyraz twarzy. Wziąłem kartkę papieru, podrapałem się po szyi i potarłem po podbródku, wyjąłem buławę spod ramienia i zacząłem się nią bawić.

Obserwował mnie z zachwytem. Na bis stanąłem pośrodku dywanu i wygłosiłem jedną z jego najlepszych mów, nie starając się powtarzać jej słowo w słowo, lecz interpretując, pozwalając, by grzmiała i toczyła się, tak jak on by to uczynił... i zakończyłem dokładnie tak, jak zrobił to on:

- Niewolnika nie można uwolnić, jeśli nie uczyni tego sam. Nie można też wziąć w niewolę człowieka wolnego... Wszystko, co możecie mu zrobić, to zabić go!

Przez chwilę trwała cudowna, pełna zachwytu cisza, po której nastąpiła delikatna fala oklasków. Sam Bonforte walił w kanapę zdrową dłonią, krzyząc „Brawo!”.

Był to jedyny aplauz, jaki otrzymałem w tej roli. Wystarczył mi.

Potem poprosił, żebym przystawił sobie krzesło i posiedział z nim. Zauważyłem, że spogląda na buławę, więc mu ją podałem.

- Jest zabezpieczona, sir.

- Wiem, jak jej używać. - Przyjrzał się buławie uważnie, po czym zwrócił mi ją bez słowa. Myślałem, że być może zechce ją zatrzymać, ale skoro tego nie zrobił, odwróciłem się w stronę Daka i przekazałem mu ten przedmiot. Potem prosił, żebym mu opowiedział o sobie, przyznając, że nie pamięta żadnego z moich przedstawień, ale widział „Cyrana” z moim ojcem. Wkładał bardzo wiele wysiłku w kontrolowanie nieposłusznego kącika ust i mówił teraz wyraźnie, choć z trudem.

Później zapytał, co zamierzam robić dalej. Powiedziałem, że nie mam jeszcze żadnych planów. Skinął głową.

- Zobaczymy. Mam dla pana miejsce. Wciąż jest jeszcze dużo pracy.

Nie wspomniał o zapłacie, co napełniło mnie dumą.

Zaczęły już nadchodzić pierwsze dane o rezultacie wyborów i wszyscy zwróciliśmy się ku stereowizjerowi. Oczywiście wyniki podawano przez okrągłe czterdzieści osiem godzin, ponieważ światy zewnętrzne i wyborcy niezrzeszeni w okręgach głosowali wcześniej, przed Ziemią. Zresztą i na Ziemi „dzień” wyborów trwał ponad trzydzieści godzin, więcej, niż jej obrót. W tej chwili jednak zaczęliśmy otrzymywać dane z największych, najgęściej zaludnionych rejonów Ziemi. Poprzedniego dnia, gdy uzyskaliśmy wyniki ze światów zewnętrznych, wysunęliśmy się daleko do przodu, ale Rog twierdził, że to jeszcze nic nie znaczy. Ekspansjoniści zawsze byli związani ze światami zewnętrznymi. Najważniejsze było zdanie miliardów ludzi na Ziemi, którzy nigdy jej nie opuszczali i nigdy przedtem o tym nie myśleli.

Potrzebowaliśmy jednak każdego zewnętrznego głosu, jaki mogliśmy dostać. Partia Agariańska na Ganimedzie głosowała za w pięciu z sześciu okręgów, ale ona stanowiła część naszej koalicji. Partia Ekspansjonistów nie rezygnowała natomiast nigdy nawet z pojedynczych kandydatów. Sytuacja na Wenus była nieco bardziej delikatna, ponieważ Wenusjanie podzielili się na tuziny odłamów i odszczepień na podstawie trudnych do pojęcia dla ludzi zasad teologicznych. Pomimo to spodziewaliśmy się wsparcia większości wśród tubylców, jeśli nie bezpośrednio, to później, poprzez koalicję, oraz prawie całkowitego poparcia ze strony mieszkających tam ludzi. Bonforte wzywał do zniesienia restrykcji

imperialnej, na podstawie której tubylcy musieli wybierać istotę ludzką, reprezentującą ich w Nowej Batawii. Dzięki temu mieliśmy głosy na Wenus, ale nie wiemy, ile ich straciliśmy na Ziemi.

Gniazda marsjańskie wysyłały na Zgromadzenie jedynie obserwatorów, dlatego na Marsie musieliśmy martwić się tylko o głosy ludzi. Darzono nas sentymentem, ale oni mieli władzę. Pomimo to, przy uczciwym liczeniu, mieliśmy szansę.

Dak wraz z Rogiem pochylali się nad kalkulatorem. Rog wypisał na wielkiej kartce papieru jakiś skomplikowany wzór matematyczny własnego pomysłu. Tej nocy około tuzina wielkich elektronicznych mózgow w całej galaktyce robiło dokładnie to samo, ale Rog wolał własne metody. Pewnego dnia powiedział mi, że może przejść się po okręgu i powęszyć, po czym wrócić i pomylić się we własnych prognozach najwyżej o dwa procent. Wierzę, że tak jest.

Doktor Capek siedział spokojnie, z palcami splecionymi na okazałym brzuchu, spokojny i rozluźniony jak glista. Penny krążyła po pokoju, ustawiała prosto stojące przedmioty na skos i odwrotnie, a po drodze serwowała nam drinki. Wydawało się, że nie może patrzeć wprost ani na mnie, ani na pana Bonforte.

Nigdy przedtem nie doświadczyłem nocy, wypełnionych oczekiwaniami na wyniki wyborów. Nie są podobne do niczego innego. Otacza je przytulny, ciągły obłok wyczerpanej napiętności. Doprawdy, nie ma wielkiego znaczenia, jak będą głosować ludzie, wiesz, że zrobiłeś wszystko, co trzeba, jesteś z przyjaciółmi i towarzyszami, a przez chwilę, pomimo ogólnie panującego podniecenia, nie czujesz ani troski, ani zdenerwowania, choć wyniki napływają i napływają, jak kolejne warstwy lukru na cieście.

Nie pamiętam, żebym kiedyś bawił się aż tak dobrze.

Rog podniósł głowę, spojrzął na mnie, potem powiedział coś panu Bonforte.

- Kontynent się waha Amerykanie wyraźnie sondują wodę palcem, zanim w nią wdepną. Ciekawe tylko, do jakiej głębokości.

- Możesz zrobić projekcję, Rog?

- Jeszcze nie. Mamy poparcie zwykłych wyborców, ale w Zgromadzeniu o wszystkim może zdecydować jedynie kilka głosów. -Wstał. - Muszę trochę pobuszować po mieście.

Szczerze mówiąc, to ja powinienem wyjść. Lider musi pokazać się w kwatrze głównej partii w ciągu nocy wyborczej. Ja jednak nigdy tam nie byłem, ponieważ w tak ciasnym miejscu moje wcielenie mogłoby zostać bez trudu rozszyfrowane. W czasie kampanii wymawiałem się „chorobą”, a dziś nie warto było ryzykować. Dlatego to Rog wybierze się do nich, będzie ścisnął dłonie, szczerzył zęby i pozwalał rzucać się sobie na

szyję tym wszystkim rozszalałym dziewczuchom od ciężkiej i nieskończonej papierkowej roboty.

- Wracam za godzinę.

Nawet nasze małe przyjęcie powinno odbyć się na jednym z niższych pięter, tak, aby mogli wziąć w nim udział wszyscy pozostali urzędnicy, zwłaszcza Jimmie Washington. To jednak było niewykonalne bez wykluczenia samego pana Bonforte. Wstałem zatem i oznajmiłem:

- Rog, zejść z tobą na dół i przywitam się z Jimmiem i jego haremem.

- Hej, nie musisz tego robić.

- Ale wypada, mam rację, czy nie? A przy tym to naprawdę nie jest żaden kłopot ani ryzyko. - Zwróciłem się do pana Bonforte'a. - Co pan o tym sądzi, sir

- Byłbym panu za to bardzo wdzięczny.

Zjechaliśmy w dół windą, mijając puste, milczące kwatery prywatne, gabinety moje i Penny. Za drzwiami jej gabinetu szalało piekło. Odbiornik stereo, przeniesiony tu dokładnie w tym celu, ryczał na cały regulator, podłoga zasłana była papierami. Wszyscy w najlepsze pili, palili, albo i jedno, i drugie. Nawet Jimmie dzierżył w dłoni drinka, słuchając wyników. Nie pił jednak ani nie palił. Prawdopodobnie ktoś wcisnął mu szklaneczkę do ręki i tak został. Jimmie miał doskonale wycucie.

Z Rogiem u boku wykonałem kilka okrążeń, bardzo ciepło i serdecznie podziękowałem Jimmiemu i szczerze przeprosiłem, że czuję się już zmęczony.

- Pójdę rozprostować nieco kości, Jimmie. Przepróż ode mnie ludzi, zgoda?

- Tak jest, sir. Musi pan o siebie dbać, panie premierze.

Wróciłem na górę, a Rog skierował się w stronę publicznych tuneli.

Kiedy zjawiłem się w górnym salonie, Penny powitała mnie z palcem na ustach. Bonforte musiał się zdrzemnąć. Odbiornik ściszone do minimum. Dak siedział przy nim, wypełniając cyframi prognozy Roga na wielkiej kartce. Capek nie poruszył się, skinął tylko głową i wykonał szklanką salut w moją stronę.

Przyjąłem od Penny szkocką z wodą i wyszedłem na pęcherzowaty balkon. Zapadła już noc, zarówno na zegarze, jak i w naturze, i Ziemia widoczna była niemal w pełni, lśniąc na ciemnym aksamicie usianym gwiazdami jak od Tiffany'ego. Odszukałem Amerykę Północną i próbowałem dostrzec na niej maleńką plamkę, którą opuściłem zaledwie kilka tygodni temu. Bardzo pragnąłem uporządkować moje uczucia.

Po chwili zawróciłem do pokoju. Noc lunarna jest dość przygnębiająca. Wkrótce potem wrócił Rog i bez słowa zasiadł nad swoimi arkuszami. Zauważyłem, że Bonforte też

się obudził.

Właśnie zaczęły nadchodzić decydujące wyniki i wszyscy ucichli nagle, pozwalając pracować w skupieniu Rogowi z ołówkiem, a Dakowi ze swoim kalkulatorem. Po długiej, długiej chwili Rog odsunął krzesło.

- I to jest to, Szefie - mruknął, nie podnosząc wzroku. - Wchodzimy. Nie mniej niż siedem miejsc, może dziewiętnaście, może nawet trzydzieści.

- Jesteś pewien? - odezwał się Bonforte po dłuższej chwili milczenia.

- Najzupełniej. Penny, przełącz na inny kanał i zobaczymy, co dostaniemy.

Podszedłem i usiadłem obok Bonforte'a. Nie mogłem mówić. Wyciągnął rękę i ojcowskim gestem poklepał mnie po dłoni. Obaj wpatrywaliśmy się w odbiornik. Pierwsza stacja, którą Penny znalazła, krzyczała:

- ...wątpliwości, ludzie! Osiem mózgow mówi tak, Curiać mówi być może. Partia Ekspansjonistów zdobyła większość...

- ...potwierdza swoje tymczasowe stanowisko na następne pięć lat. Nie możemy skontaktować się z panem Quirogą, aby uzyskać od niego oświadczenie, ale jego dyrektor generalny w Nowym Chicago przyznaje, że obecnej tendencji nie da się prze...

Rog wstał i podszedł do telefonu. Penny ściszyła odbiornik, aż nic więcej nie było słychać. Dziennikarz nie przestawał poruszać ustami, ale chyba powtarzał tylko innymi słowami to, co już wiedzieliśmy.

Rog wrócił. Penny znów podkreśliła głośność. Dziennikarz mówił jeszcze przez chwilę, potem urwał, aby przeczytać coś, co właśnie mu podsunęto, i podniósł głowę z szerokim uśmiechem.

- Przyjaciele i współobywatele! Za chwilę przekażę państwu oświadczenie nowego premiera!

Obraz zmienił się, ukazując moją twarz w czasie wygłaszania zwycięskiej mowy.

Siedziałem tam, napawając się sukcesem, z uczuciami tak mieszanymi, jak to było możliwe, ale czułem się doskonale, doskonale do bólu. Zrobiłem dobrą robotę przy tym oświadczeniu i wiedziałem o tym. Wydawałem się zmęczony, spocony i emanowałem spokojnym triumfem. Wyglądało na to, że mówię z głowy.

Dotarłem właśnie do: „Chodźmy teraz razem, głosząc wszystkim wolność...”, gdy usłyszałem za plecami jakieś zamieszanie.

- Panie Bonforte! - zawołałem. - Doktorze! Doktorze, szybko!

Pan Bonforte szarpał mnie za ubranie zdrową, prawą dłonią i próbował powiedzieć mi coś bardzo ważnego. Nie potrafił, jego biedne usta zawiodły i niezłomna wola nie była w

stanie zmusić do pracy nieposłuszne, słabe ciało.

Wziąłem go w ramiona... Wkrótce jego oddech zaczął słabnąć i nastąpił koniec.

Zabrali ciało windą na dół. Towarzyszyli mu Dak i Capek. Ja byłem zbędny. Rog podszedł i poklepał mnie po ramieniu, potem się oddalił. Penny uczyniła to samo.

Znowu wyszedłem na balkon. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem, choć było to dokładnie to samo powietrze, które maszyna pompowała do salonu. Mimo to czułem się lepiej.

Zabili go. Wrogowie zabili go tak bezbłędnie, jakby wbili mu nóż pod żebro. Pomimo wszystko, co zrobiliśmy, ryzyka, jakie podjęliśmy, zamordowali go. Najbrudniejsze morderstwo!

Czułem się martwy wewnątrz, ogłuszony wstrząsem. Widziałem „własną” śmierć. Widziałem znowu, jak umiera mój ojciec. Rozumiem teraz, dlaczego tak rzadko udaje się uratować jedno z syjamskich bliźniąt. Czułem się pusty w środku.

Nie wiem, jak długo tam stałem. Wreszcie usłyszałem za plecami głos Roga.

- Szefie? Obróciłem się.

- Rog! - zawołałem z naciskiem. - Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj. Proszę!

- Szefie - powtórzył. - Wiesz, co musisz teraz zrobić? Wiesz?

Poczułem zawrót głowy i ujrzałem jego twarz jak za mgłą. Nie wiedziałem, o co mu chodzi... Nie chciałem wiedzieć, o czym on mówi.

- Co masz na myśli?

- Szefie... jedna z postaci umiera... ale spektakl trwa. Teraz nie możesz się wycofać.

Bolała mnie głowa, nie mogłem zogniskować wzroku. Rog zdawał się zbliżać i oddalać ode mnie, jego głos snuł się wokoło.

- .. .odarli go z szansy dokończenia pracy. Musisz wykonać ją za niego. Musisz go wskrzesić!

Potrząsnąłem głową i ogromnym nakładem sił wziąłem się w garść.

- Rog, nie wiesz, co mówisz. To okropne, wręcz groteskowe! Nie jestem mężem stanu. Jestem cholernym aktorem! Robię miny i rozśmieszam ludzi. Tylko do tego się nadaję.

Ku mojemu przerażeniu usłyszałem, że wypowiedziałem te słowa głosem Bonforte'a.

Rog spojrział na mnie.

- Wydaje mi się, że do tej pory szło ci świetnie. Próbowałem zmienić głos, usiłowałem odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Rog, jesteś zdenerwowany. Kiedy się uspokoisz, zrozumiesz, jakie to idiotyczne. Masz rację: spektakl trwa. Ale nie w ten sposób. W tym przypadku jedyną właściwą reakcją

będzie twoja promocja. Wygraliśmy wybory, masz większość, teraz musisz jedynie przejąć urząd i ciągnąć nadal tę robotę.

Spojrzał na mnie i ze smutkiem pokręcił głową.

- Zrobiłbym to, gdybym mógł, przyznaję. Ale nie mogą. Szefie, czy pamięta pan to zamieszanie na spotkaniach komitetu? Tylko pan trzymał ich na wodzy. Cała koalicja egzystowała wyłącznie dzięki sile osobowości i przywództwu jednego człowieka. Jeśli pan teraz nie zostanie z nami, nie będzie kontynuował dzieła, dla którego on żył... i umarł... wszystko się rozleci.

Nie miałem żadnego argumentu, żeby mu odpowiedzieć. Być może ma rację... Przez ostatnie półtora miesiąca miałem okazję obserwować tryby napędzające politykę.

- Rog, nawet, jeśli to, co mówisz, jest prawdą, twoja propozycja jest niewykonalna. Z trudem udało nam się przebrnąć przez cały ten cyrk, pokazywałem się publicznie wyłącznie w starannie wyreżyserowanych okolicznościach. Omal nas nie przyłapali i dobrze o tym wiesz. Ale powtarzać to bez przerwy dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, jeśli cię dobrze zrozumiałem... nie, to niewykonalne. To po prostu niemożliwe. Nie potrafię tego zrobić!

- Potrafisz! - Pochylił się w moją stronę i rzekł z mocą: -Rozmawialiśmy już na ten temat i znamy zagrożenie równie dobrze, jak ty. Istnieje jednak szansa, że uda ci się utrzymać w tym wcieleniu. Na początek dwa tygodnie w przestrzeni, do licha, niechby i miesiąc, jeśli trzeba! Przez cały czas będziesz się uczył, czytał jego dzienniki, pamiętniki z lat chłopięcych, notesy, będziesz nasiąkał tą wiedzą. Wszyscy ci pomożemy.

Nie odpowiedziałem.

- Słuchaj, Szefie - ciągnął. - Nauczyłeś się już, że osobowość polityczna to nie jest pojedynczy człowiek. To cała grupa, związana ze sobą wspólnym celem i wspólnymi przekonaniami. Straciliśmy kapitana naszej drużyny, musimy teraz znaleźć drugiego. Ale drużyna wciąż istnieje.

Na balkonie nagle pojawił się Capek. Nawet nie widziałem, kiedy przyszedł. Odwróciłem się w jego stronę.

- Czy i pan tak uważa, doktorze?

- Tak.

- To pański obowiązek – dodał Rog. Capek odparł powoli:

- Nie ująłbym tego w taki sposób. Mam nadzieję, że pan się zgodzi. Ale, do cholery, nie jestem pańskim sumieniem. Wierzę w wolną wolę, choć może zabrzmi to dziwnie w ustach medyka. -Obejrzał się na Cliftona. - Lepiej niech zostanie teraz przez chwilę sam, Rog.

On wie, że teraz wszystko zależy tylko od niego.

Wyszli niemal natychmiast, ale nie dane mi jeszcze było pozostać samemu.

Pojawił się Dak. Ku mojej ogromnej uldze i wdzięczności nie nazywał mnie „Szefem”.

- Cześć, Dak.

- Się masz. - Przez chwilę palił i w milczeniu obserwował gwiazdy. Wreszcie spojrzał na mnie.

- Staruszkule, przeszliśmy już razem to i owo. Znam cię i zawsze cię poprę, bronię, forszę, pięścią, kiedy tylko zapragniesz. I nie będę zadawał żadnych pytań. Jeśli zamierzasz nas teraz opuścić, nie pomyślę o tobie ani trochę gorzej. Zrobiłeś, co mogłeś, i okazałeś wielką szlachetność.

- Eee... dzięki, Dak.

- Jeszcze słówko i już mnie nie ma. Pamiętaj jedno: jeśli zdecydujesz, że nie możesz nam pomóc, ten brudny sukinsyn, który go tak urządził, zwycięży. Pomimo wszystko, co razem osiągnęliśmy, to właśnie oni zwyciężą zakończył i wrócił do pokoju.

Czułem, jak wahanie rozdziera mój umysł, a potem po prostu poddałem się fali rozżalenia nad własnym losem. To nie w porządku! Mam własne życie, które chcę przeżyć. Jestem u szczytu moich możliwości, wielkie sukcesy zawodowe wciąż jeszcze na mnie czekają. Nie mieli prawa skazywać mnie na wiele lat, może na całe życie, na pozostawanie anonimowym cieniem w roli innego człowieka. Publiczność zapomni o mnie, agenci także. Z pewnością uznają mnie za zmarłego.

To nie w porządku. Żądają ode mnie zbyt wiele.

Po chwili otrząsnąłem się, próbując nie myśleć. Matka Ziemia wisiała wciąż - niezmienną i spokojną - na czarnym niebie. Ciekaw byłem, jak tam czczą naszą noc wyborczą. Mars, Jowisz i Wenus także były w zasięgu wzroku, zawieszane niczym medale wśród zodiaku. Nie mogłem, rzecz jasna, dostrzec Ganimedy, podobnie jak odległej kolonii na Plutonie.

Bonforte nazwał je kiedyś Światem Nadziei.

A oni złożyli na moje barki brzemień ożywienia go.

Czy starczy mi sił? Czy mogę sprostać jego szlachetnym zamiarom? Czego by ode mnie zażądał? A co uczyniłby on, Bonforte, gdyby znalazł się na moim miejscu?

Ktoś poruszył się cicho za moimi plecami. Obejrzałem się. Za mną stała Penny. Objąłem ją wzrokiem.

- Teraz ciebie tu przysłali? Masz mnie przekonać, przebłagać?

- Nie.

Nie powiedziała nic więcej i wydawało się, że ode mnie także nie oczekuje odpowiedzi. Nie patrzyliśmy na siebie. Milczenie przeciągało się. Wreszcie sam je przerwałem:

- Penny? Jeśli spróbuję... pomożesz mi? Nagłym gestem zwróciła się w moją stronę.

- Tak! O, tak, Szefie. Pomogę!

- Zatem spróbuję - wyszeptałem z pokorą.

Napisałem to wszystko około dwudziestu pięciu lat temu, usiłując wydobyć się z oszołomienia. Próbowałem opowiedzieć całą prawdę. Nie oszczędzałem siebie, ponieważ i tak słowa te są przeznaczone jedynie dla moich oczu i mojego terapeuty, doktora Capka. Jak dziwnie jest odczytywać po upływie ćwierćwiecza szalone i pełne wzruszeń słowa tamtego młodego człowieka. Pamiętam go, ale z trudem jedynie pojmuję, że to ja nim byłem. Moja żona Penelopa twierdzi, że pamięta go lepiej niż ja, i że nigdy nie kochała nikogo innego. Oto jak zmienia nas czas.

Znajduję, że lepiej pamiętam „wczesne” życie Bonforte'a niż moje własne, rzeczywiste życie dość żalostnej istoty nazwiskiem Lawrence Smith, która lubiła się przedstawiać jako „Wielki Lorenzo”. Czy to oznacza, że zwariowałem? Może mam schizofrenię? Jeśli tak, szaleństwo to było konieczne do wywiązania się z roli, jaką odgrywałem, ponieważ aby Bonforte mógł żyć na nowo, nieszczęsny aktor musiał ulec zniszczeniu - na zawsze.

Wariat czy nie, mam świadomość, że on kiedyś istniał i że to ja nim byłem. Nigdy nie odniósł sukcesów jako aktor, naprawdę, choć czasem wydawało mu się, że jest o krok od prawdziwego szaleństwa. Nawet własne zejście ze sceny zaaranżował zgodnie z rolą. Gdzieś jeszcze mam pożółkły wycinek z gazety, opisujący, jak znaleziono jego ciało w pokoju hotelowym w Jersey City. Zmarł z przedawkowania środków nasennych, zażytych przypuszczalnie w ataku rozpacz.

Jego własny agent przyznał, że Lorenzo od wielu miesięcy nie dostał żadnej roli. Osobiście uważam, że nie powinni wywlekać na światło dzienne faktu, że był bezrobotny. Bardzo nieprzyjemne stwierdzenie, żeby nie powiedzieć uwłaczające. Data wycinka stanowi świadectwo, że w czasie tamtej kampanii wyborczej nie było go ani w Nowej Batawii, ani gdziekolwiek indziej.

Podejrzewam, że należałoby ten świstek spalić.

Ale nie ma już nikogo, kto wiedziałby o zamianie - z wyjątkiem Daka i Penny, oraz ludzi, którzy uśmiercili ciało Bonforte'a.

Od tego czasu wiele razy przyjmowałem i oddawałem urząd, a teraz podejrzewam, że jest to już moja ostatnia kadencja. Po raz pierwszy zostałem odsunięty, gdy udało mi się wprowadzić do Zgromadzenia wszystkich naszych pozaziemskich sojuszników: Marsjan, Wenusjan i tych z Zewnętrznego Jowisza. Mimo to oni pozostali,

a ja wróciłem. Cóż, ludzie są w stanie przyswoić pewną liczbę reform naraz, potem potrzebują odpoczynku. Tak naprawdę nie chcą żadnych, ale to żadnych zmian, a ksenofobia jest zakorzeniona bardzo, bardzo głęboko. Idziemy jednak ramię w ramię z postępem -inaczej nigdy nie sięgniemy ku gwiazdom.

Ciągle zadaję sobie to samo pytanie: co zrobiłby Bonforte na moim miejscu? Nie mam pewności, czy moje odpowiedzi zawsze były właściwe, chociaż sadzę, że jestem absolutnym ekspertem w dziedzinie jego prac i to na skalę wszechświata. Próbowałem jednak pozostać wiemy jego postaci i swojej roli. Kiedyś, dawno temu, ktoś - może Voltaire? -powiedział: „Gdyby Szatan miał kiedykolwiek zastąpić Boga, musiałby uznać za słuszne przyjęcie atrybutów boskości”.

Nigdy nie żałowałem utraconego zawodu, choć tak naprawdę nigdy go nie utraciłem. Willem miał rację - istnieją inne rodzaje aplauzu, niż oklaski. Dobrze zagrana rola zawsze napelnia wewnętrznym ciepłem. Wydaje mi się, że próbowałem stworzyć doskonałe dzieło sztuki. Może nie całkiem mi się to udało, ale mam nadzieję, że mój ojciec byłby ze mnie zadowolony.

Nie. Nie żałuję niczego, choć może jako komediant czułem się szczęśliwszy - a na pewno lepiej sypiałem. Istnieje jednak coś takiego jak wzniosła satysfakcja, płynąca z całkowitego poświęcenia się pracy dla dobra wielu miliardów ludzi.

Może ich życie nic nie znaczy w obliczu kosmosu, ale mają uczucia. I potrafią cierpieć.